Anne Swärd

Lato polarne

Przełożyła Bogumiła Ratajczak

Wydawnictwo-Czarne
Wołowiec 2007
Tytuł oryginału szwedzkiego polarsommar
Projekt okładki i stron tytułowych kamil Targosz
Zdjęcie Autorki na iv stronie okładki © by kennet ruona
Copyright © by anne sward, 2003
First published by Wahlström & Widstrand, Stockholm, Sweden.
Published in the Polish language by arrangement with
Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden
Copyright © for the Polish edition by wydawnictwo czarne, 2007
Copyright © for the Polish translation by Bogumiła Ratajczak, 2007
Tłumaczenie książki zostało sfinansowane przez svenska institutet
Redakcja teresa leśniak
Redakcja techniczna robert oleś / design plus
Korekta Małgorzata poździk / design plus
MAŁGORZATA PASZ / DESIGN PLUS
Projekt typograficzny i skład robert oleś / design plus
ISBN 978-83-89755-91-9

I
KRYSTIAN
(Dół)

O tej porze roku nigdy nie jest całkiem ciemno. Jakby morze chłonęło światło za dnia i oddawało nocą. Wszystko się świeci. Ręce szofera oparte na kierownicy, palce stukają rytmicznie, jakby słyszał muzykę przez odgłos silnika. Wchodzimy w zakręt ze zbyt dużą prędkością, ostro skręcając tuż przy krawędzi jezdni, tak że gałęzie drapią o drzwi. Jest. Widzę go. Wygląda jak wielki trawler wyrzucony na brzeg.
- To ta duża buda tam w dole? - pyta taksówkarz, zaciskając palce na kierownicy.
Całą drogę z dworca siedział cicho i powstrzymywał się od podglądania mnie w lusterku wstecznym, chociaż widziałem, że ma ochotę. Plamy potu pod pachami rosną, bo nie mogę przestać o nich myśleć. Muszę trzymać ręce nieruchomo przy ciele.
- W dole?
Dom leży przecież na wzniesieniu, przynajmniej od strony morza; pokazuję przez brudną szybę.
- Tak, w dole - powtarza i kręci gałką radia, dopóki nie znajdzie jakiejś muzyki.
5
Brzeg pieni się niebieskawą roślinnością, a w suchszych miejscach płoży się zawciąg. Dzika zabudowa z bielonego eternitu, na samym środku działki, płotu brak. Zaraz będziemy na miejscu, kierowca nie może się już powstrzymać od zerkania w lusterko.
Zwalnia, a w pamięci wałkuje moją twarz na wszystkie strony.
Kaj pewnie cały dzień czekała na schodach, popielniczka u jej stóp jest przepełniona. Prawie nic na sobie nie ma, bikini i drewniaki, nic więcej. Nasze spojrzenia spotykają się przez szybę samochodu.
- Czerwiec miał rekordowo zimne noce - mówi kie-

rowca i wyłącza taksometr.
Odwraca się do mnie, jakby chciał mnie zatrzymać, dopóki nie wygrzebie wspomnienia, które drażni jak kosmyk włosów za kołnierzykiem. Pot spływa pod koszulę, chociaż wieczorne powietrze jest zimne. W tym miejscu jest coś, co sprawia, że otwierają się wszystkie pory skóry.
- Wcześnie rano, kiedy miałem kurs, w porcie był szron - kontynuuje taksówkarz i guzdra się z wydaniem reszty, żeby zyskać na czasie. A potem:
- Słuchaj, a twój ojciec...
Teraz się zacznie. Czułem to, wiedziałem.
- Jack, prawda? - zastanawia się.
Spoglądam na szczyt domu, gdzie ze ściany smaganej deszczem odpryskuje farba.
- Jest mi winien - mówi i gmera w monetach, chociaż powiedziałem, że reszta dla niego. Jasne. Jack każdemu jest coś winien. Mnie także.

- Uciekł od czegoś, przypomnij mu o tym. Nazywam się Ceder. Będzie mnie pamiętał.
Nie odpowiadam, bo Jack jest dobry w zapominaniu, a ten dług musi być od dawna nieważny, przecież nie mieszka tu od piętnastu lat. Szybko zabieram resztę, żeby już wyjść.
- A twoja siostra... Boże, bikini w taki ziąb? Lepiej się pospiesz - uśmiecha się, zezując na Kaj. - Nie zapomnij pozdrowić Jacka. Powiedz, że musimy się szybko rozliczyć - powtarza, kiedy otwieram drzwi i wysiadam.
Mocuję się z zamkiem bagażnika, wyjmuję torby, potem on zawraca i znika na drodze w rosnącej chmurze pyłu.
- Czekałam - mówi Kaj, wstaje ze schodów, kolebie się w drewniakach w przód i w tył.
Stawiam torby na żwirze, ale ona nie wychodzi mi naprzeciw. Dalej stoi na schodach, z zimna ma czerwone plamy na ramionach, faktura betonowych stopni odcisnęła się na nagich udach. Jej oczy chowają się do środka niczym ślimaki. W mieszkaniu panuje ciemność, nic nie

widać. Jak w programie, który kiedyś oglądałem, o dwóch wulkanologach, chyba nie dość im było ryzyka, jeździli po świecie, żeby dokumentować wybuch za wybuchem, aż weszli w sam środek chmury wulkanicznej i nie zdążyli zawrócić.
- Czekałam - powtarza.
Nie zauważając, że przewróciła miseczkę z petami, odwraca się i wchodzi do środka.
7
W kuchni nadal stoi śniadanie, jakby mama dopiero co wyjechała. Musiała się bardzo denerwować przed podróżą, bo na jej miejscu wszystko jest nietknięte. Filiżanka herbaty, bułki, mętna szklanka z osadem białego proszku na dnie. Na blacie zostawiła kopertę z moim imieniem, kluczyki do swojej wyrejestrowanej toyoty i kilka banknotów. Szybko wkładam je do kieszeni, zanim Kaj zobaczy.
- Kaj, jesteś głodna? - pytam, głos przydławiony, bezdźwięczny.
Wilgoć tłumi tu każdy dźwięk. Nie można poznać własnego głosu, dźwięków absolutnych, takich jak szelest papieru albo szum tabletki musującej, kiedy rozpuszcza się w wodzie. Zdaniem Kaj tak mi się tylko wydaje, ale ona za rzadko opuszcza dom, by móc zauważyć różnicę. Najdalej rusza się stąd tylko na plażę. I tylko kiedy nurkuje, spuszcza dom z oka.
- Jadłaś już coś? - pytam ponownie.
- Nie wiem. Chyba nie - odpowiada odwrócona do mnie plecami. - Przecież czekałam na ciebie. Myślałam, że przyjedziesz rano - trochę się zacina, jakby usta zdrętwiały jej z zimna.
- Zajmij się nią - poprosiła mama przez telefon już trzeci raz tego ranka, zapuszczając w garażu swojego fiata ritmo. Dała zdecydowanie za dużo gazu, silnik szarpnął tak, że aż zawyło w mojej komórce.
- Na miłość boską, mamo... popuść sprzęgło, zanim się zagazujesz na amen - wymamrotałem, ale ona mnie nie usłyszała, głos utonął w warkocie silnika.

8

- Tylko nie przyjeżdżaj za późno - przypomniała. - Wiesz, że Kaj na ciebie czeka.

Stałem przy zgaszonym świetle w kanciapie na oddziale noworodków. Byłem po nocnej zmianie, zaraz miałem pójść do domu, zaraz miałem kłaść się spać. Potrzebowałem tylko paru minut, trochę ciemności, musiałem się na chwilę odprężyć.

- Życz mi szczęśliwej podróży - powiedziała mama, puszczając nareszcie sprzęgło, aż opony zapiszczały na betonie.

Mogłem sobie wyobrazić, jak Kaj wychodzi na dwór, żeby pomachać jej na pożegnanie, jak schodzi z werandy w żółtym kimonie, z włosami jeszcze w nieładzie od snu.

- Możesz wziąć drugi samochód. Jest wyrejestrowany, więc trzymaj się raczej bocznych dróg - przypomniała mama.

Kieszonkowe i samochód służbowy. Płatny urlop. W ramach umowy między mamą a mną.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała jednym tchem - tylko nie pozwól Kaj stawiać na swoim.

Nie pozwól swojej siostrze wypuszczać się w morze i już nigdy nie wrócić, nie zostawiaj jej sam na sam z obcymi i z zapałkami, nie spuszczaj jej z oka, nie daj jej tknąć wina... Oparłem czoło o chłodne drzwi. Zmęczenie rozsadzało mi powieki. To była długa noc, ostatnia godzina upłynęła mi już na zwolnionych obrotach.

- Dobrze ci zrobi, jeśli wyrwiesz się z miasta na jakiś czas. Złap trochę słońca, Krystian. Rozumiemy się? - potem nagle przerwało rozmowę, jakby wjechała pod ziemię, do długiego tunelu.

9

Kaj otwiera matczyny barek scyzorykiem i wyjmuje butelkę czerwonego wina, które wypijemy w jej pokoju. Wino wpływa na Kaj tak samo jak katastrofy. Kiedy katastrofa staje się faktem i wszyscy biegają w kółko, wzniecając kurz, ona potrafi jak gdyby nigdy nic czyścić paznokcie.

- Nie powinniśmy... - mówię, ale Kaj już stoi w drzwiach kuchni z butelką dyndającą w ręce.
- Zmierz mnie! - odpowiada tylko, opierając się plecami o framugę, trzymana luźno butelka kołysze się nad progiem.
Mamy taki swój rytuał, chociaż Kaj niedługo skończy dwadzieścia trzy lata i nie powinna już ani rosnąć, ani się kurczyć. Staje na palcach, jak zwykle, ale i tak nie sięga starej kreski. Jakby skurczyła się pod moją nieobecność. Biorę pisak i rysuję nową kreskę nad jej głową, porównuję z poprzednią datą. Nie było mnie tutaj dwa lata.
Pokój Kaj pachnie dokładnie tak, jak zapamiętałem, starą czekoladą, starymi gratami i kurzem. Pod łóżkiem ma swój składzik czekolady. Wyjmuje karton, wygrzebuje wielki czekoladowy wafelek i podaje mi. Potem wyciąga się na łóżku i przygląda mi się przez czerwoną zawartość kieliszka.
- Długo cię nie było. Tęskniłeś za mną? - pyta.
Kręcę głową.
- Ja też nie, bez ciebie było tu cicho i spokojnie - uśmiecha się.
Ogrzewam wino w ustach. Ona robi to samo. A potem można już tylko czekać, kto pierwszy się roześmieje.
10
Zajmujemy ulubione pozycje. Ja w zielonym fotelu, Kaj na łóżku, pali pod czujnikiem przeciwpożarowym, z którego wyjęła baterie, żeby nie wychodzić na balkon, bo zawsze kręci jej się w głowie. O tej porze roku nigdy nie jest całkiem ciemno. Wszystko się świeci, ciężko będzie zasnąć. Kaj rozprostowuje nogi na łóżku - kieliszek balansuje na jej brzuchu - i stwierdza, że my też powinniśmy się stąd zabierać. Jak wszyscy inni. Na wakacje.
- Wakacje? Dla mnie to są wakacje. To, że jestem tu z tobą - kłamię.
Patrzę, jak na zegarze w radiu jednocześnie przeskakują wszystkie cyfry. Mama zaraz wyląduje na amerykańskiej ziemi. Uderzy ją żar asfaltu, obcy zapach. Być może już żałuje, że wyjechała?

- Krystian, zabierajmy się stąd - powtarza Kaj i łapie mnie za rękę - jak najdalej stąd... - wplata swoje palce między moje, powoli, natarczywie. Nie lubię, kiedy to robi. Proponuje niemożliwe. I liczy na to, że jak zawsze powiem nie.
Wydarzenia przypominają wyliczanki, które zmieniają się trochę za każdym razem, kiedy się je recytuje. Z Paryża, oprócz zdarzenia w pisuarze przy Notre Dame, najwyraźniej pamiętam zapach cienkich naleśników, które smażyli na ulicy i serwowali z ciemnym syropem. Nie spróbowałem ich, ale nadal mogę przywołać ten zapach z mrowieniem niedosytu na języku.
Powinno się zaczynać od lepszych win. To ja nauczyłem tego Kaj. Idzie teraz do kuchni i wraca z butelką

czerwonego węgierskiego, które ma posmak zardzewiałych narzędzi przez zapomnienie zostawionych na zimę na dworze. Mama nie wie, ile butelek przechowuje w barku, inaczej nie musiałaby zamykać go na klucz, twierdzi Kaj. Nad łóżkiem wisi nasze zdjęcie z dzieciństwa, stoimy w kuchni sąsiada, każde z dyndającym w ręku świeżo ukatrupionym kogutem. Pokazujemy je do obiektywu, dumni, jakbyśmy je sami zarżnęli. Kaj zezuje na obserwatora, dwie szczerby w zębach, ja jestem bledszy niż płótno.
- Naprawdę byliśmy tak brzydcy? - zastanawiam się i kładę koło niej, z dołu przyglądam się fotce, pamiętam swoją siostrę jako najpiękniejszą w naszym układzie słonecznym.
- Może byśmy się tak zdrzemnęli? - mruczy.
Jest wykończona tym całodziennym siedzeniem bez ruchu, które sama sobie nakazała. I wstawiona od picia na pusty żołądek, lekko przeciąga słowa.
- Pośpimy, dopóki nie przestanie padać. Krystian, chodź. Śpij u mnie.
Wszędzie ten zapach, czuję go od wejścia do domu. Pleśń i sól. W wykładzinach, w tapetach. Nocą w pościeli i poduszkach. To, czego najbardziej nie cierpię, równo-

cześnie sprawia, że czuję się jak w domu. Ten zapach. Ten nieustający wiatr. Kocham morze nawet bardziej niż ludzi, ale czasami zastanawiam się, czy to faktycznie jest miłość, czy może tylko korzenie. Jakieś fizyczne wspomnienie, które tkwi w ciele, i z każdym kilometrem, o jaki oddalam się od morza, rośnie poczucie, że poruszam się

w złym kierunku. Być może dlatego Kaj tu została? Bo nie zniesie większej dezorientacji niż ta, w której żyła od zawsze.

Leżę jak na szpilkach, czuję jej nieregularny oddech na karku. Co chwilę otwieram oczy i sprawdzam, gdzie jestem, muszę pilnować, żeby wszystko nie zatonęło. To jakby spać na łodzi, w środku nocy Kaj może wywiercić w niej dziurę i pozwolić ciemności wedrzeć się do środka. Jak tylko próbuję się wymknąć, ona przez sen łapie mnie za nadgarstek i przytrzymuje. O świcie budzi mnie chłód w pokoju. Jestem sam w łóżku, zamotany w przesiąkniętą wilgocią pościel. Nie ma Kaj. To moja pierwsza opieszała myśl. Wiatr otworzył okno, na zewnątrz mgła opadła nisko, morza w ogóle nie widać. Wołam ją raz, drugi, ale przez tę biel, w gęstym powietrzu, głos nie sięga daleko. Znikła? I to już pierwszej nocy - co ja, kurde, powiem mamie? Szybko wciągam golf na podkoszulek, ale materiał zwilgotniał i wcale nie grzeje. Nasłuchuję, czy nie ma jej w ogrodzie, i właśnie kiedy wychylam się, żeby znów krzyknąć jej imię, ona kładzie mi ręce na oczach i prosi, żebym zgadnął, kto to.

Ktoś przyszedł do naszego domu. Ktoś przyszedł z Kaj zawiniętą w żółtą puchową kurtkę. Był środek zimy, miałem cztery lata, a Kaj zaledwie parę miesięcy. Kobieta powiedziała, że to córka taty, a on, według mamy, ani nie zaprzeczył, ani się nie przyznał. Po prostu odebrał w przedsionku żółte zawiniątko jak paczkę, której się spodziewał.

Patrząc na Kaj, można sobie wyobrazić, jak wyglądała jej biologiczna matka, bo nie ma rysów podobnych do

któregokolwiek z nas. Tata przeszedł przez nią bez śladu, dokładnie tak samo jak przeze mnie i Jensa. Jakby obawiał się, że utraci cząstkę siebie samego?
Imiona Kaj Angelika miała wyszyte na sweterku. A ponieważ przez cały czas sądziliśmy, że kobieta, która ją kiedyś zostawiła, wróci po nią, nazywaliśmy ją dalej Kaj. Potem było już za późno na odebranie jej tego imienia, jedynego, co miała, pojawiając się u nas. Mama zawsze pragnęła mieć dziewczynkę. Ale czy mogła przypuszczać, że jej jedyna córka zjawi się bez ostrzeżenia opatulona w żółtą kurtkę, z obcym imieniem, obcymi oczyma, obcym zapachem, z obcym wszystkim?
Kiedy mgła znika w głębi lądu, Kaj schodzi na plażę i spędza tam wiele godzin. Dłużej siedzi w wodzie niż na lądzie, białe bikini odbija się na tle fal. Nie muszę wychodzić na słońce, mogę mieć ją na oku z piętra. Płynie do pomostu zakotwiczonego z dala od brzegu, który tata zbudował, kiedy byliśmy mali, i z niego nurkuje. Jej się nie da uchronić przed morzem. Nie da rady, mama, jak sądzę, nawet nie próbuje. Ja jakoś zawsze wiedziałem, że prądy jej nie porwą, chociaż mama często nas przed tym ostrzegała. Kaj jest za silna i za szybka. Prądy nie uniosłyby jej, nawet gdyby sama tego chciała. Akurat kiedy pozwala głębinie, żeby ją zassała, pomyśli o mnie i nie da się wciągnąć.
14
Wraca do domu dopiero wtedy, kiedy zaczyna się robić zimno. Spalona na raka i opiaszczona, ostro sterczące łopatki niczym lśniące płetwy grzbietowe, fajka i maska do nurkowania przyrośnięte do ręki.
- Chodź, popływamy sobie trochę wieczorem - mówi i przyciska do zębów sine usta, żeby przestały drżeć. Wieje od morza, wysokie fale rozbryzgują się o brzeg.
- Innym razem - odwracam wzrok, kiedy ona zrzuca z siebie mokry strój i wyciera się do sucha ręcznikiem.
- Krystian, proszę cię!
-Nie.
- Proszę cię, Krystian, proszę, proszę...

- Będzie jeszcze wiele wieczorów - odpowiadam.
- Ale nie będzie już tak dobrych fal. Widziałeś mnie? Surfowałam przez fale.
- Wiesz, że to niebezpieczne - próbuję.
- Jasne, jasne - odpowiada, rzuca bikini i ręcznik plażowy, zostawia mokry kopczyk na podłodze i idzie na górę do siebie.
Kaj krąży po pokojach, chodzi jak we śnie w promieniach wieczornego słońca. Ma w sobie coś z muchy, coś ospałego, somnambulicznego. Jakby szukała czegoś, co gdzieś zapodziała. Albo czegoś, za czym zawsze tęskniła, choć nie wie, co to jest. Nie powinienem był jej czytać o tych muchach. Krótkiej notki, którą wyciąłem z gazety i włożyłem do portfela. Któregoś dnia sierpnia, donosił tekst, miano dostarczyć trzydzieści tysięcy much od jakiegoś kolekcjonera ze Skanii do British Museum w Londynie. Niektóre okazy pochodziły z tak

egzotycznych miejsc jak pisuar pod wielką rozetą w Notre Dame. Czy z wrzodu na plecach żony kolekcjonera.
Nie pamiętam, czy widziałem jakieś muchy w tym pisuarze. Jedynym wspomnieniem z Paryża, jakie chcę zachować, jest zapach smażonych na ulicy naleśników. W tym pisuarze byłem jeden jedyny raz, nigdy nikomu o tym nie opowiadałem, nawet Kaj. Nikt z wyjątkiem głupich turystów i gejów nie zajrzałby tam, ale ja, piętnastolatek, o niczym nie miałem pojęcia. Ktoś zaszedł mnie od tyłu, kiedy sikałem, i wsunął rękę prosto pod strumień. Pod strumień. Myślałem, że umrę.
Kaj zabiera się do szukania much w całym domu i już po chwili znajduje ich pełną garść tam, gdzie nie leżałyby, gdyby posprzątała, jak miała to zrobić. Do niej należy sprzątanie. To jej jedyny obowiązek. Większość znalezisk pochodzi z gabinetu mamy, ostrzegam ją, mama zauważy, jeśli ktoś przesunie jej chaos choćby o pół milimetra, strasznie tego nie znosi. Kaj jednak przewraca do góry nogami karty pacjentów, testy płodności i wymazy i żwawo powiększa swoją kolekcję. Zbiera muchy pojedynczo,

pincetą, jakby to były egzemplarze zagrożonego gatunku. Zawsze coś zbierała. Obiekty stale się zmieniają, ale pustka nie daje się niczym wypełnić. Kiedy byliśmy mali, zbierała chwile szczęścia. Przez moment, mniej skomplikowany, myślę, że zaraz po tym, jak tata się wyprowadził, kolekcjonowała pudełka po zapałkach, jak każdy normalny dzieciak. Potem nagle przerzuciła się na trujące rośliny. Znalazła w szkole podręcznik i nauczyła się na

pamięć wszystkich nazw i objawów. Pęcherze, krwawienie błony śluzowej, paraliż mięśni, zatrzymanie czynności oddechowej. Nadal pamiętam nazwy, które mruczała do siebie, chodząc po domu: przestęp biały, mydlnica lekarska, ostrokrzew kolczasty, wawrzynek wilczełyko. Ładne nazwy, jak na zabójcze rośliny. I nimi się znudziła, zaczęła zbierać: włosy, szklane zwierzaki, obcięte paznokcie, kartony po mleku, gładkie kamienie. Kolekcjonowała już prawie wszystko, z wyjątkiem myśli, jakie ludzie mieli na jej temat. To byłoby za łatwe, Kaj nie lubi tego, co łatwe.

Być może zbiera, żeby zrekompensować sobie wszystko to, co wokół niej znika? Rzeczy wokół Kaj zapadają się w nicość, zawsze tak było. Najczęściej znika to, czego człowiek wcale nie chce się pozbywać, a im bardziej ona pomaga w szukaniu, tym więcej czasu upływa, nim się to odnajdzie. Jak gdyby sama jej obecność sprawiała, że przedmioty się gubią.

KAJ

(Szklaneczka zemstą)

Muszki, które unoszą się nad wodorostami, są mniejsze i trudniej je złapać, przelatują przez palce, są niemal przezroczyste, jak morze. Zamknięte w słoikach latają dalej, powoli, jakby leciały pod wodą. Zwierzęta. Lubi się je. Zwłaszcza jako dziecko, nic w tym dziwnego. Czasami wyrządza się im krzywdę, ale to przechodzi, to tylko coś, co się zdarza, a potem człowiek tego żałuje i zapomina. Skrzydełka much są tak cienkie jak poranny lód na kałuży. Chce się sprawdzić palcami, czy wytrzyma. Jeden

raz tylko, kiedy miałam trzynaście lat, wiele lat po tym, jak Jack się od nas wyprowadził, mama wysłała mnie do niego. Z powodu ptaka, bo żywcem obdarłam go z piór. Leżał pod zlewem w pudełku po butach, uwiązł w siatce nad malinami i uszkodził sobie skrzydło. Krystian przez wiele dni karmił go komarami i wodą z cukrem. Był piękny, cały czarny. Najpierw powyrywałam pióra na skrzydłach, chciałam zobaczyć, co jest pod spodem. Rzucał nogami, ale się nie odezwał. Mamę ogarnął niepokój. Nie o ptaka, o mnie. Nie-pokój. Wpadła w histerię i wysłała mnie do Jacka. A ptak? Jemu ukręciła kark

i zakopała za garażem, co miała zrobić? Jack nie był przygotowany na mój przyjazd. Prawie zapomniał, że istnieję. A tu nagle stoję na schodach razem z mamą i torbą, którą mi spakowała.

- Tydzień. Za tydzień po nią przyjadę - powiedziała mama.

Wystarczająco długa kara, żebym już nie powtórzyła numeru z ptakiem.

- Jack, ona jest też twoja, zapomniałeś? - dodała, widząc jego spojrzenie.

A potem odeszła. Nie wspomniawszy, co zrobiłam, bo Jack kochał zwierzęta i wpadłby w szał, gdyby usłyszał o ptaku.

- Dlaczego przychodzisz teraz, skoro nie przyszłaś nigdy wcześniej? - zdziwił się.

Ale ja nie byłam taka głupia, żeby mu odpowiadać. Zdawał się wierzyć, że mama poznała jakiegoś faceta i to dlatego - niech sobie wierzy. Nie cieszył się wcale, że ma mnie u siebie. Nie miał czasu. Prawie się nie znaliśmy. No i te kobiety. O nich mamie nie powiedział, zrozumiałam to, kiedy już pojechała. Że miał masę kobiet, do których musiał zdążyć. Mnóstwo kobiet. Za dnia mogłam w mieszkaniu robić, co chciałam, podczas gdy on siedział przed telewizorem, zwijał papierosy, smażył paluszki rybne, zmywał naczynia. Jednak jak tylko zapalały się latarnie, musiałam iść do pokoju, w którym

rozBo|yB mi Bó|ko polowe. Zamkn drzwi. Nie
wa si , nie gada , nie oddycha . Szybko si n
MiaBy brzydkie samochody. Nie wiem, dlaczeg
19
wszystkie miaBy brzydkie samochody, takie ba
dziaBam przez okno. MiaBam nadziej , |e |adn
nie jest moj prawdziw mam . I ten zapach. Z
byBo czu ich zapach. Jak tej z passatem, par
byBa pierwsza, potem zacz By mi si miesza .
drugiego dnia, widziaBam przez szpar |aluzji
zaparkowany w poprzek chodnika. {óBty passa
rzem rdzy nad koBami. Babski samochód. Babs
wanie. ZostawiBam szpar w drzwiach, tak , |e
przez ni wygl da . Jack staB w kuchni i nalew
nich obojga do szklaneczek z crust . Jej gBos
go. ByBo wida jedynie par grubawych nóg w
- Jack... dla mnie z lodem - zawoBaBa.
Z lodem? Chyba b dzie musiaBa si bez niego
Jack nie miaB lodu. Lód jest przecie| dla bab.
w pokoju, drzwi maj by zamkni te, bo mnie p
nie ma, zreszt jak miaBabym stan po[ród ty
neczek i muzyki, powiedzie : Cze[, jestem K
da r k , jak mnie mama uczyBa? Kobieta wsta
i mign Ba mi w uchylonych drzwiach, nim usia
napie plecami do przedpokoju. ChciaBa mie J
siebie. Nie przyszBa tu tylko po to, |eby siedz
na nog i gada . ByBa ciemnowBosa, ubrana p
swojego passata, w co[|óBtego, w skiego, opi
wsz dzie. WszedB Jack ze szklaneczkami, ale
si w fotelu, zamiast obok niej. Ona za[miaBa
nerwowo z kanapy, chyba nie podobaBo jej si
na ni patrzy. Z daleka.
-Na -co-si -tak-gapisz? zapytaBa ze [mieche
20
Jack zapaliB papierosa, pocz stowaB j , choci
go, kiedy babki pal .
PodszedB do adaptera i pu[ciB co[, co, jak s
si jej podobaBo. Co[spokojnego. Jedn ze st

mamy, Barbrę Streisand. Coś, czego mama już nie słuchała. Tę płytę zachował pewnie na pamiątkę. Cholera, sikać mi się zachciało. Muszę, muszę, muszę się trzymać w ukryciu. Położyłam się na łóżku i otworzyłam paczkę chipsów, które dostałam od Jacka, żeby przez cały wieczór się nie pokazywać. Zacisnęłam nogi, szybko wrzuciłam w siebie kilka garści, przewróciłam się na brzuch i zaczęłam macać pod łóżkiem w poszukiwaniu słoika. Jest. Przeszmuglowałam go w torbie z domu, teraz podniosłam i trzymałam pod światło. Zwierzak napęczniał już do granic, zaczął się kurczyć. Kolor zmieniał się już z brązowego na szarofioletowy, oczy wytrzeszczone i suche. Oddychał. Calutki tydzień, a on nadal oddychał. Potrząsnęłam słoikiem, tak że przewrócił się do góry nogami. Nóżki drgnęły mu lekko, ale nie dał rady sam się przewrócić. Jeśli nie przestanie oddychać do jutra, zrobię to, pomyślałam. Zrobię to, zdecydowałam. Nikt nie może przez tydzień żyć bez powietrza, Jens tak powiedział. Odłożyłam słoik i rzuciłam na niego T-shirt, żeby Jack go nie znalazł, gdyby wszedł i zaczął węszyć. On troszczył się o zwierzęta, wiedziałam przecież, zupełnie jak Krystian. O ptaszki, które wpadły na szybę, nawet o insekty. Dostawał szału, widząc, że ktoś im coś robi. Długo już nie wytrzymam. Będę musiała przykucnąć na parapecie i sikać jak jakiś dzikus prosto w ciemność. Nie obchodzi mnie, że ktoś może zobaczyć. Sąsiedzi z przeciwka

mieliby wreszcie na co popatrzeć. Wyglądali na takich, co przesiadują w kuchni przy zgaszonym świetle i gapią się na to, co się dzieje na zewnątrz. Widać tylko żar papierosa. Wrzucałam w siebie chipsy garść za garścią, dopóki nie opróżniłam paczki. Myk, myk, po programach. Potem zrobiło mi się niedobrze. Musiałam leżeć bez ruchu i powstrzymywać to, co mi podchodziło do gardła. Jack puścił głośniej muzykę, babsztyl śmiał się sztucznie w żenującej ciszy między piosenkami. Teraz jej zapach docierał nawet do mnie do pokoju. Babski zapach. Perfum, mentolu, czosnku. Później zaczęli w sypialni Jacka

za ścianą. Wcale nie brzmiało to zachęcająco, wezgłowie łóżka uderzało o ścianę, ale w końcu mogłam wyjść niepostrzeżenie z pokoju. Wymknęłam się do ubikacji w ostatniej chwili przed zsikaniem w majtki. Jak tylko skończę, muszę prędko wracać do siebie, bo Jack pewnie jest szybki. Spuściłam roletę i zwinęłam się w kłębek na łóżku. Obraz na ekranie telewizora skakał między filmem, na którym dwaj milczący faceci brodzili w bagnie z bronią uniesioną nad głową, a niebieskim studiem, gdzie kobieta czytała wiadomości w jakimś dziwacznym języku. Brakowało mi mamy, tęskniłam za domem, za Krystianem... za nim też tęskniłam. Tylko czy on tęsknił za mną? Przysięgał, że nie miał pojęcia, że mama wyśle mnie do Jacka. W przeciwnym razie nie naskarżyłby na mnie, twierdził. No, ale cóż, jeśli troszczył się bardziej o martwego ptaka niż o własną siostrę, to sam będzie sobie winien. Bo jeśli Jack się do mnie przyzwyczai, może tu zostanę? Krystian powinien był o tym pomyśleć. Pomyśleć o tym, zamiast zawracać sobie głowę

jakimś ptaszyskiem. Całe dnie przesiadywał przy nim w kuchni, karmił go, a teraz on nie żyje i to wcale nie jest tylko moja wina. Po drugiej stronie ściany Jack nareszcie ucichł. Leżałam z ręką między nogami i głową wciśniętą w poduszkę. W mroku pod łóżkiem ropucha w słoiku dyszała, szukając tlenu. Wieczko zaczęło się wybrzuszać. Od fermentacji. Jutro to zrobię, postanowiłam. Jeśli jutro będzie jeszcze żyła, zrobię to.

INGRID

(Czarny ląd)

Czarna woda, czarny ląd. Cień samolotu sunie po morzu. Odchylam fotel, rozkładam sweter na kolanach, zakładam okulary przeciwsłoneczne. Przez szum klimatyzatora dobiega mnie szept Kaj. Akwalung, mamo... nie zapomnij. Nie, nie zapomnę, Kaj, wiesz przecież. Tylko nie rozumiem, po co ci on? Zawsze twierdzisz, że umiesz oddychać pod wodą.

Jens w fotelu obok zamyka oczy, wyciąga swoje długie

nogi. Z profilu coraz bardziej przypomina ojca, pod tym kątem, z którego ani on, ani Jack nie mogą się zobaczyć. Jego ręce leżą lekko na biodrach, źrenice poruszają się szybko pod powiekami.
- Nie myśl już o tym. Kaj sobie poradzi - odzywa się, kiedy samolot wtacza się na pas startowy. Moje palce szukają woskowanej torebki w kieszeni fotela. - Atlantyk to odpowiedni dystans między tobą a Kaj, mamo - mruczy. Otwieram torebkę i trochę odwijam brzegi, silniki zaczynają wyć, samolot przyspiesza. Pochylam się. Czuję, jak słona ślina spływa mi na język. Przechodzą mnie na zmianę fale gorąca i zimna, a potem, mimo okularów,

razi mnie niemal bolesne światło, kiedy przebijamy się przez chmury.
- Ladies and gentlemen... - zaczyna pilot.
Pot stygnie w jednej sekundzie. Dwa krótkie skurcze, wymiotuję.
Jens udaje, że nic nie zauważył, czy może już zasnął? Pracował całą noc, masa kłótni i pijatyk, jak zawsze areszt przepełniony na początku lata. Kiedy podjechałam po niego w drodze na lotnisko, miał cienie pod oczami i był bardziej poirytowany niż zwykle. Klął na tych gówniarzy, którzy dla nikogo nie mają szacunku. Wydaje się, że już nie pamięta, jaki sam był w tym wieku, jak często go zwijali i jak często musiałam go stamtąd odbierać, kiedy wychodził na imprezę. Zaczęło się, kiedy Jack się zmył. To jak zdjąć kapsel z mocno wstrząśniętej butelki i pozwolić, żeby gaz wystrzelił.
Dłonie Jensa. Prawie dwa razy większe niż moje. Leżą wyciągnięte na udach. Nadal obgryza paznokcie, jak w dzieciństwie, muskularne ręce zakończone tymi wielkimi dłońmi z małymi ogryzkami paznokci. Cichy szmer klimatyzacji, chłód na twarzy. Lecimy nad wodą i chmurami, nudności powoli ustępują i proszę o coś do picia. Dostaję swój gin z tonikiem, lód uspokajająco dzwoni o szkło, kiedy przykładam szklankę do szyi. Jens śpi. Podoba mi się, jak śpi, ciężko, w skupieniu, ręce roz-

luźnione, nieruchome. Jest podobny do Jacka. Był czas, że robił wszystko, żeby upodobnić się do swojego taty. Teraz nie musi się wysilać, przypomina go bardzo, ale już nie lubi, kiedy mu o tym mówię.

25

Rano było niezwykle zimno, deszcz wisiał w powietrzu, przypomniałam Kaj, że Krystian nie przyjedzie przed wieczorem. Żeby nie siedziała na schodach przez cały dzień, wypatrując brata na drodze. Żeby nie czekała. Nie zapomniała o jedzeniu i oddychaniu, nie siedziała bez ruchu. Żeby nie zapomniała się ubrać i nie rozchorowała się. Kiedy to mówiłam, siedziała ze sztucznym uśmiechem na wąskich ustach i nie wiem, co sobie myślała. W lusterku wstecznym znikła niczym żółta, zamazana kropka, ślepa plamka, ale jej głos słyszałam, dopóki nie wyjechałam na szosę.

- Do widzenia, mamo. Nie zapomnij. Nie zapomnij, co obiecałaś!

W tej żarliwości krył się niepokój, ale ja już byłam w drodze. Już nie miałam odwrotu. Akwalung. Obiecałam, że kupię jej te butle do nurkowania, jeśli nie będą za ciężkie, żeby je zabrać do samolotu.

Skręcając na szosę, straciłam ją z oczu i pomyślałam o Jacku. Próbowałam się opędzić od tej myśli, ale było już za późno. Nagle wystraszyłam się, że sama myśl o nim wywoła go z powrotem. Pomyślałam, że niedługo w lipcu skończy pięćdziesiąt lat, że nie mam pojęcia, czy nadal odmawia obchodzenia swoich urodzin, jak wtedy, kiedy byliśmy młodsi. W każdym razie jego ciemny blond musiał już zsiwieć. Czas przecież płynie, nawet jeśli udawać, że się na to nie zwraca uwagi.

- Jeśli Krystian przyjedzie do domu, możesz jechać, mamo - stwierdziła Kaj, kiedy powiedziałam jej o wyjeździe.

26

Chciała, żebym od razu jej przytaknęła, najlepiej jeszcze zanim zapyta, czy się zgadzam. Wychodząc na zimne słońce, zatrzymała się w drzwiach, czekała, obracając

w ręce maskę do nurkowania. Krystian, jej wielka miłość, jej ukochany brat. Nie było go w domu od wieków i jej wyobrażenie o nim z dnia na dzień stawało się coraz bardziej różowe.
- Zobaczymy - odparłam, a Kaj z miejsca wzięła to za tak. Jak mała dziewczynka rzuciła się biegiem po piaszczystej dróżce w stronę morza.
Rankiem, jeszcze zanim odjechałam, ułożyła sobie włosy na jego przyjazd. Szczotkowała je tak, że na podłodze w łazience został wianuszek, upięła je na karku, wiedziała, że tak mu się podoba. Dwa razy przymierzała wszystkie swoje bluzki i T-shirty, wkładała i zdejmowała spódnice i sandały, które od niepamiętnych czasów nie widziały światła dziennego. Wreszcie skończyło się na bikini i drewniakach, jak zwykle, a nim zdążyłam zanieść walizki do samochodu, z powrotem rozpuściła włosy. Puściła wolno. Ale przynajmniej się starała. Dla Krystiana.
Nie mam wyboru, muszę jej zaufać i mieć nadzieję, że nie będę musiała tego żałować. Z Kaj tak łatwo o kłopoty, ot co. A Krystian nie potrafi jej odmówić, jeśli tylko zrobi słodką minkę - ona o tym wie. Może właśnie dlatego kocha go tak bardzo? Bo kiedy jest Krystian, zawsze coś się dzieje.
- Obiecuję, mamo - powiedziała, jakby czytała w moich myślach, siedząc na schodach, zapalając pierwszego tego ranka papierosa. Tyle że obietnica Kaj... jest jak obietnica liści, że nie będą jesienią opadać z drzew.

27

Tego dnia, kiedy urodził się Jens, była burza. Deszcz bił o szyby, wentylator szumiał nade mną jak wysokie drzewa. Jack nie przyszedł, chociaż obiecał, bo cesarskie cięcie było zaplanowane. Zamiast niego za rękę trzymał mnie anestezjolog, cały czas gadał cicho przez maseczkę, żeby odwrócić moją uwagę. Widziałam tylko jego orzechowe oczy, podobne do oczu Jacka. Chirurg przeciął tkanki brzucha w oznaczonym miejscu i pokazał małą, skuloną istotkę zza zielonej zasłony. W jednej chwili nie istniała, w następnej już była. To tak, jakby umrzeć znienacka, tylko na odwrót. Jens wyszedł przez tak niewielką

dziurę, że przez bliznę po niej nie przełożyłby teraz ręki. Anestezjolog puścił moją dłoń i szepnął: „Chłopak, jest chłopak". Nawet jego głos brzmiał jak głos Jacka, wyciągnęłam rękę i odsunęłam maskę, żeby zobaczyć, czy to on, ale reszta twarzy była obca.

Kiedy Kaj przyszła na świat, nikogo z nas przy niej nie było. O jej pierwszych miesiącach nie wiemy nic. Wydawała się niedożywiona, kiedy do nas trafiła, i wyglądała na wcześniaka. Drugiej nocy byłam zmuszona pojechać do siebie do pracy i wziąć z dyżurki kilka jednostek soli fizjologicznej, żeby się ni oa o□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ "□ □ □ □ .□ □

świat poprzez nią. Eksperymentem jest fakt, że ona w ogóle jest u nas. Jens jednak trzyma się z daleka, zaczął, gdy pojawiła się Kaj, i nie przestał. Dopiero kiedy pozbędziemy się tego obcego stworka, on zamierza znów być taki jak zwykle. Ledwo co dotknął ziemi tego lata, przesiaduje na drzewach i strzela morderczym spojrzeniem na wszystko, co się rusza, patrzy na nas oskarżycielsko, zbity z tropu. Potrafi tak spojrzeć na Kaj, że ona wybucha płaczem. Tylko życie Krystiana stało się lepsze, odkąd pojawiła się u nas, bo kiedy Jens trzyma się na uboczu, Krystian ma spokój. On, jako jedyny chyba, liczy na to, że nikt jej nie zabierze z powrotem. Skądkolwiek ona pochodzi.

29

Jakoś się trzymamy. Twoje oczy rano, Jack... otwierają się do światła. Najpierw próbowałam nie kochać Kaj. Nie dało się. Potem próbowałam ją kochać, ale też się nie dało. Teraz tylko czekam, co będzie. Jak z Krystianem i Jensem, też zabrało mi trochę czasu, zanim ich pokochałam, chociaż kiedy się urodzili, byli podobni do mnie, jak miniaturki mnie samej. Pozwalam Kaj spać między tobą a mną w naszym podwójnym łóżku, klin między nami, konieczny dystans.

Budujesz dla mnie altanę, w której będę mogła posiedzieć i poczytać wieczorami. Robisz saunę w piwnicy, stawiasz garaż dla mojego fiata ritmo. Tylko w stolarce i pieprzeniu na lewo i prawo jesteś dobry. Nic mnie nie obchodzi, że chłopcy mogą usłyszeć. Kocham cię i nienawidzę równocześnie - prąd zmienny, który nie potrafi obrać kierunku. Stawiasz dla mnie brzydką werandę z ciemnoczerwonej cegły, żebym wybaczyła ci Kaj. Trwa to przez pół lata i w tym czasie to ja muszę się nią opiekować. Cały czas trzeba jej pilnować.

Mrok się w tobie rozgałęzia, Jack. Wypełnia cię, zamyka. Ten proces rozpoczął się dawno temu. Może jeszcze zanim cię spotkałam? Ale odkąd Kaj zjawiła się u nas, posuwa się to dużo szybciej. Chłopcy nie bardzo rozumieją dlaczego, tyle tylko, że ma to związek z Kaj. Nie rozróżniają przyczyny i winy. Wina nie może być jej, ona

jest na to za marniutka, nie większa od kota, kiedy skulona zaśnie na kanapie. Ale Jens nie chce tego zrozumieć. Nienawidzi Kaj. Patrzy na nią, aż ona zacznie płakać. Po kim on ma ten wzrok, Jack?

Nasze dzieci są kanibalami. Zjadają nas żywcem. Nigdy nie zostawią w spokoju. Zbijasz płot przy ścianie, żeby Kaj nie wypełzła na drogę i samochód nie zrobił z niej mokrej plamy. Gdzie by ją postawić, ona obiera kurs na drogę w bezsensownej próbie ucieczki.
- Niech sobie zwiewa - mawia Jens - przecież i tak nie jest nasza.
Ty nic nie mówisz, wbijasz gwoździe jak maszyna, żeby skończyć przed wieczorem. Krystian stara się nas rozweselić, cały czas próbuje nakłonić nas do śmiechu. W końcu zostaje mistrzem w potykaniu się o próg i lądowaniu w absurdalnych pozach. Pracuje, aż pot paruje mu z głowy.
- Popatrz, mamo, popatrz, popatrz... - chce, żebym odwróciła uwagę od Kaj i spojrzała na jego bolesną ekwilibrystykę.
Jest jeden z tych długich, błękitnych, lipcowych wieczorów, jaskółki latają wysoko, zwiastując piękną pogodę na jutro. Chodzisz na rękach wokół domu, Jack. Okrążenie za okrążeniem po świeżo skoszonej trawie, pot spływa ci po spalonych plecach. Schudłeś, odkąd Kaj jest u nas, nie usiedzisz chwili w spokoju, bawisz się z chłopcami jak nigdy przedtem, chodzisz z kąta w kąt, pracujesz bez wytchnienia, projekt za projektem.
- Ingrid! - wołasz - wskocz na rower i kup kilka zimnych piw. Pójdziemy na plażę popływać.
Sadzam Kaj w cieniu. Cienkie włosy nie chronią jej przed słońcem, a ona uwielbia palące słońce, przenosi się z cienia, gdy nikt nie patrzy. Kiedy wracam ze sklepu

z piwem, ty już siedzisz w altanie z nowymi letnikami z sąsiedztwa. Z tymi, z którymi jeszcze nie zdążyliśmy się dobrze przywitać, chociaż minęła już połowa lata. Leif,

jasne oczy i piegowata szyja, podając mi rękę, wstaje. Helle z dziewczęco długimi włosami kiwa głową i uśmiecha się.
- Ingrid, przynieś trochę orzeszków - mówisz. - Odpuszczamy sobie wieczorną kąpiel.
Ścierasz pianę z wąsów, które zapuściłeś, kiedy pojawiła się Kaj. Są jeszcze rzadkie, jak przetarta szczoteczka do zębów. Starasz się wyglądać dojrzale, być podobny do swojego ojca, chociaż powtarzasz, że nie chcesz go pamiętać.
- Ładne dzieci - mówi Helle.
Liczy ich głowy w wysokiej trawie. Ruszają się tak szybko, że wydaje się, jakby było ich dwa razy więcej.
- Helle przepada za dziećmi - śmieje się Leif.
Wtedy właśnie przychodzi Krystian i spuszcza mi rzucającą się rybę w objęcia.
- Masz! - woła. - Ona je ślimaki, mamo.
Muszla ślimaka chrzęści o podniebienie, Kaj wygląda na szczęśliwą. Próbuję wyłuskać palcami resztki, ale zdążyła je już połknąć, podochocona grymasem wstrętu na twarzy Krystiana. Jest głodna, zawsze głodna, wszystko bierze do ust. Proszę cię, żebyś poszedł podgrzać butelkę z kaszką; najpierw udajesz, że nie słyszysz, w końcu jednak wstajesz zakłopotany, z irytacją przeciągasz ręką po wąsach, zerkasz na Helle i znikasz w kuchni.
Walisz garnkami przy otwartym oknie, mikser charczy, rozmowa w altanie ustaje, Leif głaszcze Helle po włosach. Kaj zapalczywie ssie moje palce, jakby je także

chciała zjeść. Wpatrzyła się w naszyjnik Helle z zielonych kamieni, wszystko inne na świecie przestaje dla niej istnieć. Żadne tam ślimaki czy głód, tylko lśniące, zielone kamienie.
- To może być tasiemiec - podsuwa Helle - jeśli dużo je, a robi się coraz szczuplejsza. Powinnaś ją zbadać. Kiedyś mieliśmy kotkę, która jadła, jadła, aż umarła z głodu. Weterynarz znalazł w niej osiemnastometrowego tasiemca.
Leif kręci się na krześle, jakby to on miał tasiemca.

- Helle! - syknął, ona patrzy na niego, nie rozumiejąc. - Mówimy o jej córce]
Kaj wyciąga do Helle brudne rączki z takim zapamiętaniem, że nie mogę jej utrzymać. Daję za wygraną, a ona od razu szuka iskrzącego się zielonego skarbu.
Polubiłam ich od samego początku, Helle i Leifa. Lubię nawet ich imiona. Przypominają nas, kiedy byliśmy młodsi, mimo to jest w nich coś takiego, co mam ochotę zniszczyć. Tęsknotę za małymi, roześmianymi dziećmi, które jedzą ślimaki na trawie?
- Właściwie to nie jest moja córka - słyszę własne słowa.
Leif się uśmiechnął. Uśmiecha się, jakby myślał, że żartuję - czy może sądzić inaczej? Wtedy opowiadam to, o czym zwykle milczę. O wijącej się paczuszce zawiniętej w żółtą kurtkę. O kobiecie, która zostawiła Kaj i znikła. Opowiadam pospiesznie, zanim wrócisz z kaszką i kołderką w niebieskie kotki. Ulubionym okryciem Kaj. Zasypia w nim, jeśli kołysać ją, dopóki nie odpadną Ci ręce, aż zakręci jej się w głowie i uśnie.
33
Oczy Helle i Leifa są coraz większe, rosną szybciej niż mokra plama na papierze. Kiedy wracasz do ogrodu z butelką, przy stole panuje cisza. Ale nie zauważasz tego; kiedy spotykamy się z ludźmi, ty sam gadasz najchętniej. Jakbyś się bał, że mnie zaświerzbi język. Podajesz butelkę Kaj, która zapamiętale podskakuje na kolanach Helle, tylko teraz Helle trzyma ją inaczej. Bardziej niepewnie. Jakby Kaj stała się czymś innym niż dzieckiem. Dziwacznym przedmiotem, który przynosi pecha.
JENS
(Poligon)
Nie wiem, co gorsze, patrzeć, jak ktoś się rodzi czy jak umiera. Widziałem, jak umierają psy, ale nie jak ludzie. Widziałem, jak rodził się Krystian. Koło Kabusy, tego poligonu, w tirze ojca wypadł głową na wycieraczkę pełną żwiru i naniesionego śniegu. Przyczepa była jeszcze pełna konserw z Polski, których ojciec nie zdążył rozłado-

wać. Akurat udało mu się zatrzymać tę obładowaną ciężarówkę na zlodowaciałym śniegu na skraju drogi, kiedy wyślizgnął się Krystian. Mama z silnego bólu osunęła się z siedzenia i zgięta pod dziwnym kątem leżała pochylona nad Krystianem. Tam na zewnątrz mijały nas samochody, napotkałem czyjś wzrok, chciałem podnieść rękę, dać znak, ale dłonie mi zgrabiały i nie mogłem wyciągnąć ich z rękawów kurtki. Stary wrzeszczał. Krzyczał do mamy i próbował wciągnąć ją na siedzenie. Gdzieś pod nią w ciemności Krystian walczył o oddech, mama leciała z nóg, była całkiem nieprzytomna. A na pryczy za fotelami tkwiłem ja i myślałem, że jeśli tylko będę siedział bez ruchu, zupełnie bez ruchu... i śledził wzrokiem wycieraczki na szybie, to może wszystko zaraz się skończy.

35

Przez cały czas, kiedy Lisette oczekiwała dziecka, nie mogłem myśleć o niczym innym tylko o tym, jak będzie wyglądał poród. A ona, żeby mnie wkurzyć, pracowała, oczywiście, dopóki nie odeszły jej wody, w dyżurce straży nadbrzeżnej. Potem darła się całą drogę na porodówkę nie chcę, nie chcę, nie chcę, aż wreszcie sanitariusz miał dość i ogłuszył ją gazem rozweselającym. Później powiedzieli mi, że poród przebiegł prze-pięknie. Całkiem normalnie. Jednak obiecałem Lisette, że już nigdy nie zrobię jej dziecka. Trzy miesiące później złamałem przyrzeczenie, ostatniego wieczora w Skagen, w publicznej toalecie, kiedy czekaliśmy na pociąg.

Już niedługo. Nie teraz, jeszcze nie teraz. Może po międzylądowaniu? Powiem mamie w hallu tranzytowym, na neutralnej ziemi. Nie o wszystkich planach, tylko o tym pierwszym. Tylko krok numer jeden. Lecę z nią na Florydę, ale tam się rozstajemy. Ja znikam, wynajmę sobie jakiś tani pokój. Mam gdzieś całe to getto turystów, to i tak nie dla mnie, te tłumy ludzi, Amerykanów, miszmasz. Po prostu nie dla mnie. Chcę mieć spokój. Potrzebuję go. Robimy na własną rękę to, na co mamy ochotę, a potem po trzech tygodniach spotykamy się na lotnisku. O co mi chodzi? To żadna wielka przysługa, ma tylko dzwonić

do Lisette i kłamać, że bawimy się w turystów, opalamy, kąpiemy, pijemy zimne piwko przy basenie.
Tak czekałam na ten wyjazd... Powie mama i spojrzy na mnie z rozczarowaniem. Przecież nie lubisz być sam, Jens, nie cierpisz tego. Coś ty znowu wymyślił? Podejrzliwie. Oskarżycielsko. Jak zwykle. Ale zobaczy po mojej

minie, że nie ma sensu na mnie naciskać. Nie odważy się. Mam swoje cele, są przemyślane i nie zmienię ich tylko dlatego, że ona zacznie mi truć. Będzie moim alibi. Nic w tym samolubnego, chodzi tylko o to, żeby i dawać, i brać. Mogłem wziąć ze sobą kogokolwiek, nikt by nie odmówił, nawet gdyby wiedział, że umowa nie obejmuje mojego towarzystwa. Ze mną czy beze mnie wycieczka na Florydę jest chyba spełnieniem marzeń, prawda? Gorące białe plaże, trzy tygodnie w luksusie za darmo, wakacje w raju. Tylko dzięki temu, że Kaj ułożyła rymowankę o cheerios czy innych pysznych płatkach czekoladowych, których nawet nie próbowała. Cała Kaj. Tylko na coś wskaże, a już to ma, i zawsze jest to stracony pieniądz, bo ona przecież tego nie potrzebuje.
Kaj i podróż na drugi koniec świata, to by się nigdy nie udało. Kto by z nią pojechał z własnej woli? Kto by z nią wszedł na pokład samolotu? W życiu nie usiedziałaby spokojnie dziewięciu godzin w fotelu, jej zła energia zakłóciłaby radary i maszyna rozbiłaby się na środku Atlantyku. Powiedziałem jej to, później już ani razu nie prosiła mamy, żeby pozwoliła jej jechać. Zamiast tego dała bilety mnie, bez śladu emocji na swojej nieprzeniknionej twarzyczce.
Za to Lisette... Nie była równie obojętna. Wydarła się na mnie, kiedy dotarło do niej, że nie zamierzam zabrać jej ze sobą. Narobiła takiego rabanu, że o mało co, a przyłożyłbym jej w tę irytującą gębę, która żyje jakby własnym życiem, kiedy Lisette jest wkurzona. Dla nas. Chciałem jej powiedzieć, ale nie słuchała. Robię to dla nas, Lisette. Dla nas i dla dzieciaków. Wykaż choć raz trochę

cierpliwości, to zrozumiesz. Trzy tygodnie, trochę zaufania, Lisette. Przecież cię kocham, do kurwy nędzy!
Kiedy schodzimy do lądowania, mama znowu siedzi z papierową torebką w pogotowiu, ale nie wymiotuje. W milczeniu przechodzimy przez hall tranzytowy. Jest szaroblada, kiedy tak idziemy, wydaje się, jakby na wpół spała. Nigdy nie leciała aż tak daleko. Niosę jej bagaż podręczny, waży tyle, co mój cały. Jest już ciemno, kiedy nasz drugi samolot wreszcie wtacza się na pas startowy.
- Śpij - mówię, a ona kiwa głową, ale nie zamyka oczu całkiem, powieki jakby zatrzymały się w pół drogi.
Widzę, o czym myśli. To ten cień, który pojawia się zawsze wokół ust, kiedy myśli o Kaj.
KRYSTIAN
(Mogą odejść, jeśli zechcą)
Upał odbiera mi apetyt, ale Kaj nie robi to żadnej różnicy. Zjada wszystko, co postawię na stole. Kładzie plastry różowego bekonu na grube kromki miodowego razowca, wkłada do ust całe jajko na twardo i przewraca oczami. Mleko, zawiesiste i ciepłe, znika w niej w okamgnieniu, a ona uśmiecha się pod błyszczącym białym wąsem.
- Sprzątnę ze stołu... - proponuje, żeby tylko móc chyłkiem wyczyścić mój talerz.
To, co na nim zostało, wędruje do jej ust zamiast do odpadków. Udaję, że nie widzę, jak zlizuje resztki. Jej organizm spala wszystko błyskawicznie jak rozgrzany piec, niczym jakaś pulsująca nieustannie między skroń-mi, tam i z powrotem, tam i z powrotem, maszyneria, której cały czas trzeba dostarczać paliwa, żeby się nie zacięła. Przeguby ma szczupłe, dłonie duże i płaskie jak naleśnik. Nieruchome są tylko w nocy. Ale także kiedy żpi, czasami jej palce biegają jak psy na polowaniu.
Pierwsze dni są spokojne, cisza przed burzą. Gramy w różne gry, żeby jakoś wypełnić czas między posiłkami

i sporadycznymi polowaniami Kaj na muchy. Kości, monopol, cluedo, scrabble, Trivial Pursuit, badminton, boccia. Kaj przegrywa we wszystko, z wyjątkiem siatkówki, bo

potrafi skoczyć prosto w górę z pozycji stojącej niczym dingo, a ręce ma szybkie, stworzone do smeczy.
Kaj rozprzestrzenia się po pokojach niczym deszcz, sącząc niepokój kropla po kropli, nawet nie ruszając się z miejsca. Szybko zużywa cały tlen znajdujący się w domu. Wychodzę odlać się za garażem, jak ojciec miał w zwyczaju, żeby przez chwilę pobyć samemu. Kawałki jego krzesła nadal leżą pod ścianą, gdzie siadał na papierosa, kiedy nie padało. Widzę, jak Kaj stoi w oknie, czekając na mnie, ale daję sobie czas. Stoję w dziurawych gumowcach taty i puszczam strumień na morze przerośniętych pokrzyw. Nie wiem, jak mama to wytrzymuje... Jens ma rację, chociaż zawsze odstręczał mnie obraz szczura biegającego w kółko w wiadrze. On tak widzi Kaj - w kółko, w kółko, zawsze w kółko w ciasnym wiadrze. Kiedy jest na nią zły, zmusza mnie, żebym stawał w jej obronie. I wtedy wpieprza się na mnie, a ja na niego. I mama na mnie, a Kaj na mamę. Potem koło zawraca i robi obrót w drugą stronę, ten ruch się nigdy nie kończy. Brakuje jedynie ojca. A może on sam jest tym ruchem?
Pomagam Kaj obliczyć potomstwo jednej muchy w ciągu jednego lata. Samiczka składa sto dwadzieścia jaj na raz i jeśli z połowy jaj wylęgną się samice i tych sześćdziesiąt muszek złoży sto dwadzieścia jaj każda, to daje siedem tysięcy dwieście nowych owadów. W tym tempie

pierwsza mucha da początek... Wpatruję się w cyfry i liczę od początku, ale otrzymuję ten sam wynik: dwadzieścia pięć milionów dziewięćset siedemdziesiąt tysięcy much. Przed końcem września.
Niewykluczone, że wróciłem do pisuaru pod Notre Dame. Jeden jedyny raz. Nie jestem pewien, ale jeśli, to tylko po to, żeby zrozumieć, co się tam właściwie stało. Bo to, czego nie rozumiesz, nie daje ci spokoju. Swędzi, bo wiesz, że gdybyś się z tym skonfrontował, mogłoby cię to zmienić.
Muchy nie dają mi spać w nocy, a kiedy już się w końcu uspokoją, za ścianą zaczynają chrobotać myszy. Co

nie pozwala spać Kaj, nie wiem, ale coś jej przeszkadza, wkrada się do mnie tak cicho, że spostrzegam ją dopiero wtedy, gdy już jest w moim pokoju. Nie kładzie się przy mnie jak kiedyś, tylko siada w fotelu przy łóżku i okryta kocem przygląda mi się, dopóki nie uśnie. Morze za oknem jest tak blisko, że słychać je, nawet kiedy jest zupełnie spokojne. Brzmi wtedy jak szum z głębin, jak szum krwi w uszach, gdy nurkuje się po świeże wodorosty, tam, gdzie nie ma gruntu.
Muchy są groteskowe, wydaje się, że tylko rosną i rosną. Pewnie przez tę temperaturę, dostęp do resztek jedzenia. Rozkoszują się, tyją, mają się dobrze. Kaj szybko zapełnia nimi dwa słoiki, czekam, aż dotrze do niej, że zajęcie jest obleśne i bezsensowne, i wszystko wyrzuci. Każdy kęs staje mi w gardle, kiedy przy śniadaniu trzyma

muchy na stole. Potrząsa słoikami tak, że wewnątrz aż chrzęści, ogląda je pod światło, żeby sprawdzić, czy nie ma pleśni. Kiedy mrużę oczy, wszędzie je widzę. Chrupki czekoladowe w mleku dostają małych czarnych nóżek.
- Krystian, przestań się cackać - mówi Kaj i kula słoik przez stół - to tylko zwierzęta. A nie jakieś złe duchy.
Ale ja nie byłbym tego taki pewien. Śniły mi się dzisiaj w nocy, miliony much wyleciały ze słoików, kiedy spaliśmy spokojnie, nie przeczuwając nic złego.
Jedziemy rowerami do kamieniołomu. Cały czas pod górę, słońce pali nam karki. Wypełniony wodą kamienny dół leży w słońcu jak otwarte zielone oko, zupełnie bez mułu, bez żadnej roślinności, sam kamień. Chociaż czasami widać młode cierniki. Nie wiem, czym one się żywią, poza naskórkiem tych, którzy się tu kąpią. Gdy nurkujesz, podpływają i małą ławicą ocierają się o ciało. Kiedy trenuję skoki z wyprostowanymi nogami, Kaj siedzi w kucki przy krawędzi oczka. Kiedy staram się zgrabnie przeciąć powietrze, robi mi przytyki, że wyglądam jak pies, którego złapał skurcz. Ona moczy tylko stopy, nie lubi tej głębi bez dna - jak szyb windy, mówi, boi się tu kąpać, choć pływa dużo lepiej niż ja. Nieznośnie tu gorąco - pod

gołym niebem, wokół tylko kamień, żadnych drzew, które dałyby ochłodę. Skwar topi myśli, ale dla Kaj im upalniej, tym lepiej. Gdy jej myśli kleją się, przynajmniej trzymają się kupy.
- Czekałam na ciebie każdego dnia, odkąd wyjechałeś - mówi Kaj.

- Też za tobą tęskniłem - odpowiadam, wypluwając wodę, wiszę na rękach, uchwyciwszy się krawędzi, łapię oddech.
- Nie tęskniłam. Czekałam - powtarza.
Każdego dnia, odkąd ostatnio byłem w domu? To będzie jakieś siedemset dni, Kaj...
- Poznałeś kogoś. Jakąś dziewczynę. Co nie? - pyta.
Kręcę głową i próbuję wyciągnąć się na brzeg, ale ona lekko popycha mnie stopą. Kwas mlekowy napływa do mięśni, muszę odpocząć, nim znowu spróbuję, więc kładę się na plecach.
- Kto tak powiedział? - pytam.
- Chyba sama mogę się tego domyślić! Nie jestem głupia - odparowuje.
Po raz kolejny próbuję wyskoczyć z wody, ona znów mnie trąca. Tym razem trochę mocniej, tak że woda rozpryskuje się na jej nagich nogach. To przestaje być zabawne, ale też i nie miało być, Kaj nigdy nie żartuje. Nawija na palce to samo pasemko włosów co zawsze, włosy ma suche i łamliwe od tego obsesyjnego kąpania się w morzu. Drętwieją mi ramiona, jak przed skurczem.
- Zrób to jeszcze raz, a wciągnę cię do wody - mówię spokojnie.
Z miejsca dostała pietra i odsunęła nogi, żebym nie mógł ich złapać. Ciało ze zmęczenia ciąży w dół ku zimnej głębinie, ale wreszcie udaje mi się wywindować na brzeg.
Jak tylko Jens i ja zaczęliśmy utrzymywać się na wodzie, tata zabrał nas tutaj, żebyśmy nauczyli się skakać na

główkę z kamiennego bloku. Kaj nie wolno było jechać

z nami. Chodziła za to sama nad morze i jak płaszczka uczyła się pływać na płyciznach. Wracała do domu z czerwonymi otarciami na brzuchu od gruboziarnistego piasku i nie chciała powiedzieć, gdzie się podziewała przez cały dzień, choć było to widać z daleka.
Jens i ja nigdy nie nauczyliśmy się dobrze tych wolt, do których zmuszał nas ojciec. Dla niego przełamywaliśmy swój strach, nurkowaliśmy coraz głębiej, coraz bardziej brawurowo, wstrzymywaliśmy oddech jak podwodni poszukiwacze skarbów. Jemu to nie wystarczało. Kiedy zawracaliśmy rowery i z kamieniołomu drałowaliśmy do domu, w jego spojrzeniu widać było zawsze cień rozczarowania.
- Jak jej na imię? Tej, którą poznałeś. Powiedz - drąży Kaj.
Bierze pełne garści żwiru i rzuca te małe, ostre kawałki wapienia na taflę wody; stukający, twardy deszcz. W jej twarzy kryje się jakaś dwuznaczność. Jest nienaturalnie idealna, na granicy chaosu harmonijna, ale jeśli zatrzymać na niej spojrzenie, rysy rozmywają się w końcu jak odbicie w wodzie. Jej wzrok jest jasny i pewny, ale tylko jeśli nie patrzeć jej w oczy zbyt długo. To ochrona przed jej drugim spojrzeniem. Przed tym, które dzieli świat na światło i ciemność, przyczynę i skutek, przed spojrzeniem, które miesza elementy i układa je w inny porządek.
- Wcale się nie nazywa - zarzekam się - tylko pracowałem... Pracowałem po nocach, w dzień spałem.

- Jak to, pracowałeś? - pyta.
- Pracowałem. Tak jak inni ludzie, no, wiesz. Podtrzymywałem życie w noworodkach. Kroplówką, cewnikami i rurkami z tlenem.
Odrywa duże kawałki kanapki i stara się trafić wronę, która skacze w kółko po jednym z kamiennych bloków. Wygląda, jakby przestała słuchać.
- Tylko mama wyobraża sobie, że kocham kogoś innego niż ciebie - zapewniam.
Chociaż nikt nas tu nie usłyszy, mówię szeptem. Jeste-

śmy sami z wodą, ciernikami, kamieniami i wroną. Kaj waży w dłoni spory kamień i wrzuca go do wody.
- Jeśli mnie kochasz, to go przynieś - żąda. - Siedź pod wodą, dopóki go nie znajdziesz.
Imiona Kaj Angelika miała wyszyte na sweterku, kiedy się u nas pojawiła. To ojciec uznał, że będziemy nazywać ją Kaj, a nie Angelika, choć mama mówiła, że Kaj to imię dla chłopca. Dużo później Kaj sama wpadła na to, że jej imię wymawiane od tyłu to Jack. Gdy tata się wyprowadził, Kaj została. Mama powiedziała, że uzgodnili tak z ojcem, ale byłby to pierwszy raz od niepamiętnych czasów, kiedy byliby w czymś zgodni. Kiedy tata raz po raz wpadał, Kaj siedziała spokojnie tak długo, że zostawał po niej odcisk na kanapie. Może paraliżowała ją jego obecność? A może nie chciała uronić ani sekundy z jego krótkich odwiedzin? Tkwiła zupełnie nieruchomo i pożerała go wzrokiem, kiedy siedział na podłodze i rozmawiał ze mną i Jensem, cicho i poufnie, żeby mama w kuchni nie słyszała. Wyglądało na to, że

tata nie wiedział, jak się zachować wobec Kaj. Co robić z dziewczynką, która ma siedem, osiem, dziewięć lat. A im stawała się starsza, tym było trudniej, z wiekiem okazywała mu coraz mniejsze zainteresowanie, aż kontakt między nimi ustał.
Nad głowami pali słońce, pod stopami parzą gorące kamienie. Ślizgam się między snem a świadomością, w ręce nadal ostra bryłka kamienia od Kaj. Kiedy się z nim wynurzyłem, zdawała się już nie pamiętać, dlaczego chciała, żebym go wyłowił, czego miał być dowodem. W ostatnich, dłużących się jak wieczność sekundach huczało mi w skroniach, aż wreszcie wypłynąłem na powierzchnię i mogłem zaczerpnąć powietrza. Kaj z roztargnieniem głaszcze mnie po plecach, miękko, jakby wodziła palcami po wodzie.
- Nie można w kółko się bać - mówi nagle - nawet ci, którzy nas kochają, mogą odejść, jeśli zechcą. Nie może być inaczej, prawda?

Jakby starała się mnie na coś przygotować. Nie wiem, co odpowiedzieć. W ostrym świetle jej długie rudoblond włosy płoną wokół twarzy. Słońce prześwieca przez uszy. Gdyby Kaj odeszła - gdyby - brakowałoby mi jej bardziej, niż gdybym się pewnego ranka obudził bez oczu. Równocześnie wiedziałbym jednak, że w końcu zobaczy coś innego niż to miejsce. Coś innego niż ten zamknięty krąg, swój ciasny pokój, to pieprzone morze.
Mama dzwoni dopiero piątego wieczora. Miała rozstrój żołądka i straciła sporo kilogramów, kupiła diablo drogi strój kąpielowy, który leży idealnie, ale pęknie w szwach, jeśli przytyje choćby gram. Jens czuje się jak ryba w wodzie, opalił się już i kupił sobie deskę surfingową, opowiada mama. Teraz popłynął statkiem, żeby nurkować na rafie koralowej.
- Cudownie znowu słyszeć, jak się śmieje - powiedziała. - Przekaż Lisette, że może tutaj zostaniemy...
Potem przerwało rozmowę. Dzwonię do Lisette, mówię, że na Florydzie pada. Że Jens tęskni za nią i dziewczynkami.
Czasami, kiedy przechodzę obok lustra, wydaje mi się, że to przeszedł Jens. Mogę długo gapić się na własną twarz, próbując znaleźć w niej coś, co jest moje. Bóg najpierw stworzył Jensa, mnie odlał z tej samej formy, mama prawdopodobnie miała całkowitą rację, że nie urodziła więcej dzieci, kolejnych podobnych do siebie chłopców, aż tak czy siak musiałaby porzucić marzenia o dziewczynce.
Jeśli złożyć dwie lewe i dwie prawe połowy twarzy człowieka, otrzyma się dwie nowe osoby, które w ogóle nie wyglądają na spokrewnione ze sobą.
- Mniej spokrewnione niż ty i ja - mówi Kaj i zatrzymuje mój wzrok w lustrze. - Będą wyglądać, jakby nawet nie pochodzili z tej samej planety.
Ale tak jest też z Kaj i ze mną, to, co u mnie jest ciemne, u niej jest jasne, na granicy przezroczystości. W lustrze, w ostrym świetle lampy w przedpokoju pokazuje, co ma na myśli. Widziała to w telewizji, a wszystko, co mówią

47
w telewizji, jest prawdą. Powoli przeciąga palcem po niewidocznych liniach mojej twarzy, liniach, które, jak twierdzi, z każdym upływającym rokiem będą dzieliły twarz na coraz bardziej asymetryczne części.
Lisette zjawia się bez uprzedzenia następnego dnia rano. Siada w kuchni, udając, że przyjechała sobie tylko trochę pogadać. Lisette nie gada tak sobie, to nie w jej stylu. Próbuje nam wmówić, że mama prosiła ją, żeby do nas zajrzała. Jako pierwsze odkrywa, że dobraliśmy się do szafki, w której mama przechowuje wino. Spogląda na mnie tryumfalnie, oczekując wyjaśnień. Następnie widzi, że nie zmywaliśmy od wyjazdu mamy, cóż, nie ma się co wypierać. Mówi, że Kaj i ja jesteśmy przerośniętymi dzieciakami, które nie mają pojęcia o odpowiedzialności, nawet gdyby nam ją wbijać młotkiem do łba, ostro zapuszcza volvo, żwir bryzga spod opon, i już jej nie ma.
Lubię Lisette. Od zawsze. Pozory u niej mylą i to mi się w niej podoba. Kiedy poznali się z Jensem, miałem szesnaście lat i durzyłem się we wszystkich, które były podobne do Kaj. Lisette nie przypominała mi jej ani trochę, ale i tak się w niej zakochałem. Nadal ją lubię. Ale zmieniła się. Sposób, w jaki owijała sobie Jensa wokół palca, kiedyś mnie podniecał, ale teraz nie robi już tego tak zręcznie. Obecnie to ona owija swój palec wokół niego i chyba oboje uważają, że nie jest to już tak fajne jak dawniej.
- Nikt nam już teraz nie będzie przeszkadzał. Nikt... - burknęła Kaj.
48
Jak tylko Lisette zniknęła, Kaj zaczęła krążyć po pokojach, zaznaczając swój teren.
- Od tego momentu drzwi będą zamknięte na klucz - powiedziała, ryjąc w biurku mamy w poszukiwaniu klucza antywłamaniowego.
INGRID
(Jak najdalej stąd)
- Nie myśl sobie, że będę tu jeszcze po twoim powro-

cie - syknęła Lisette do Jensa.
To było ostatniego wieczora przed podróżą, przyszłam pożegnać się z dziewczynkami. Lisette siedziała w kuchni nad krzyżówką, czarnym pisakiem wypełniała kratkę za kratką. Do kitu: na cztery litery; część ciała: na cztery litery. „Jens" pasowało do obu. Lisette to się nie mieściło w głowie, to było niewybaczalne... zupełnie nienaturalne, że Jens mnie zaproponował wyjazd, zamiast jej. Stał teraz w kuchni, nie odzywał się, wyglądał, jakby tylko czekał, żeby zaatakowała pierwsza, miałby wtedy pretekst, żeby oddać.
Kiedy przyszłam, już się kłócili, to się czuło w powietrzu od samego wejścia, wyczytałam to w twarzach dziewczynek, nawet pies położył się w sieni.
- Tylko trzy tygodnie - zwróciłam się do Lisette. - Chyba dasz sobie jakoś radę?
Zignorowała mnie. Milczeniem wymazała moją obecność. Wymazała mnie z ich życia. Machała nogą, coraz bliżej i bliżej podbrzusza Jensa, on nie spuszczał jej z oka,

śledził każdy jej ruch, ale starał się sprawiać wrażenie, że tym razem nie da się sprowokować.
- Ja tu będę uziemiona z dzieciakami, a ty się będziesz pieprzył gdzie popadnie na tej pierdolonej Florydzie! - sarkała.
- Mówi się „z kim popadnie" - poprawił Jens spokojnie, nie spuszczając wzroku z jej nogi.
I już awantura gotowa.
Najchętniej bym stamtąd wyszła. Nie miałam ochoty wysłuchiwać tego wszystkiego, czym, jak wiedziałam, zaczną się zaraz obrzucać. Ale nie mogłam odejść, bolało mnie, że Anna i Nina siedzą na ich łóżku i starają się wyglądać na nieporuszone. Kazali im siedzieć przed telewizorem, więc grzecznie siedziały i wierciły się w migającym świetle.
- Ty i dziewczynki możecie przecież zająć się czymś fajnym, kiedy nas nie będzie - zaproponowałam Lisette, żeby to przerwać. - W korytarzu koło telefonu zostawi-

łam wam kieszonkowe na wakacje. Żebyście się zabawiły po naszym wyjeździe - dodałam.
Pierwszy raz, odkąd weszłam, Lisette spojrzała na mnie. Myślałam, że uda mi się ją przekupić? Paroma setkami... zamknąć usta? W jej spojrzeniu zobaczyłam wszystko, co myślała, ale czego nie powiedziała na głos. Że coś tu jest nie w porządku. I to bardzo. Dlaczego nie próbowałam przemówić mu do rozumu? - zastanawiała się. Był przecież moim synem i faktycznie zdarzało mu się czasem mnie słuchać, nie mogłam tego wykorzystać? Romantyczne wakacje to było właśnie to, czego ona i Jens potrzebowali. Chyba zdaję sobie z tego sprawę?

Powinnam zostać w domu i zająć się w tym czasie dziewczynkami. A czyja też nie mogę tęsknić za Jensem? Pragnąć spędzić trochę czasu sam na sam z moim synem?
- Sami sobie weźcie Annę i Ninę! - zaproponowała Lisette. - Zabierzcie je ze sobą, skoro to taka frajda!
- Ej! One wszystko słyszą - ostrzegł Jens, wskazując głową dziewczynki.
Jak gdyby jeszcze cokolwiek było dla nich tajemnicą. Anna i Nina jadły gumiżelki, które im przyniosłam, obie żuły równo, powoli, synchronicznie, nastawiając uszu, chociaż ze wzrokiem utkwionym w ekran telewizora. Jens cofnął się o pół kroku, żeby nie dosięgła go dyndająca noga Lisette.

nawet gdyby chciała?
- Ja tu nie wytrzymam... w tej klatce na chomiki, wiesz, że dostaję tu szału, obiecałeś, że załatwisz nam coś większego - zrzędziła.
- I załatwię - skontrował Jens.
52
_ Kiedy?
- Jak tylko przestaniesz truć!
- Przynajmniej trzypokojowe, tak żebyśmy mieli własną sypialnię. Tutaj nigdzie nie można mieć spokoju, a kiedy ciebie nie ma w domu, małe nigdy nie robią tego, co każę. Rabbi to samo - skarżyła się.
Jens słuchał. Przełknął raz, drugi, ale zaczynał mieć dość. To było widać. Po tej wąskiej, krzywej kresce między brwiami, linii ostrzegawczej.
To nie wielkość mieszkania była nie w porządku, ani dziewczynki, ani pies. Wszystko zależało od cierpliwości Lisette, a ta kończyła się, zanim Lisette zdążyła policzyć do pięciu. I od gwałtownego temperamentu Jensa, który rozpalał się równie szybko. Wiele razy przypominałam Lisette, że Jack i ja naprawdę mieszkaliśmy w jednym pokoju z kuchnią razem z chłopcami, kiedy byli mali. Zawsze, kiedy sugerowała, że to niesprawiedliwe, że Kaj i ja mamy dla siebie cały duży dom, kiedy oni w piątkę, wliczając psa, gnieżdżą się w dwóch pokojach, opowiadałam jej, jak ten jeden pokoik swego czasu w zupełności nam wystarczał. Gdy Jens ją poznał, Lisette naprawdę nie była rozpieszczona, to cecha, która pojawiła się później. W porównaniu z nim pochodziła z biednej rodziny, ale chyba już o tym zapomniała.
- Nie myśl sobie, że będę tu jeszcze po twoim powrocie. Ktoś może wykorzystać okazję, że cię nie ma... Wielu chciałoby się z tobą zamienić - ale nie widzisz tego, co? - wypluła na koniec.
Wtedy Jens wybuchnął śmiechem. Śmiał się jej prosto w twarz. Całkiem zimno.
53
- Wielu chciałoby cię mieć, ale pokaż mi chociaż jed-

nego, który by z tobą wytrzymał, Lisette!
Położył rękę na jej udzie, ale ona szybko ją strząsnęła. I wtedy jakby wiatr zmienił kierunek - łódka zachybotała się i przewróciła do góry dnem. Oczy Jensa zrobiły się zupełnie spokojne, a zaraz potem stos talerzy zjechał na podłogę, tak że skorupy i resztki jedzenia rozbryzgały się na drzwiczkach szafek. Jego ręka poruszyła się tak szybko, że w ogóle nie spostrzegłam, jak śmignęła nad blatem. Wszystko ucichło, wydawało się, że nawet głos z telewizora. Wyraźnie dał się słyszeć oddech Jensa i to, jak przesunął dłonie po dżinsach. Krzyżówka wypadła Lisette z ręki, Jens kopnął talerze, skorupy rozleciały się po podłodze, przycisnął jej głowę do szafki i wysyczał do ucha, że nie ma zamiaru nawet zbliżać się do jakiejkolwiek laski, będzie się cieszył, że udało mu się wyrwać i raz wreszcie mieć trochę spokoju.
Uspokoił się równie szybko, jak stracił panowanie nad sobą. Puścił ją i wyszedł. Na odchodnym rzucił dziewczynkom „cześć", porwał służbowe klucze i zbiegł po schodach.
- Nawet dobrze. Przynajmniej już nic nie rozbije - powiedziałam do Lisette, ale ona gapiła się tylko na bałagan na podłodze, nie płakała. Może czekała, aż sobie pójdę. Zaproponowałam, że zabiorę dziewczynki do siebie na noc, ale Lisette pokręciła tylko głową i poprosiła, żebym już sobie poszła.
Wzięłam torbę Jensa, którą zapomniał zabrać z korytarza. Spakował wszystkiego nie więcej niż pół torby, mimo że wyjeżdżaliśmy na trzy tygodnie. Był w pracy

przez całą noc. Zabierając go następnego ranka po drodze na lotnisko, wiedziałam, że będzie się zachowywał tak, jakby zapomniał, co zrobił. W jaki sposób pożegnał się z Lisette. Zapomniał o tej ostatniej niepotrzebnej scenie.
KRYSTIAN
(Pod nami)
Po długim gderaniu Kaj dałem w końcu za wygraną. Bie-

rzemy toyotę mamy i ruszamy na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża. Kaj oparła stopy o deskę rozdzielczą jak jakiś bosonogi kowboj, wiatr tańczy w jej cienkich włosach.
- Wakacje - uśmiecha się z mieszaniną szczęścia i lęku w oczach.
Trzymam się dróg, o których wiem, że je zna, zjeżdżam na jedną z wąskich ścieżek, którymi można się do telepać aż nad samo morze. Leżę sobie w cieniu na kamiennej płycie i słucham radia, a Kaj pływa w pobliżu niczym meduza z długimi parzydełkami unosząca się tuż pod powierzchnią wody. „W Australii powstaje największa mapa świata... - donosi radio. - Naukowcy zbadali już sto siedemdziesiąt tysięcy najbliżej położonych galaktyk we wszechświecie".
Kiedy Kaj siada obok mnie, ściekająca z niej woda barwi kamień na ciemny kolor. Jej dłonie, ich absolutna gładkość na moim policzku. Powiedziała, że są dziury, przez które można oddychać, że dokładnie pod nami jest niebieska

woda bez dna. Jej oczy zmieniają barwę równie szybko jak woda wokół nas, odbijają to, co dzieje się pod wodą i na powierzchni - równocześnie, w oszałamiającym tempie. Głos z radia brzmi tak, jakby był nadawany prosto z drugiego końca Drogi Mlecznej: tonie w szumach i powraca.
- Kaj, czy ciebie nigdy nie ogarnia chęć, żeby stąd wyjechać... tak na dobre? - pytam, a ona patrzy na mnie, długo, jakby nie rozumiała pytania. - Żeby się przeprowadzić, zamieszkać na swoim? - precyzuję.
- To nic nie da - odpowiada prędko.
- Nie da? - dziwię się.
- To nic nie da - powtarza tylko i mocno mruży oczy przed słońcem.
„Galaktyki - charczy radio z cicha - formują się nadal według kosmicznego wzoru sporządzonego zaraz po Wielkim Wybuchu. Z badań nad schematem galaktyk można wyciągnąć wniosek, iż wszechświat ekspanduje z rosnącą prędkością".
Kaj wgryza się w to miejsce, chociaż powinna była

odejść z domu już wiele lat temu. Jej życie... czasami wyobrażam je sobie jako przyjęcie, na które przyszła bez zaproszenia. Wślizgnęła się, a teraz boi się wyjść nawet na papierosa, bo nie wie, czy uda jej się dostać do środka raz jeszcze. Nieważne, jak często by się powtarzało, że się ją kocha, ona i tak w mig o tym zapomni. Kocham ją bardziej niż siebie samego, ale ona odpowiada tylko, że nie można porównywać dwóch tak różnych rzeczy. Otwiera jedno oko i spogląda w czysty błękit nieba. Nie, dlaczego miałaby się wyprowadzać do wielkiego świata, kiedy jedyne, czego pragnie, to żeby jej mały świat był

jeszcze mniejszy, niż jest. A nigdzie nie będzie mniejszy niż tutaj. Ona to rozumie.

Nocami w mieście śnię często o morzu. Mieszkam daleko od niego, ale śni mi się morze Kaj. Kolor, jaki ma zimą - błona srebra z ciemnymi, oksydowanymi plamami. Często marzę o tym, żeby przeciąć wodę, ostrym nożem przejechać po jej powierzchni. O absolutnej lekkości, do której tęsknię bez przerwy. Jednak tutaj, kiedy mam je za oknem, sny zaczynają krążyć wokół pracy. Żeby jakoś zasnąć, przywołuję w pamięci imiona noworodków. Ich wyniki, dawki leków, rozstawienie inkubatorów w każdej sali - później we śnie pojawiają się dzieci. Nie wszystkie zastanę po powrocie do szpitala, dużo się zdąży wydarzyć w ciągu trzech tygodni. „Trzeba się przyzwyczaić - mawiają ludzie, z którymi pracuję - trzeba nauczyć się to akceptować". Ale widzę po nich, że właściwie nigdy człowiek się nie przyzwyczaja. Jedyne, co pomaga, to przekonanie, że wkrótce będą miały kolejną szansę przyjścia na świat. On wróci... powtarzamy, de- | zynfekując inkubator i zakładając czystą pościel dla nowego dziecka.

Co mi się podoba w Krystianie, pisze Kaj starannie, z zawijasami w swoim notesie. Popatruje na mnie z boku, wyciera oczy z wody po nurkowaniu. Pisząc listy, próbuje zaprowadzić ład w tym, co poddaje się porządkowaniu, żeby przezwyciężyć to, czego uporządkować się

nie da. Jego oczy (spokojne), ręce (spokojne), kark (miękki), to, że nie jest taki jak mama, że nie jest taki jak Jack, jak
58
Jens, włosy (rozczochrane), uszy (drobne), to, jak wygląda, kiedy śpi, że tak jak ja nie jest rannym ptaszkiem. Przerywa, obgryza ołówek. Że nie ma dziewczyny, dodaje na końcu na samym dole.
- Nie żal ci mamy z mojego powodu? - pyta Kaj znienacka i zerka na mnie, oczy ma zaczerwienione od słonej wody.
Leży koło mnie zupełnie nieruchomo, jakby w zawieszeniu między jednym a drugim oddechem, czekając na odpowiedź. Nigdy wcześniej nie zadała podobnego pytania.
- Nie, nie żal mi. Dlaczego miałoby być?
- Bo gdyby nie ja, mogłaby poznać jakiegoś innego faceta. Po Jacku - mówi, strącając kilka natarczywych much z szyi.
- Nie sądzę, Kaj. Gdyby o to chodziło, pewnie nadal byłaby z ojcem - odpowiadam.
I nic gorszego już nie mogłem powiedzieć, nawet gdybym się bardzo starał. Czuję silny impuls, żeby odciąć sobie język i wyrzucić go do wody.
- Pomagam jej sprzątać gabinet prawie co wieczór - mówi Kaj prosto w błękit.
Jakby moje słowa nawet jej nie musnęły, przynajmniej nie ich treść.
- W porządku, Kaj. To dobrze.
- No, bo zaczęła farbować włosy, dlatego się zastanawiam... - kontynuuje flegmatycznie - ...czy ona nie, no wiesz... nie chciałaby kogoś poznać.
59
Brązowy range rover toczy się po wyboistej żwirowej drodze i parkuje koło naszej toyoty. Wysiada trzech chłopaków z ręcznikami kąpielowymi przerzuconymi przez ramię, Kaj pospiesznie wstaje i okrywa się ręcznikiem, chociaż ma na sobie bikini. Poznaję jednego z nich. To kumpel Jensa, gapi się na mnie przez chwilę, jakby nas

pomylił, potem prawie niezauważalnie kiwa głową, odwraca wzrok i wchodzi z pozostałymi do wody. Kaj zgarnia szybko swoje porozrzucane ciuchy i daje mi znaki, żebym też pozbierał swoje rzeczy.
- Krystian, chodź. Chcę już jechać do domu - mruczy i ciągnie mnie za rękę.
- Nagramy nową wiadomość na sekretarce. Że gabinet jest zamknięty z powodu choroby. I wyjedziemy, po prostu - proponuje Kaj, jak tylko zamknęliśmy za sobą drzwi.
W kuchni krąży wokół stołu, przeczesuje włosy palcami, aż szerokie rękawy szlafroka fruwają wokół jej głowy. Maminy motyl z porcelany, w każdej chwili skrzydełka mogą się ożywić i unieść ją daleko stąd.
- Dokąd wyjedziemy? I z powodu jakiej choroby? - zastanawiam się. - Poparzenie słoneczne? Kac?
Wie równie dobrze jak ja, że obiecałem co wieczór odsłuchiwać sekretarkę, zapisywać nowe terminy i przekazywać dalej nagłe przypadki. Mamy nie stać na utratę ani jednego pacjenta.
- Holandia - mówi Kaj, podnosząc wzrok znad gazety. - Do Holandii mogłabym się wybrać. Nigdy tam jeszcze nie byłam.
60
Pierwsza na świecie dopuściła eutanazję. Czytam jej przez ramię. Obecnie lekarz ma prawo wstrzyknąć preparat prowadzący do śmierci pacjenta, ale tylko jeżeli zostaną spełnione bardzo surowe kryteria. Pacjent musi odczuwać przewlekły, nieznośny ból, być pozbawiony wszelkiej nadziei na wyzdrowienie oraz wyrazić życzenie śmierci. Kaj wyrywa notkę i przyczepia ją do lodówki.
- Dlaczego nie do Afganistanu? - pytam, wskazując tytuł obok wyrwy na stronie z wiadomościami ze świata.
W stolicy szerzy się wścieklizna, z braku szczepionki zmarło już osiemdziesiąt osób zarażonych przez chore psy.

- Pojadę wszędzie, tylko nie na Florydę - mówi Kaj i rzuca mi takie spojrzenie, jakby naprawdę myślała to, co mówi.
To nie Jens wygrał tę luksusową wycieczkę dla dwojga. On nawet z cudzą pomocą nie potrafiłby ułożyć rymu do „król". Nie dlatego, że jest głupi, ale po prostu dlatego, że „ból" nie występuje w jego słowniku. Kaj wygrała ze swoim hasłem, a Jens wziął jej nagrodę bez mrugnięcia okiem. Nie wiem dokładnie, jak się zachował, ale szkoda, że mu się udało, bo zamiast niego, mogliśmy pojechać my, Kaj i ja. Ona twierdzi, że dała mu bilety z własnej woli.
- A od kiedy to Jens jest twoim ukochanym bratem? - pytam, kartkując błyszczące katalogi turystyczne, zdjęcia Palm Beach, Miami, Key Largo, tak

samo sztuczne jak czekoladowe chrupki, o których ułożyła rymowankę.
Ma tylko jednego ukochanego brata, i to ja nim jestem, przysięga mi szeptem do ucha, ale mnie przecież wtedy tutaj nie było, więc dała bilety Jensowi. Bo akurat znajdował się w pobliżu, kiedy dostała list, to wszystko. Wiem, że kłamie. Chciała, żeby Jens wyjechał. Chciała wysłać go tak daleko, jak tylko się da, żeby mnie ściągnąć do domu.
- Może kemping? - proponuję, skoro Kaj dalej tru- ! je o wakacjach. Jak tylko jakaś myśl wpadnie jej do głowy, już tam zostaje, nie da się jej pozbyć.
Ale żeby wyjechać na wakacje, trzeba mieć od czego odpoczywać - co by to miało być w przypadku Kaj, nie mam pojęcia. Kemping byłby okej. Tani, prosty, kilka dni pod namiotem, konserwy, jak kiedy byliśmy mali. Kaj jednak patrzy na mnie, jak gdybym oferował jej wycieczkę do piekła. Plany biwakowe mamy i taty nigdy nie wychodziły tak, jak to sobie wyobrażali. Nas pięcioro w samochodzie kempingowym to jak chmara dzikich ptaków w klatce. Kiedy wybuchała kłótnia, zawsze się ulatniałem. Po chwili Jens też dawał dyla - trzymaliśmy

się z dala i spędzaliśmy czas na własną rękę. Kłótnie najczęściej zaczynały się o Kaj i wiele razy zastanawiałem się, jak mogłem ją tak zostawiać, tylko po to, żeby samemu się wywinąć.
Wydaje mi się, że na ostatnim kempingu, zanim tata się wyprowadził, Jens i ja dostaliśmy ośniki. Ostry nóż

zadaje łagodniejsze rany niż tępy, pouczył nas ojciec, wręczając nam nowiutkie noże ciesielskie, żebyśmy mieli się czym zająć. Jens i ja z miejsca wycięliśmy sobie nawzajem tatuaże na ramieniu. Jego zagoił się przed końcem lata, ale mój był głębiej wyżłobiony i wdała się infekcja. Miałem zakażenie i w panice zawieziono mnie do najbliższego szpitala. Blizna została: leopard wyglądający jak pies, któremu chce się sikać. Od ojca dostaliśmy szlaban na zabawę ostrymi przedmiotami do końca wakacji i według Jensa to była moja wina, mimo że to on pociął mnie za głęboko zafajdanym nożem.
Kaj mamrocze coś, budząc się ze snu. W porannym słońcu jej twarz wydaje się niemal odprężona. Dopóki nie zobaczyła Lisette. Wysoko nad nami unoszą się wielkie, zimnoniebieskie oczy, Lisette szarpie Kaj i mnie, żebyśmy wrócili do życia, jak gdyby pokój stał w płomieniach. Musieliśmy zasnąć przed telewizorem, nadal jest włączony, dziesięć centymetrów od ekranu siedzą dziewczynki i oglądają kreskówki. Światło telewizora prześwieca przez ich blond włosy. Lisette zaczyna kręcić się po domu. Nie, żebyśmy zasługiwali na jej pomoc, powiedziała, przyszła dlatego, że się dusi w ciasnym mieszkaniu i byle co się nada, żeby przerwać tę ponurą atmosferę. Zaproponowała, że weźmie się do prania brudów i zmyje górę naczyń, a my popilnujemy za nią dziewczynek. Jest dla mnie jasne, że Jens nie zadzwonił.
Kiedy Lisette stoi w słońcu, wieszając pranie, aż chciałoby się podejść i dotknąć jej, musnąć raczej. Tak, żeby

nawet nie zauważyła, żeby nie przerwała swojego zajęcia. Porusza się równie cicho jak pościel w bezwietrzną po-

godę. Nie wiedząc jeszcze, co powiem, wychodzę z cienia altany i idę do niej. Nad sznurem bielizny morze i niebo stykają się w prawie niewidocznym szwie. Pytam, czy miała jakieś wieści od Jensa, ale ona udaje, że moje słowa rozwiewają się na wietrze. Rozwiesza ostatnią poszewkę i wchodzi do domu z pustym koszem, nie spoglądając na mnie ani razu. Jens? a kto to taki? - szepcze jej sztywny kark, kiedy mnie mija.
Podejrzenia wobec Marii Milošević dotyczą nielegalnego posiadania broni i spowodowania zagrożenia życia przez zaniedbanie. Kiedy jej ojca Slobodana Miloševicia przewieziono do aresztu wcześnie rano, miała, jak podają źródła, strzelać wokół na oślep z pistoletu. Kaj wielokrotnie wraca do tej notatki, przyczepia ją do lodówki obok wycinka o kolekcjonerze much. Wyjmuje mleko i jajka na omlet.
- Krystian, dlaczego nie zamknąłeś drzwi na klucz? Przecież ustaliliśmy, że będziemy zamykać drzwi na klucz!
Ostro rozbija jajko o brzeg miski. Skorupka w jej dłoni rozpada się na kawałeczki, białko spływa po nadgarstku na podłogę. Zostawia je na linoleum i bierze następne.
- Więc uważasz, że powinniśmy się zamknąć i nikomu nie otwierać, tak?
- Tylko do czasu, aż Lisette przestanie przychodzić. Dlaczego zjawia się teraz, skoro kiedy indziej tu nie bywa?

W pokoju, w którym stoi telewizor, Lisette zapamiętale odkurza fotele. Próbuję zebrać białko ręką, ale przelatuje jak rtęć między palcami.
- Chyba dobrze, że tu trochę posprząta - próbuję.
Ale Kaj tak nie uważa. Po kolei potrząsa słoikami z muchami, stojącymi rzędem na kuchennym blacie.
- Dzień dobry - szepcze do much. - Dzień dobry, dzień dobry...
Udaje wariatkę, chociaż wie, że nie dam się nabrać.
- Po co ci te muchy, Kaj - pytam, choć wiem.

Zbiera dla samego zbierania. Nie potrzebuje celu. Żadnej logiki. Jedyny sens kolekcji jest taki, że się powiększa.
Lato jest jak wrzód. Patrzenie, jak rozpościera się z tym swoim ciepłem i bezkształtną zielonością, ma ponoć sprawiać przyjemność, ale ja czekam tylko na to, żeby już dojrzało i pękło. A zapomnienie - jeśli istnieje - nie jest pamięcią, która się kończy, raczej siatką: otwierasz ją i wpuszczasz do niej wspomnienia. Pewne sprawy są tak ciężkie, że przelatują na wskroś. Dno po prostu odpada, wydaje się, jakby miały nigdy nie przestać spadać.
Najgorsze wspomnienia zawsze pamiętam najwyraźniej. Mogę je zrekonstruować krok po kroku, sekunda po sekundzie. Żeby się nimi zadręczać? Jasne. Torturuję się nimi. Nigdy nie robię dwa razy tego samego błędu, popełniam wyłącznie nowe.
65
Nie miało żadnego znaczenia, jak bardzo Lisette zarzekała się, że to jednorazowa historia, kiedy mama nas nakryła. To, że Lisette z Jensem bardzo się pokłócili tego dnia, nie stanowiło według niej okoliczności łagodzącej. Ani tym bardziej fakt, że Lisette spodziewała się dziecka i nie była tak do końca sobą. Bo jeśli my dwoje zamierzamy pocieszać się w łóżku za każdym razem, kiedy jedno z nas jest w lekkim dołku, to szybko dojdzie do katastrofy.
- Krystian, nie potrzeba mi więcej problemów, niż mam! A może się mylę?! - krzyczała.
Później poprosiła, żebym się wyniósł. Jak najszybciej. Zanim Jens wróci do domu i mnie zatłucze.
Kładę rękę na ramieniu Lisette i mówię cicho, że już wystarczy, że w fotelach nie zostało już ani ziarenka piasku i że w końcu wszystko się jakoś ułoży. Jens jest okropnym egoistą, że nie dzwoni, ale był taki, jeszcze zanim wyjechał i zostawił ją samą.
- Ciesz się, póki możesz, trzy tygodnie szybko miną, on niedługo będzie z powrotem i może wtedy coś się

zmieni na lepsze, a może nie... W każdym razie nie mogłaś tęsknić za mną tak mocno jak ja za tobą - szepczę jej do ucha.
Jednak Lisette tylko odkurza dalej, gwałtownym ruchem wciskając nasadkę rury głęboko między poduszki i poduszeczki, nikt nie może usłyszeć, że płacze. Tylko sobie nie wyobrażaj, mówią ostre ramiona. Obejmij mnie, proszą.
66
Z prędkością ciemności spada na nas meteor. I kiedy już ma nas rozbić na proch, zbacza i muska nas delikatnie, wywołując lekki wstrząs. Powtarza się to raz po raz. Czasami chciałbym, żeby uderzył z całej siły, zamiast raz za razem pozostawiać zadry na skórze. Zamiast tylko podtrzymywać niepokój.
INGRID
(Dzieci kanibale)
Nigdy nic nie jest tak, jak sobie człowiek wyobrażał. Pomyśl sobie jakieś życzenie - możesz być pewny, że nigdy się nie spełni. A jeśli mimo wszystko ci się spełni, to nie tak, jak to sobie wymyśliłeś. Ani trochę.
Pierwszej nocy u nas Kaj krzyczała bez przerwy na oddech. Jack i ja przestaliśmy ze sobą rozmawiać, a później było już za późno. Pierwsza noc z Kaj była jak koszmar w koszmarze. Mała była coraz bardziej głodna, Jack próbował podawać jej łyżeczką letnie mleko, ale się nie dało. Tylko kiedy maczał w nim palce i dawał jej do possania, zjadała trochę. Ja nie chciałam jej nawet tknąć. Nie chciałam pomagać Jackowi, mimo że Kaj wiła się i wydzierała, dopóki nie zabrakło jej tchu. O świcie wzięłam samochód i jeździłam w kółko po opustoszałych bocznych drogach, aż w końcu wylądowałam w porcie, usiadłam na schodkach chłodni rybnej, było zimno, wielostopniowy mróz, lód brzęczał między kutrami, chciałam tylko zasnąć. Zasnąć i obudzić się kimś innym.
Przyjściu Kaj towarzyszył ból innego rodzaju niż narodzinom Jensa i Krystiana. Nie tak intensywny, bardziej
68

przewlekły, uciążliwy. Co noc w pierwszym okresie śniły mi się psy, gnały po zlodowaciałym śniegu i krwią zabarwiały go na różowo. Po przebudzeniu miałam wrażenie, jakby to po mnie biegały. Czułam się poobijana. Pusta.
Przestałeś patrzeć mi w oczy, Jack. Nie z dnia na dzień, ale stopniowo. Wydawało się, że już nie masz ochoty spojrzeć w oczy samemu sobie. Co rano wychodziłeś do pracy byle jak ogolony. Bo nie mogłeś ścierpieć widoku własnej twarzy w lustrze?
Kiedy Kaj krzyczała w nocy, wkładałeś ją do łóżeczka i wynosiłeś do kuchni, żeby móc spać. Nie chciałeś, żebym chodziła ją pocieszać, nawet gdyby miała obudzić chłopców. Płakała z tęsknoty za swoją mamą i na to ja nic nie mogę poradzić, twierdziłeś. Jeśli nie pozwolimy jej wykrzyczeć się teraz, zostanie to w niej na zawsze. Przyzwyczaj się albo daj sobie spokój... zdawałeś się mówić.
Kim była jej matka, nie dane mi było się dowiedzieć. Ale gdybyś mógł oddać ją z powrotem, pewnie byś to zrobił, prawda? Niemal bez względu na cenę.
Czasami się sypałeś. We śnie. Twarz ci się rozpadała na dwoje. Jak kiedy coś niepodzielnego rozlatuje się na kawałki, niczym kamień rozpryskujący się od mrozu. Wewnątrz znajdowało się pęknięcie, którego nikt nie zauważył. Nawet ja. Parę kropel wody zamarzło i zwiększyło swoją objętość w tym pęknięciu - to wystarczyło, żeby rozłupać kamień na pół. Obie strony pęknięcia były Połyskliwie ciemne. Nieruchome.
wracają Helle i Leif. Wracają, chociaż twierdziłeś, że odstraszyłam ich na dobre, Jack. Okoliczności związane

z Kaj tak na ludzi wpływają, a twoja strategia jest taka, żeby milczeć o tym, jak długo się da. A jednak Helle i Leif przychodzą znowu jak gdyby nigdy nic. Sami nie mają własnych, ale Leif powiedział, że Helle kocha dzieciaki.
To łatwe, kiedy się ich nie ma - czytam w twoich myślach, podczas gdy Leif opowiada, że Helle dba o swoje kaktusy jak o małe dzieci, sprawia, że kwitną w środku lata, całkiem wbrew ich naturze.

Helle traktuje Kaj z dyskretną rezerwą. Często przechyla głowę i powtarza, jaka to z niej śliczna dziewczynka, jak gdyby musiała mnie o tym przekonywać. Nie mieści jej się w głowie, że kobieta może porzucić własne dziecko. W kółko to powtarza. Raz, kiedy byłyśmy w kuchni same, zapytała wprost, jak mogę tak akceptować twoją niewierność. Mówi niewierność Jacka, ale ma na myśli obecność Kaj. Kaj, która nieustannie musi przypominać mi, że miałeś inną. Tłumaczę Helle, że mała należy teraz do rodziny. To, co kocham w chłopcach, mogę chyba kochać i w niej. Nie to, że Kaj jest tutaj, stanowi problem, ale to, że nawet nie chcesz na nią spojrzeć, Jack. Więc co innego mi pozostaje, niż próbować zrekompensować jej tę miłość, której ty nie jesteś w stanie jej dać?
Helle lubi w tobie wszystko to, na co ja reaguję tylko uśmiechem. Pomaga ci przyciąć wąsy, podobają się jej, chce, żeby Leif zapuścił sobie takie same. Helle jest w moim wieku, ale z tymi długimi włosami wygląda jak dziewczynka, przez cały czas skręca je w mocny węzeł, który szybko znów się rozsypuje. Przypomina mnie z czasu, kiedy cię poznałam, ładna, spontaniczna, beztroska.

Pewnego popołudnia ty i ona siedzieliście w altanie' rozmawialiście o tym i owym, słuchając radia od nie~ chcenia. Z sofy widziałam was przez uchylone drzwi, kiedy próbowałam uśpić Kaj po obiedzie. Nagle w środku jakiejś piosenki Helle wybucha płaczem. Głośno, niemal szlocha. Już prawie uśpiłam Kaj za pomocą wszystkich kołysanek, jakie pamiętam, wyobrażam sobie,)a ty zapuszczasz żurawia do środka, w nadziei że ruszę Ci na ratunek. Albo że Leif z domu po drugiej stronie ulicy przyjdzie ci z pomocą. Ale on wyjechał na weeKend do miasta, a Helle łka jak dziecko. Nie sądzę, żebyś widział, jak ja płaczę, pewnie nawet nie widziałeś chłopców. Kaj zawodzi często, ale ona się przecież nie liczy.
- Co jest? - szepczesz, kładąc rękę na jej ramieniu-
- Leif... - pociąga nosem.

- Co? Zrobił ci coś?
- Kochamy się bez przerwy, ale nic z tego... a niedługo będę za stara! - szepcze przez łzy.
Krystian brodzi kilka metrów od plaży, kładzie Kaj brzuchem na wodzie, która sięga mu do pasa. Kaj Poszła pod wodę jak kamień, on ciągnie ją za ręce na powierzchnię, ona kaszle i krzyczy. Drzemię sobie na słońcu i nie widzę dokładnie, co się dzieje, początkowo biorę to tylko za jedną z jego odwiecznych zabaw. Spróbował jeszcze raz, tym razem Kaj stawia opór, kręci się w wodzie i zanurza wolniej. Za trzecim razem przebierała już nogami i utrzymała się na powierzchni przez parę seKund, ale wtedy ja się ocknęłam, poderwałam z ręcznika i wywlokłam ją z wody. Krystianowi wymierzyłam Policzek'

aż usiadł na piasku. To on zaczął z nią pływanie, jeszcze zanim nauczyła się chodzić.
Dzień za dniem. Powolność drażliwych procesów.
Przed pójściem spać palimy w oknie papierosa na spółkę. Kontynuujemy ten rytuał nawet wtedy, gdy już przestaliśmy ze sobą rozmawiać, stoimy w wieczornych ciemnościach, milcząc, i palimy marlboro aż do samego filtra. Wszystkie układy są teraz chwilowe, Jack. Kiedyś potrafiliśmy pogodzić się jednym spojrzeniem, ale teraz już nie. Najczęściej to ty się odwracasz. Dalej ze sobą sypiamy, ale już nie rozmawiamy.
Dziwne to lato, ale niedługo się skończy. Nadejdzie jesień, potem zima. Staramy się udawać, że wszystko jest normalnie. Ciche porozumienie, sposób, żeby iść dalej? Ale nie można się przyzwyczaić do tego, że Kaj jest w domu. Wszystko drażni niczym przyciasny kołnierzyk, który nie przestaje uciskać, dopóki nie zaśniesz wieczorem. Wszystko, co do ciebie krzyczę, jest nie tak. I wszystko, co ty odkrzykujesz, również. Wszystko, co robimy i czego nie robimy. Na samym początku noc w noc był tylko płacz Kaj, później, kiedy wreszcie cichła ze zmęczenia, próżnia już była faktem. Nic nie mogło się przez nią przebić. Wszystko tłumiła. Dźwięki, uczucia,

myśli.
Następnego lata Leif i Helle wrócili z miasta zapakowanym po brzegi samochodem i z tym zapachem przygody, który zawsze im towarzyszy. Pożądanie i upojenie, leniwe dni, brak odpowiedzialności zmieszane z odrobiną hamowanej niecierpliwości. Ty i Helle każdego popołudnia

przesiadujecie w cieniu, słuchając dyskusji w radiu, kiedy Leif i ja schodzimy z dziećmi wykąpać się. Krystian kręci się Leifowi przy nogach, a Kaj kolebie się dumnie na jego ramionach. Jesteśmy iluzją, fatamorganą, cieniem szczęśliwej rodzinki na tle połyskującej wody. Łatwo jest kochać Leifa, jest miły, silny i bawi się piłką z Kaj i Krystianem, jakby to były jego własne dzieciaki. Ty, wydaje się, wcale nie jesteś zazdrosny o to, że garną się do niego, bylebyś tylko nie musiał zajmować się Kaj. Bylebyś tylko miał spokój, Jack, prawda?
Pewnego popołudnia, kiedy jak zwykle założyłam na ramię torbę z olejkiem do opalania i ręcznikiem, a Leif posadził sobie rzucającą się Kaj na barana, próbuję przekonać ciebie i Helle, żebyście nie byli już takimi nudnymi sztywniakami, co to nawet palca nie zmoczą. Ale zrzędzicie, że woda jest dla was za zimna. Zawsze to samo.
- Idźcie, my popilnujemy domu - mówi Helle i strzepuje Leifowi owada z nagiego ramienia, podaje mi wodę w butelce ze smoczkiem, bez której Kaj nie może się obyć.
Krystian nie chce się do nas przyłączyć, bo nie wolno mu zabrać ze sobą na plażę nowego roweru. Naburmuszył się i stroi miny za nami, kiedy odchodzimy.
Jak tylko Leif, Kaj i ja zniknęliśmy z pola widzenia, poszliście z Helle do domu. Kto mi o tym później opowiedział, nie pamiętam... Krystian? A może sama Helle? To nie ma znaczenia.
- Zostań na dworze, zaraz wracamy - mówisz do Krystiana.

Dokładnie to, co czasami mówimy chłopcom, kiedy chcemy mieć spokój w sypialni. Helle jest blada i sztywna, pospiesznie głaszcze Krystiana po głowie, jakby chciała prosić o przebaczenie za coś, co musi się stać.
Siedzicie w środku tak długo, że Krystian zdążył okrążyć dom na rowerze więcej razy, niż potrafi zliczyć. Może tylko starasz się pocieszyć Helle? Albo robisz to, w czym jesteś tak dobry, Jack... a co Leifowi się nie udało? To Helle wychodzi pierwsza, Krystianowi właśnie znudziła się nieustanna jazda dookoła, dookoła dużego domu. Pyta, czynie ma ochoty na lody, są w domu w zamrażarce, chwyta go ostrożnie za rękę. Idąc, zwija włosy w węzeł ciaśniejszy niż zazwyczaj. Skóra na czole i wokół oczu napina się tak, że wygląda jak Chinka. Krystian dostaje lody czekoladowe. Może sobie wziąć posypki do woli. A następnego dnia Helle i Leif wyjeżdżają do miasta, tydzień wcześniej, niż zaplanowali. Nie mamy od nich żadnych wieści aż do Wielkanocy, kiedy wjeżdżają na podjazd białym volvo, żeby świętować długi weekend. Widząc przez okno samochód, Kaj skacze z zachwytu w foteliku. Nauczyła się już, że obecność Helle i Leifa oznacza zabawy i słodycze, rodziców w dobrym humorze, długie dni na plaży. Ku zachwytowi dzieciaków, Helle trzyma w objęciach Pero, szczeniaka, nakrapianego dalmatyńczyka, który pije jeszcze mleko z butelki i liże Helle po twarzy, kiedy ona szepcze jego imię. Helle trochę schudła, zeszczuplała na twarzy, poza tym wygląda dokładnie tak samo jak zawsze. A Leif zapuścił sobie wąsy, akurat teraz, kiedy udało mi się ciebie zmusić, żebyś zgolił swoje.

Helle i Leif? Nie mniej szczęśliwi niż inni? Nie mniej szczęśliwi niż ty i ja, Jack? Aż pewnego ranka pod koniec sierpnia całkiem bez ostrzeżenia wsiadają do swojego volvo i wyjeżdżają do lasu. Mocują w samochodzie zakończenie gumowego węża od rury wydechowej. Jak gdyby nic już nie miało znaczenia... Nasza przyjaźń, Kaj i chłopcy, Pero, domek letniskowy, który uwielbiali.
Potem to miejsce już nigdy nie było takie samo. A szcze-

gólnie ty, Jack. Musiałeś zatrzymać rower, kiedy zobaczyłeś ich samochód stojący na leśnej drodze? Powinieneś był wiedzieć, że już jest za późno, że nic już nie możesz zrobić, że oni skończyli ze wszystkim. Nie mogłeś po prostu jechać dalej, pozwolić, by znalazł ich ktoś inny?
Ich krewni wynajęli domek prawie natychmiast - jakby Helle i Leifa nigdy nie było. Z porcelaną, meblami, rowerami. Nawet z kaktusami Helle, które zabrała z miasta na wypadek, gdyby zaczęły kwitnąć.
LISETTE
(Logika)
Pojechaliśmy do Skagen. Miało tam być pięknie, z kościołem, który niedługo całkowicie zasypie piasek. Ingrid dała nam pieniądze na ten wyjazd. Zarezerwowała bilety na pociąg, pokój w hotelu, kupiła mi nową sukienkę na ramiączkach. Miniwakacje, żebym zapomniała o Krystianie. Poczęliśmy Ninę w toalecie na monety na dworcu kolejowym, Anna w tym czasie spała na peronie, pisklak w swoim wózku. Jens na kolanach, ze skurczem w łydce, zaplątany w swoje Wisy, ja w różowej letniej sukience, oparta o dystrybutor papieru toaletowego. Atak śmiechu. O mały włos skromny przyczynek Jensa do Niny wyjechałby i wylądował na kafelkach, zamiast popłynąć w głąb mnie i wgryźć się tam na dobre. Pojechaliśmy do Skagen i było pięknie. A Nina powstała na przekór, mimo że wcale nie mieliśmy zamiaru, Jens był szczęśliwy, kiedy się dowiedział, że jest w drodze, chociaż starał się to przede mną ukryć, jak potrafił. Jednak tego kościoła, o którym Ingrid i Jack w młodości marzyli, że się w nim pobiorą, nie znaleźliśmy. Może zniknął już pod piaskiem?
76
Kiedy się marzy na jawie, człowiek powinien mieć spokój. Nikt nie może wchodzić i zabierać się do przestawiania, wszystko ma leżeć tak, jak sobie sam ułożyłeś. Moje marzenie dotyczy domu Ingrid, tylko że w tej fantazji jest to nasz dom. Chodzimy sobie po nim i jesteśmy w nim szczęśliwi, Jens, dziewczynki i ja - tylko szczęśliwi, to wystarczające zajęcie. Jens rąbie drwa

na podwórzu, ja ze świeżo umytymi włosami piekę coś w kuchni. Chleb ze słonecznikiem na kolację, grahamki, murzynka mazgaja, szarlotkę? Anna i Nina huśtają się wysoko w koronach drzew, mają błękitne sukienki, majtają końskimi ogonami i śmieją się, jak tylko one potrafią. Rabbi siedzi przy wysokiej bramie, pilnując, by nikt nie wchodził i nam nie przeszkadzał. Strzeże swojej rodziny. A wokół ogrodu Jens przeciągnął niewidoczną linię pod napięciem, więc nawet ptaki nie mogą się przedostać.

Jeśli przejmiemy dom i Kaj, Ingrid dostanie mieszkanie i wolność. Doskonale to sobie wymyśliłam. W wyobraźni urządziłam już nawet wszystkie pokoje. Na piętrze będę miała swój pokój z białą sofą, białymi poduszkami, białymi zasłonami od słońca i telewizor, nic poza tym. Dziewczynki dostaną każda po dwa pokoje, w których mogą sobie śmiecić od rana do wieczora, ile tylko zdołają. Jens będzie miał własny pokój, gdzie może całe noce siedzieć przy swoich grach komputerowych, nie budząc mnie przy tym.

Ale kiedy opowiedziałam o moim marzeniu Jensowi, wkurzył się. Po pierwsze, Ingrid nigdy się dobrowolnie nie wyprowadzi, powiedział. Po drugie, na dłuższą metę

żadne z nas nie wytrzyma z Kaj. A wreszcie po trzecie, przypomina, Jack jest właścicielem połowy domu. Chociaż Kaj w małych dawkach daje się znieść. Potrzeba tylko klucza do jej drzwi, żeby czasami można było zamknąć ją od zewnątrz. Są diagnozy. Jest leczenie farmakologiczne dla takich jak ona, gdyby tylko przyznać się, że ma problemy. To nie jest małe dziecko, które wymaga stałej opieki, tylko Ingrid tak sobie wmawia, żeby stale być komuś potrzebną. A Jack? Jak duże jest ryzyko, że zjawi się i zażąda swojej połowy domu? Miał na to piętnaście lat i jeszcze tego nie zrobił.

Nigdy nie będzie nas stać na kupienie czegoś swojego. Dopóki Jens się nie zgodzi na przeprowadzkę w głąb kraju. Nad morzem nie znajdzie się już teraz taniej nie-

ruchomości do remontu, jak za czasów młodości Ingrid i Jacka.
- Urodziłem się tutaj, do kurwy nędzy! - narzeka Jens, gdy mu proponuję jakąś alternatywę. - Mam prawo tu mieszkać!
Nie ma zamiaru przeprowadzać się w głąb kraju jak jakiś looser. Nie pozwoli oddać prerii białemu człowiekowi.
- Cały ty! - powiedziałam.
- Tak, cały ja - odparł z dumą.
A mieszkanie kurczy się z dnia na dzień.
INGRID
(Room service)
- ...room service - szepcze Jack przez drzwi. Stoi w korytarzu, służbowy garnitur wisi luźno na szczupłych barkach. - Room service - powtarza cicho, zamykając za nami drzwi.
Mój jasnoniebieski fartuszek kończy się nad kolanem i opina się trochę na piersiach, co doprowadza go do obłędu. Jest o głowę wyższy niż ja, muszę stawać na palcach, żeby dosięgnąć jego ust. Zawsze mamy mało czasu. Rozbierz się, mówi. Chodź. Fartuszek z niebieskiego nylonu - kiedy przeciągam go przez głowę, elektryzują się włosy wokół twarzy.
Cały czerwiec pada. Mało gości w hotelu. Staramy się z Jackiem, żeby ponure dyżury w pracy były trochę mniej nudne. Zawsze, gdy się spotykamy, robimy coś, czego wcześniej nie próbowaliśmy, w pościeli użytej przez obcych ludzi, na podłodze, jeśli łóżko wygląda zbyt obleśnie. Jack nie jest moim pierwszym i szybko to do niego dociera. Przestaje mnie dotykać, jakbym była z porcelany. Dzwonię po niego, podaję numer pokoju, czekam przy drzwiach. Kochamy się, szybko i szaleńczo, a potem on

oszołomiony stoi przed lustrem, próbując doprowadzić do porządku guziki i potargane włosy, równocześnie nie może oderwać ode mnie oczu. Przeczesuje loki rozczapierzonymi palcami, po czym biegiem wraca na recepcję, a ja zakładam czystą pościel dla kolejnego gościa.

Od pierwszego wejrzenia. Pierwszego dnia pracy. Tak właśnie się w nim zakochałam. W Jacku - już samo imię winno dać mi do myślenia. Jeszcze z nikim nie rozmawiałam, wszyscy pracownicy hotelu wahali się między trzydziestką a grobem. Ale nie on, który niespiesznie przeszedł przez nagrzany placyk na tyłach ośrodka z workiem ze śmieciami w ręce, wysoki chłopak z koszulą wysuniętą ze spodni. Zaczekałam przy kubłach, trzymając torby z resztkami, jemu udało się spuścić mi wieko na palce, kiedy wrzucał to, co przyniósł. A gdy niezdarnie zamknął moją dłoń w swojej, dmuchając na obolałe kłykcie, już przepadłam. Tanio. Tanio mnie dostał. Za jedno zażenowane spojrzenie spod przydługiej grzywki.
Wszedł we mnie, nie mówiąc mi nawet, jak ma na imię. Wysoki i poważny, i zawsze trochę flejowaty, bo wynajęty pokój, w którym mieszka, jest bez prysznica, i zdaje się, nikt go nie nauczył, że ubrania się pierze. Jak to się stało, że dostał pracę w recepcji? Goście musieli się dziwić, bo to do Jacka zupełnie nie pasuje, żeby stać tak za wypolerowanym kontuarem w białej koszuli i pod krawatem i miło się zachowywać. Uśmiecha się tylko, kiedy ma ochotę, a i to niezbyt często. Kazano mu po prostu stanąć w drzwiach, gdy poprzedni portier znienacka się zwolnił, szef musiał być zdesperowany, nie inaczej, skoro

przyszło mu do głowy wbić Jacka w garnitur i powierzyć mu tę pracę.
Sprzątanie w hotelu to dla mnie tylko zajęcie na lato. Marnie płatne i monotonne, poza spotkaniami z Jackiem. Nie ma znaczenia, jeśli wyleją mnie za to, co razem robimy. Wiem jednak, że on ryzykuje więcej, żeby być ze mną, ma się utrzymać z pracy portiera, a dla ludzi jego pokroju nie roi się od ofert w takiej dziurze.
Pokój z pluszowymi zasłonami, narzutami w kolorze kawy, zmywalne tapety, okna na morze albo na podwórze. W kącikach oczu tyka bez przerwy wskazówka sekundnika, przypominając nam, że musimy się spieszyć. Takim go zapamiętam z tamtych pokojów. Jego twarz na tle brzydkiej

tapety, kiedy pada plecami na łóżko, a ja nad nim. Nie wyobrażam sobie spędzenia z nim całej nocy. Myślę, że poza hotelem jest kimś zupełnie innym. Ale mimo wszystko nie może się dla mnie stać niczym więcej niż wspomnieniem, bo kiedy lato dobiegnie końca, moje życie musi znów potoczyć się dokładnie tak, jak zanim go poznałam. Zamierzam zachować jedynie mój służbowy fartuszek, ten niebieski, na pamiątkę. Jako wspomnienie po Jacku - ochrzczonemu na cześć whiskey, opowiedział, uśmiechając się, ale oczy miał poważne. Zawsze pełne powagi.

Nigdy nie spotykamy się poza hotelem. O czym mielibyśmy rozmawiać? Zdaje się, że on ma tylko tę pracę w hotelu, tutaj zaczyna i kończy się jego życie, żadnych bliskich, żadnych zainteresowań, żadnych planów na przyszłość. Żyje z dnia na dzień. Gdzieś tam oczywiście ma jakąś rodzinę, rozbitą, rozproszoną, ale oni nie chcą

go znać, i wzajemnie, twierdzi Jack. Później, po seksie, po wszystkim, zapada taka cisza, że słychać głosy z foyer. Jack zostaje w łóżku i patrzy na mnie, chociaż ja chcę tylko, żeby wstał i wyszedł. Nie znam go i jak długo się śmiejemy, obściskujemy i kochamy, nie ma to żadnego znaczenia, ale potem...

Niekiedy ogarnia mnie strach. Że wprawiłam w ruch coś, czego nie będę w stanie zatrzymać. Po jakimś czasie przestał flirtować z klientkami hotelu, co robił na początku. Zwykle sprawiał, że zatrzymywały się na kilka minut dłużej, pytając o opis drogi na pogniecionych mapach samochodowych, o to, czy nie mógłby im polecić jakiegoś miejsca na wieczór. Ale teraz nawet ich nie zauważa, zbyt zajęty sprawdzaniem, gdzie jestem. I to mnie przeraża. Zapomniał, że to wszystko jest tylko zabawą. Niedługo skończy się lato, a jeżeli do Jacka nie dociera, że potem także nasza przygoda musi się skończyć - co wtedy?

Mieszka sam w obskurnym pokoju nad biurem straży nadbrzeżnej, nie ma tam prysznica, nawet piecyka nie ma, za to 180 stopni widoku na morze, jeśli się wychylić

przez otwarte okno. Nigdy mnie tam nie zabiera, jedynie niechętnie mi o nim opowiada, kiedy pytam. To jest zapomniana nora i nikt, z wyjątkiem mnie jednej, nie tęskniłby za nim, gdyby zamek w drzwiach się zaciął - twierdzi. Pracuje, śpi, kocha się ze mną - wygląda, że to wszystko, jakby nie chciał od życia nic więcej. Co robi, kiedy nie jest w hotelu?
- Myślę o tobie - odpowiedział i znów zaczął mnie pieścić pod prześcieradłem.

A ja mam wrażenie, że tlen mi się skończył i muszę wyjść do światła, żeby zaczerpnąć tchu.
A mimo to. Lubię go. Zachowuje dystans, a jednocześnie jest natrętny. Ma taki sposób trzymania rąk w kieszeniach spodni swego ohydnego służbowego garnituru i niemal przewraca się, kiedy go mijam. Zaczął wystawać przy wejściu dla personelu, czekając, kiedy pójdę do domu. Całuje mnie tam i nie przejmuje się już, czy ktoś nas zobaczy przez okno. Wymusza na mnie obietnice. Że nie zachoruję. Bo jeśli pewnego dnia nie przyjdę do pracy, a on wtedy ugrzęźnie w jakiejś pętli czasu, będzie przecież zmuszony żyć beze mnie resztę swych dni. Pętla czasu? Nie wiem, co to takiego, ale nie mówię tego, odpowiadam, że w gruncie rzeczy mam też życie poza hotelem i może on również powinien się o takie zatroszczyć? A potem muszę wszystko łagodzić śmiechem, bo Jack wygląda tak poważnie, że aż komicznie.
Wkrótce jedynym miejscem, w którym tego nie robiliśmy, jest prysznic. Pewnego przedpołudnia w pokoju na najwyższym piętrze, kiedy grad stuka o dachówki, odpinam guziki fartuszka i szepczę chodź, zakładamy czepki, żeby nie zmoczyć włosów i nie dać się złapać. Śmieję się do rozpuku, gdy wchodzi we mnie w tym zielonym czepku na głowie, wygląda jak jakiś zboczony chirurg. A kiedy już ma szczytować, moje śliskie biodra wymykają mu się z rąk, nie zdążył wyjść. I na początku jest to tylko absurd, a potem panika. Uderzyłam go prosto w twarz, potem weszłam pod mocny, gorący strumień, nie słuchając

jego „przepraszam, przepraszam, przepraszam". Tracimy poczucie czasu, aż szef przychodzi nas szukać. Wtedy
83
można się już tylko ubrać, zabrać swoje rzeczy i odejść. Nakryci, zwolnieni w ciągu paru minut.
To rekord. Nawet dla Jacka.
Rozstajemy się na podwórzu, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Prosi o mój numer telefonu, bo teraz pewne jest tylko to, że nie spotkamy się już więcej w hotelu. A wszystko, o czym mogę myśleć, gryzmoląc cyfry we wnętrzu jego dłoni, to że jego szybkie plemniki płyną w górę, w górę mnie i nigdy mu nie wybaczę, jeśli zajdę w ciążę. Przecież niedługo wracam na uniwersytet. Z powrotem do mojego drugiego życia, gdzie nie ma co myśleć o Jacku. Próbuję go sobie wyobrazić, jak siedzi z moimi przyjaciółmi w studenckiej kafejce przy czarnej kawie i z papierosem i dyskutuje o postępie w badaniach genetycznych. Jednak krzesło przy stoliku pozostaje puste, filiżanka wisi w powietrzu.
Nie dzwoni. Co sobie wyobrażałam? Mijają tygodnie, a Jack nie dzwoni, ale to bez znaczenia, ponieważ nie jestem w ciąży i historia mogłaby się tutaj zakończyć. Reszta jest błędem z mojej strony. Gdyby tylko nie było mnie w domu ostatniego wieczora przed rozpoczęciem semestru zimowego, kiedy Jack przyszedł do willi rodziców - deszczowy, ciemny sierpień, dzień przed moim powrotem do zakuwania. Trzy godziny rodzinka przesiedziała na kanapie przed telewizorem, wyłącznie dlatego, że nikt nie miał siły wstać i wyłączyć. Moje walizki są już spakowane i stoją w sieni. Ubrania, podręczniki, przenośna lodówka, do której zostaną spakowane porcje obiadowe zamrożone przez mamę, aby oszczędzić mój
84
czas, kiedy zaczną się studia. I na to przyszedł Jack. Jakby wyczuł, że to ostatnia szansa.
Po dzwonku wiem, że to on, wiem, bo ręce zaczynają mi się kleić do haftowanej poduszki na fotelu. Mama i ojciec spoglądają na siebie, zerkają na zegar po pradziadku

koło witrynki i znów na siebie, tata mówi:
- Pięć po jedenastej, kto to może być, do cholery?
Wstaje z sofy, mama za nim, siostra, półleżąc, zasnęła na fotelu z czystego znudzenia. Ja siedzę na sofie. Brak mi tchu. Nie myłam włosów od Bóg wie jak dawna i pożyczyłam od mamy najbardziej obciachową koszulę nocną, bo moja własna, ładna, jedwabna, leży uprasowana w walizce.
Nie spodobał im się.
Nie patrzył im w oczy i miał miękki uścisk dłoni. Jak gdyby z obawy przed zostawieniem odcisków palców.
- Jack... co to za imię? - zapytał mnie później ojciec. - Jak on się właściwie nazywa?
- Jack to whiskey - wyjaśniam. - A jak się nazywa, nie mam zielonego pojęcia.
- Jak to?
Czy poszłoby lepiej, gdyby miał na imię Eskil, jak tata? Czy lepiej by go wtedy potraktował?
- Ciągle o tobie myślę - powiedział do mnie Jack, podczas gdy ojciec stał obok i gapił się na niego.
Mama w tle w płaszczu zarzuconym na ramiona, szyja wyciągnięta jak u indyka, zatkało ją.
- Nie mogę o tobie zapomnieć. Próbowałem. Nie da się.

A ojciec mruknął coś w stylu:
- Chwileczkę... Ingrid, a czy ty nie masz chłopaka w Lund...? Z medycyny, tego miłego chłopca, który nas kiedyś odwiedził?
Ale to już nie miało znaczenia. Bo Jack podał mi karteczkę ze swoim numerem telefonu i powiedział, że sprzedał motocykl. Zrobił to, by kupić telefon, żebym mogła do niego dzwonić.
- Trzymaj się od niego z daleka - powiedział mi później tato. - Z daleka.
Tylko że na to było za późno.
KRYSTIAN
(Ładniejsze, większe)

Oczy Lisette są błękitne niczym morze, ale również zimne jak lód, może cię złapać skurcz i utoniesz w nich. Jens już tak miał. Że się w niej zatracił. Kiedy świat staje się za bardzo wkurwiający, Lisette nakłada swój perłowy wyszczerz. Jej koci uśmiech jest zwierciadłem odstraszającym całe zło. Wiele razy próbowałem go w łazience - starałem się zaskoczyć siebie samego, kiedy wypluwałem pastę i podnosiłem wzrok do lustra (żeby spojrzeć sobie w oczy). Jednak ten śmiech do rozpuku, wszystkiemu na przekór, w moim wydaniu obraca się tylko w grymas. Brak mi tego genu, żeby pękać ze śmiechu, po prostu, on w ogóle nie występuje w naszej rodzinie.
- Wybrzeże, gdzie stoi hotel, wcale nie przypomina naszego - zapewnia mama przez telefon.
Stoję wpatrzony w pościel zasłaniającą widok z kuchni na morze. Wbrew cichemu pragnieniu Kaj, Lisette wróciła, wszędzie pozdejmowała pościel i uprała - trzy pełne pralki, w ogrodzie każdy wolny centymetr sznurka zawiesiła praniem.
87
Mama opowiada, że Floryda jest i piękniejsza, i większa. Wszystko trzeba pomnożyć kilka razy; rozmiar ludzi, plażę, steki serwowane w restauracji. Hotel jest oślepiająco biały, z setkami okien, które mienią się niczym szklaneczki z ponczem na gigantycznej werandzie skąpanej w słońcu. Rój balkonów i tarasów wychodzących na błękitne morze... bardziej błękitne niż oczy Lisette, jeśli potrafię to sobie wyobrazić. Spojrzałem na Lisette siedzącą na kuchennej podłodze, obcinała paznokcie dziewczynkom.
- Nie, trudno mi w to uwierzyć - mruknąłem.
Lisette patrzy na mnie, nastawia spiczaste uszka, czeka, żeby Jens poprosił ją do telefonu. Ale mama ani słowem nie wspomina o Jensie. Floryda. Plaże białe jak cukier, ciągnące się kilometrami. Bagniska, leje krasowe, podziemne rzeki. Bariery wokół lagun to pozostałości wielkich lasów namorzynowych, podobnych do tych, które nadal rosną przy plażach Tampa Bay. Mama poznała

dwóch poławiaczy żółwi, którzy pokazali jej okolice.
Nie pozwól siostrze wypuszczać się w morze i już nigdy nie wrócić, nie zostawiaj jej sam na sam z obcymi albo

- Masz na myśli Meksyk?
- Nie, Kanadę - upiera się.
Jens pewnie leży brzuchem do góry w jakimś basenie i tylko nie chce mu się gadać z Lisette. Chce ją trochę potrzymać w niepewności.
89
- Może nie chce wracać do domu - ciągnie Kaj i trąca mnie stopą w bark.
- Jasne, że nie chce wracać - syczę, jak gdyby Lisette mogła usłyszeć nas przez ścianę. - Ale Kanada? Gdyby chciał się ulotnić, chyba zrobiłby to już dawno temu? Nikt nie próbowałby go zatrzymać.
W gabinecie nad biurkiem wisi zdjęcie Jensa. Stoi w śniegu na parkingu przed wynajmowanym domem, trzyma po jednej córce na ramieniu. Dziewczynki są w różowych czapeczkach z napisami „Anna" i „Nina", ale w pośpiechu założono im je na odwrót. Fotka jest nieostra, jak wszystkie robione przez Lisette. Jens się śmieje, włosy sterczą mu na wszystkie strony, zawsze myślę, że musieli kochać się chwilę wcześniej. Znać to po tym, jak ona patrzyła przez obiektyw. Nie lubię tego zdjęcia. Jens wygląda na szczęśliwego w sposób, który nie może trwać.
Zauważyłem to, kiedy składaliśmy razem suchą pościel w pokoju mamy - Lisette zdjęła obrączkę, pasek bladej skóry odcina się od opalenizny palca.
- Kaj się rozchoruje od tych much - odzywa się, żeby odpędzić moją dłoń zbliżającą się do jej karku. Niecierpliwymi dłońmi wygładza każdą nierówność na spranych poszewkach i układa je stosami na łóżku mamy. Może zdejmuje obrączkę, bo palce jej puchną od gorąca? A może sama się zsunęła i wpadła do odpływu w piwnicy, kiedy Lisette robiła pranie?
- Bakterie - ciągnie Lisette z irytacją - twoja siostra nigdy nie słyszała o bakteriach?
90
Mięśnie pod cienką bluzką napięte, utkwiłem wzrok w niebieskich esach floresach wchodzących jej na plecy chaotycznymi kręgami. Ale Kaj choroby się nie imają.

Ona nie ustoi w miejscu wystarczająco długo, by bakterie i wirusy zdążyły się zagnieździć. Albo jest zaimpregnowana całym brudem staroci, którymi zawala swój pokój. Od gratów aż się tam przelewa, jakby miały stanowić zaporę przed światłem, na wypadek, gdyby coś zaczęło przeciekać.
Właściwie pokój Kaj nie jest zagracony, tylko ciasny. Porządek jest usystematyzowany - jeśli coś przesuniesz, Kaj natychmiast odstawi to na krążek wycięty w kurzu na półce. Musiała splądrować mój pokój, po tym jak mama wykopała mnie z domu. Moja dawna sypialnia jest lustrzanym odb□ □ □ □ □ □ □ □ □ t□ □ □ □ a□ □ □ □ p□ □ □ □ a□ □ mdc

Darowałem sobie pytanie, co ma na myśli. Jaskółki szybują wokół po jasnym wieczornym niebie, ich ostry krzyk przecina ciszę. Lisette siada na łóżku mamy, wzrokiem szuka okna.
- Niezbyt to samodzielne, chyba... tak iść w ślady mamy - wyznaję.
Lisette unosi brwi i zakłada ręce na piersiach.
- Jak to? To w czyje ślady chciałbyś pójść? - pyta. - W Jacka, tak? Chyba dość, że Jens tak zrobił. Zawsze w drodze, nigdy do niczego nie dojdzie.
Z jednej pracy do drugiej, nigdy dłużej niż pół roku w jednym miejscu, to fakt, z tatą tak było bez przerwy, a w Jensie jest ten sam niecierpliwy rytm. Ale zmierzanie donikąd - na swój sposób dotyczy to chyba nas wszystkich? A mnie bardziej niż innych. Praca, jedzenie, sen. Myślenie o Kaj, tęsknota za Lisette, myślenie o Lisette, tęsknota za Kaj. To wszystko, czym się zajmuję. A ty, Lisette? Dokąd podążasz? Nie ruszając się nawet na milimetr...

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie patrzeć na jej rękę spoczywającą na biodrze. Na brakującą obrączkę - białą skórę wokół serdecznego palca.
- Będziesz lubiany - mówi. - Zostaniesz bardzo dobrym ginekologiem, Krystian, kiedy już wreszcie skończysz te wszystkie kursy. Pacjentki cię polubią.
Zamykam szafę z praniem, które pachnie morzem i dłońmi Lisette.
- Nigdy sobie nie pomyślisz, że o kobietach wiesz już wszystko, prawda? - uśmiechnęła się i zdrapała trochę opalonej skóry, która jej się łuszczy na udzie. - Nie spodziewaj się tylko, że Jens kiedykolwiek zrozumie twój wybór...
Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział u Lisette taki wyraz twarzy. Jakby była niepewna? Zażenowana?
- ...akurat tej specjalizacji. Albo ściślej rzecz ujmując - dodaje - nie podobałoby mu się, gdybym ja poszła do ginekologa mężczyzny.
Rozciera skórę w palcach i pozwala, by jej płatki opadły

na podłogę.
- Jens jakoś nie rozumie, że facet może siedzieć między nogami kobiety, nie...
Słowa zawisły między nami w powietrzu. Nie - co? Nie częstując się? To miała na myśli? To na to mu pozwala, chociaż wolałaby, żeby ją to ominęło?
- Chodzi mi o to, czy możesz sobie wyobrazićJensa... - Pyta Lisette, strzelając tymi wielkimi błękitnymi oczyma.
Nie. Lepiej nie. Odwracam wzrok. Gotowe, wszystkie prześcieradła w ładnych stosikach, nie mam ochoty dłużej tu stać.

- Mogę przyjechać do ciebie do domu wieczorem? - pytam, kiedy wstała z łóżka, szybko, zanim zdążę zmienić zdanie.
Ona wpatruje się we mnie.
- Jak to? Dzisiaj wieczorem? - pyta, poprawiając szorty w talii.
Kiwam głową.
- Nie - ucina.
- Dlaczego nie? - naciskam, źrenice Lisette zwężają się w świetle jak kurczące się wyspy na lodowobłękitnych morzach.
- Dlatego, Krystian, chyba sam rozumiesz...? - gładzi mnie pospiesznie po policzku, dłoń jest ciepła i pachnie smażoną rybą, chcę ją zatrzymać, ale ona już odsuwa rękę od mojej skroni.
Lisette poprawiła narzutę dwoma szybkimi ruchami. Wygładza i wygładza, strząsa moje pytanie. Muszę-już-do-domu, robi-się-późno, dziewczynki-muszą-iść-spać, ulubiony-serial-w-telewizji... - wylicza i jeszcze raz podchodzi do łóżka, żeby się upewnić, że kapa mocno naciągnięta na materacu nie ma ani jednej fałdki. Żeby mama sobie czegoś nie pomyślała. W rzeczy samej zrobiliśmy to tu, w jej łóżku. Tamtym razem, który nigdy nie powinien mieć miejsca. Dlaczego akurat tutaj? Jakbyśmy się prosili, żeby nas nakryto.
- Po co właściwie Kaj te muchy? - pyta, mijając mnie

w drzwiach. - Do udekorowania tortu dla Jacka na pięćdziesiąte urodziny, co?
Wybałuszyłem na nią oczy.
94
- Żartowałam, Krystian! - śmieje się. - Chyba rozumiesz?
Muchy. Szybkość, z jaką się rozmnażają. Jak szczury i myszy, bez żadnego oporu. Kaj powiedziała, że istnieje taka niepozorna mucha-pasożyt, która w odróżnieniu od innych gatunków słyszy. To jest przystosowanie, żeby wyłapywać granie świerszczy, ponieważ one stanowią dla nich organizm żywicielski, w ich ciele składają jaja. Jeśli Kaj usłyszy o torcie, o udekorowaniu go muchami, na pewno to zrobi, tłumaczę Lisette, kiedy schodzimy na parter. Zatrzymała się w pół kroku, rozłożyła ręce.
- Słucham? I to będzie moja wina?!
- Nie musisz poddawać jej więcej pomysłów, dosyć ma własnych - proszę.
Lisette zawraca na schodach i znów wchodzi na górę, z trzaskiem i bez pukania otwiera drzwi do pokoju Kaj. Tam w oknie stoją w słońcu stare słoiczki mamy z etykietkami „krem na noc", „galaretka porzeczkowa", „ogórki kiszone". Lisette bierze jeden po drugim i opróżnia je na podłogę. Stopą rozgrzebała na wykładzinie czarne stosy owadów.
- No! - mówi. - To po problemie. Koniec z muchami!
Jak tylko Lisette opuściła pokój, padłem na kolana, żeby schować się przed szalonymi krzykami Kaj. Drze się tak, że uszy puchną, Lisette równie dobrze mogła powyrywać jej wszystkie włosy i puścić z wiatrem. Szybko zabieram się do ratowania tego, co daje się jeszcze ocalić.
95
Oderwane nóżki i skrzydełka, muchy, które uniknęły roztarcia pod stopami Lisette, jej słowa odbijają się echem na schodach.
- Dom wariatów! Krystian, wstawaj do cholery! Przestań się czołgać!

Szczątki much przyczepiają mi się do wnętrza dłoni, kiedy je zgarniam na kupkę. Dławiący, słodki zapach, który wydzielają, przypomina woń zdechłej myszy na strychu pod koniec zimy.
INGRID
(Przerębel)
Godziny największego upału, nic, tylko leżeć bez ruchu w hotelowym łóżku, za zamkniętymi okiennicami i przywoływać w pamięci uczucie chłodu. To wszystko, co można zrobić. Ciąg wspomnień przemyka mi przed oczami. Obrazy przenikają się nawzajem, wszystko dzieje się jednocześnie, teraz, teraz, teraz.
Późna zima, trzaskający mróz, niebieskie cienie pod drzewami. Z zimna smarki w nosie sztywnieją, sanki ślizgają się lekko po zlodowaciałym śniegu, wysoko w koronach drzew świergotają kwiczoły. Czasami muszę oglądać się za siebie i sprawdzać, czy plastikowy worek nie spadł z sanek. Wystające ciemne łapki Vicky, torba mocno zawiązana wokół nich. Pole przy ścianie lasu leży nietknięte w promieniach popołudniowego słońca padających pod ostrym kątem. Waham się przez moment, potem robię pierwszy krok w tę biel, w okolicy nie ma żadnych domów, żadnych ścieżek, a mimo to czuję się obserwowana, kiedy sunę skosem w stronę jeziora. Stale mam to uczucie, bez przerwy, w środku lasu czy

w wynajętym pokoju, kiedy Jacka nie ma, a ja zamknęłam drzwi na klucz i pospuszczałam wszystkie żaluzje. Może ma to coś wspólnego z dzieckiem? Jeszcze się nie przyzwyczaiłam do tego, że nigdy nie jestem sama. To jest ta faza, kiedy płód otwiera oczy i widzi w wodzie. Widzi mnie od wewnątrz.
Kiedy przystaję i poprawiam mój ładunek, czuję jak twarde ciało Vicky przesuwa się w worku, martwe jak kamień. Powinniśmy byli znaleźć jej inny dom, ale Jack uznał, że już i tak za często ją przenoszono. Psy są jak dzieci, powiedział, potrzeba im poczucia bezpieczeństwa, żeby nie straciły nadziei. A kto, zapytał, głaszcząc mnie

po rosnącym brzuchu, kto zechce psa, który wygląda jak Vicky? Nikt oprócz nas. A nawet i my nie.
Cienie drzew wydłużają się i stają się coraz smuklejsze, długaśne, niebieskie sylwetki na białej powierzchni zlewają się ze sobą. Strzepuję śnieg ze spodni, naciągam kapuzę na głowę, wtulam twarz w czerwoną podszewkę - czuję zapach Jacka. Zamykam oczy, próbując przeobrazić zapach w jego twarz, ale czuję tylko zimno szczypiące w policzki. Ostre pazurki na spierzchniętej skórze.
Jack powiedział, że zrobimy to pół na pół. Uczciwie podzielimy się pracą. On miał uśpić Vicky, a ja zająć się resztą. Tamtego wieczora wziął saaba i odjechał z Vicky, nie mówiąc dokąd, zresztą wolałam nie wiedzieć. Może ktoś mu pomógł. Nie wierzę, że sam sobie z tym poradził, Jack ma talent do wątpliwości - w ostatniej chwili; nie wiem, co się wtedy dzieje w jego wnętrzu. Razem

z nim jestem gotowa zrobić prawie wszystko, brak granicy z napisem: „tu zaczyna się niemożliwe" - później trudno będzie z tym żyć.
Nie było go przez kilka godzin, wrócił sam, Vicky nie szczekała na tylnym siedzeniu, z dwoma paczkami wafelków i gazetą, które kupił na stacji benzynowej. Wszedł, położył się na kanapie, zaczął jeść i oglądać telewizję.
- Dziecku może podobałby się... - mruknął po pewnym czasie, kiedy skończył pierwszą paczkę, zgniótł opakowanie w kulkę i otworzył drugą. - Podobałby się pies.
Naprawdę ma talent do wątpliwości. Kiedy jest już absolutnie za późno. Vicky leżała w piwnicy, nie ruszała się, oboje o tym wiedzieliśmy, teraz moja kolej, żeby się jej pozbyć. Winą mieliśmy podzielić się po połowie.
Źle spałam, późno się obudziłam. Jack siedział w kuchni, zdawało się, że czekał tylko, żebym wstała. Zszedł ze mną do spiżarni i wskazał worek, który całą noc przeleżał na zimnej betonowej podłodze. Nie dotknął go, trzymał się nieco z dala, pokazując, gdzie jest. Kiedy go uniosłam,

Vicky wydała mi się lżejsza, niż zapamiętałam. Może straciła dużo krwi. Przez folię wydawała się zamarznięta na kość. Zanim się obudziłam, Jack poszedł nad jezioro wyciąć przerębel. Ziemi się nie da ukopać, powiedział, mróz sięga za głęboko. Muszę pożyczyć jego kurtkę, żeby nie zachorować, bo w nocy ochłodziło się jeszcze bardziej.

To była pomyłka od samego początku. Vicky była kompletną pomyłką. Ale przynajmniej mieliśmy coś

wspólnego, coś, o czym mogliśmy pogadać, kiedy Jack wpadł na pomysł, żeby sprawić sobie psa. Spokój przez długie, ciche wieczory. Przez pół nocy leżeliśmy obok siebie na wąskim materacu i wertowaliśmy atlasy kynologiczne, póki któreś z nas nie zasnęło nagle w pół śmiechu. Pewne rasy faktycznie zakrawały na żart, charty, nagie psy, mopsy... Okej, ledwo starcza nam na czynsz, ale zwierzak nie musi nic kosztować, ubzdurał sobie Jack. Są porzucone psiny, które można dostać zupełnie za darmo. Odrobaczone, nie robiące w domu, gotowe. W tym to się Jack orientował, a teraz, odkąd wywalili go z chłodni rybnej, miał przecież masę czasu, żeby zająć się psem, stwierdził.

Opowiadał o psach, które miał jako dziecko: Dingo, Lackie, Fargo, wesoła mieszanka psiaków hasających wolno w ogródkach w Malmó i Kopenhadze. Jeden niepodobny do drugiego, nakrapiane mieszańce uliczne bez wyjątku; nagle o psach zaczął opowiadać więcej niż kiedykolwiek o swojej rodzinie. O tym, jak Lackie oszczeniła się w wannie i porzuciła młode, jak Fargo uratowała go raz z ostrego mordobicia, i o Dingo, którą potrącił pociąg, ale wylizała się, jak gdyby chronił ją anioł stróż.

Kiedy Jack jest w czymś dobry, lubi się tym popisywać. A ponieważ wydawało się, że wie prawie wszystko na temat psów, zdałam się na niego. Wkrótce uzgodniliśmy: weźmiemy dużego ułożonego czworonoga - spokojnego, budzącego respekt, obronnego, ale bez przesady.

Samca, bo one nie uciekają i mają bardziej zrównoważoną naturę - twierdził Jack. Nie godziłam się tylko na

owczarka, każdy inny wchodził w grę. Kiedy byłam mała, ugryzł mnie wilczur sąsiada i zarówno blizna, jak i strach pozostały. Chociaż później... w samochodzie, w drodze do schroniska, Jack z jednym okiem utkwionym w mapę, a drugim w drogę, odezwał się znienacka:
- Ale są zajebiście ładne, Ingrid, musisz przyznać, owczarki...
Nic nie odpowiedziałam, a wtedy on zaczął nawijać o tym, że zawsze chciał mieć właśnie owczarka, bo jego ojciec miał jednego w młodości. Więc ostatnie kilkadziesiąt kilometrów przemilczałam ze wzrokiem wbitym w szybę, chcąc dać mu do zrozumienia, że się grubo myli. Prowadził szybciej niż zwykle i palił w samochodzie, chociaż wiedział, że dostaję od tego choroby lokomocyjnej. Krajobraz przemykał niczym szybko przewijany film. Nawet nie lubił swojego taty, nigdy nie lubił, więc po co chciał sobie o nim przypominać psem tej samej rasy? To było nie do pojęcia.
Kiedy zajechaliśmy na miejsce, Jack chodził podenerwowany między ciemnymi klatkami, dopóki nie znalazł boksu z owczarkiem. Ten rzucał się na kraty i merdał wręcz całym zadem, a kiedy Jack się zbliżył, w podnieceniu siknął trochę na betonową podłogę. Jack chciał, żebym mu się przyjrzała, ale poszłam dalej za pracownikiem schroniska. Te oczy - jasne, żółtawe - wyglądały histerycznie. Tego nie. Nigdy. Jack wiedział przecież, że tak myślę.
Zatrzymałam się przy mniejszej klatce, gdzie opiekun psów przykucnął i zaczął zagadywać do małego, kudłatego mieszańca, który kręcił się dookoła własnej osi

z czystej ekscytacji, licząc na odrobinę pieszczot. Był to brzydki, mały piesek. Naprawdę szpetny i do tego śmierdzący, jakby zjadł za dużo suszonych świńskich oczek, a jednak usiadłam w kucki i podrapałam go za

uszami, przez kraty dałam mu palce do polizania. Unikałam zirytowanych spojrzeń Jacka, kiedy mężczyzna w długim wywodzie przedstawiał całą zasmucającą historię Vicky. Jack się nie odzywał, zerkał na owczarka, który z zapałem wspinał się na kraty swojej klatki kawałek dalej. Na koniec powiedziałam:
- Okej, bierzemy ją. Tę małą - tylko po to, żeby sprawdzić, jak zareaguje Jack.
Ale on nie zaoponował, jak się spodziewałam. Wzruszył tylko ramionami, jak gdyby nawet nie miał siły się tym przejmować. To już nie jego sprawa. Jeśli nie stawiał na swoim, zawsze obojętniał.
Tak więc ani się obejrzeliśmy, siedzieliśmy w samochodzie z małym, spasionym i brzydkim psiakiem, który radośnie poszczekiwał w tylnym oknie. Jack milczał przez połowę drogi do domu, a potem zaczął swoją tyradę. Vicky zupełnie nie mieściła się w jego wyobrażeniu o psie... jakiś tam terier-bękart na krótkich nóżkach, grający na nerwach swoim szczekaniem... szpetna, podstarzała suka... na pewno ma też złe nawyki, no i przecież ustaliliśmy, że ma być duży... tak czy nie? Nie rozumiał, jak mogłam być taka uległa, tak się roztkliwiać, że wzięła mnie historia o przygnębiającej przeszłości Vicky. Na Boga, może to wcale nie była prawda? Na pewno taki chwyt, żeby się jej pozbyć. W każdym razie to było jak wiązanie się z drugą osobą, dlatego, że ci jej żal - uważał

Jack. Nie po to, żeby ją mieć, tylko po to, żeby się nią opiekować. Zaproponowałam, żeby wymyślił dla Vicky nowe imię, jeśli nie podobało mu się to, które miała, ale na to nie miał ochoty. Jego zdaniem „Vicky" doskonale do niej pasowało.
JENS
(Pas przeciwpożarowy)
Widziałem, jak umierają psy, ale nie jak ludzie. Nasi sąsiedzi sprzed lat wsiedli pewnego dnia do volvo, wyjechali do lasu, przeciągnęli wąż od rury wydechowej do środka samochodu i zagazowali się na śmierć. Stary ich zna-

lazł. Auto stało na pasie przeciwpożarowym i wyglądało właściwie jak zwykle. Jak gdyby Leif stanął tylko, żeby się odlać za drzewem. Ojciec wiele godzin przejeździł po leśnych drogach, zanim był w stanie wrócić do domu i poprosić mamę, żeby zadzwoniła na policję. Zapomnieli przed wyjazdem wypuścić psa, ale na pewno nie zrobili tego specjalnie, bo psisko było kurewsko ładne. Więc musieliśmy wybić okno na tyłach i go wypuścić. Sytuacja kryzysowa, powiedział tata, żebym sobie nie myślał, że nie dostanę w łeb, jak zacznę tłuc szyby. Nie wiem, gdzie potem zniknął ten pies. Poleciał po prostu w dół drogi. Nie wydaje mi się, żeby wrócił. Po tym wszystkim okna domku letniskowego stały wieczorem ciemne, dopóki ktoś inny się nie wprowadził, ale ich już sobie nie przypominam. Pamiętam tylko Helle i Leifa - ich imiona były ze sobą jakoś złączone. Jak Ingrid i Jack. Jens i Lisette.

KRYSTIAN

(Zaspa)

Popołudnia są ciche jak czuwanie przy zmarłym. Gramy z Kaj w badmintona w ogrodzie. Po każdym przegranym secie ona rzuca się na trawę.

- Zagrajmy w cygana - nudzi.

To stara zabawa, nie pamiętam, o co w niej chodzi.

- To w trupa!

Specjalnie przepuściła jedną piłkę. Kaj uwielbiała się w to bawić: leżysz w zaspie śnieżnej albo w rowie z otwartymi oczami, a samochody przejeżdżają obok.

- W trupa? Przecież to dla dzieci - odpowiedziałem.

Kaj uderza mocno i bez koncentracji, tak że piłka leci to w jedną, to w drugą stronę. Jest wpieklona na Lisette, ale może jeszcze bardziej na mnie. Wyzbierałem co do ostatniej najmniejszej muszej nóżki wszystko, co Lisette rozsypała na podłogę, przysięgałem, że to nie moja wina, ale dla Kaj to za mało.

- Krystian, wiesz, o czym myślę, kiedy nie mogę zasnąć? - przygwoździła mnie wzrokiem i tak ścięła piłkę,

że nie sposób odebrać. - O tych dwóch rankach po
105
goleniu, które masz na jabłku Adama - rzuciła tryumfalnie.
Poddaję się. Nie chodzi jej o grę, tylko o coś innego. Rzucam rakietkę w krzaki i odchodzę.
Są takie momenty, kiedy odwrócenie się do Kaj plecami jest śmiertelnie niebezpieczne, tyle tylko, że orientujesz się dopiero, kiedy jest za późno. Jak człowiek jest przygotowany, może zrobić unik, ale tam, na ścieżce, kiedy na mnie skoczyła, padłem twarzą prosto w żwir. Uderzyłem o ziemię klatą i moszną, straciłem oddech. A ona wciska moją głowę w ten żwir, kalecząc mi usta i brodę ostrymi kamykami. Wbija mi w głowę paznokcie i ciągnie za włosy, i chociaż jest ode mnie lżejsza, nie mogę jej z siebie zrzucić. Nie odzywa się słowem, przyssała się tylko, ściska mnie nogami w pasie, jak gdyby chciała rozkruszyć mi coś w środku, i bije mnie pięścią w ucho. Aż korony drzew zwaliły się prosto na mnie - bezszelestnie.
W końcu udało mi się przekręcić na plecy i ją przygwoździć. Jej ciało wydaje się takie cienkie, kiedy przyciskam ją do ziemi, wydaje się, że jej mięśnie opadły z sił, nogi zadrżały, kiedy się rozluźniła. Nie jestem pewien, czy mnie widzi, mimo wpółotwartych oczu. Muchy krążą w słońcu wokół jej ust. Leży bez ruchu jak nieprzytomna, ale palce ściskają rakietę, więc wstaję szybko i odchodzę. Przygotowany na kolejny atak od tyłu, chwiejnie człapię do altany. Ogłuszony jej ciosami, nie słyszę nawet własnych kroków na żwirze. Spirala, która powoli
106
wkręca się coraz głębiej. Czy to się właśnie dzieje? Poznaję go, ten ruch, jak się raz zaczepi, człowiek nie da rady zatrzymać.
Nie mam pojęcia, jak dostałem się do łazienki, ale koniec końców jestem tu i zamykam drzwi na klucz. Nasłuchuję kroków na schodach, ale cisza. W ustach pełno żwiru, podłoga wiruje. Co to było? Muszę na chwilę

przysiąść na sedesie, żeby dogonić własny puls i uczucie, że spada na mnie żwir. Prąd przeszywa moje mieszki włosowe, dotykam delikatnie głowy, przed lustrem kręcę nią w jedną i drugą stronę, żeby sprawdzić, ale nie widać żadnych łysych placków. Wyjmuję z szafki zakurzoną butelkę z jodyną. Mama używała jej, gdy byliśmy mali, za każdym razem, kiedy napatoczyłem się Jensowi w złym humorze. Zagryzłem zęby, zwilżyłem usta i brodę - szczypie bardziej niż sól na zajadach, zapach mnie odrzuca. Za oknem suche liście drzew szeleszczą na wietrze. Widać Kaj tam, na dole, leży na żwirze nieruchoma. Dwa czerwonofioletowe półksiężyce jej zębów na moim barku. Szybki gryz, tak szybki, że nawet nie zauważyłem, kiedy go zrobiła.
- Kaj, wiem, że żyjesz - szepczę jej prosto do ucha.
Całą wieczność przeleżała na żwirze, nie ruszając się. Usiadłem w kucki, przygotowany, ale kiedy podniosła powieki i spojrzałem jej prosto w oczy, zrozumiałem, że już jest po. Wyglądały całkiem zwyczajnie.
- Co się stało? - zapytała.
Udaje oszołomioną, siada, ściera kamyki z policzka.

- Nie wiem, ale obyś nie miała wścieklizny, bo mnie ugryzłaś - powiedziałem.
Kiedy zsunąłem koszulkę z barku i pokazałem, spojrzała na ugryzienia niemal z podziwem. Ręce są dalej zaciśnięte, ale powoli się rozluźniają. Zwilżyła palce śliną i przetarła ranę.
- Wścieklizny? Nie wydaje mi się - odparła, ale bez przekonania.
- Przepraszam - nie miałem pojęcia, za co przepraszam, ale grunt, że Kaj wiedziała.
- Nie możesz mnie zostawić. Czekałam codziennie... teraz musisz tu zostać - szepcze i chce, żebym pomógł jej się podnieść.
Ostrożnie obmacuje moją wargę, zaczęła już puchnąć, skóra jest napięta.
- Lisette - ona jest przecież porąbana... Nie możesz

jej więcej wpuszczać, Krystian, obiecaj.
Czarne chmury przetaczają się nad wioskami na wybrzeżu. Muchy pchają się do domu, żeby uciec przed nawałnicą. Rozwieszamy lepy przy sufitach i czekamy. Staramy się nie oszaleć i nie przyczepić do kleistych spirali nasączonych cukrem i chlorkiem rtęci. Muchy są niegroźne, wyczytała gdzieś Kaj. Jeśli nie brać pod uwagę miliardów bakterii, które przenoszą z miejsca na miejsce, kiedy przemieszczają się, bez ustanku czegoś szukając.
Kiedy powiesiła w domu ostatnią pułapkę na muchy, przypominała mi, że jak byłem mały, zaplątałem się kiedyś w taką klejącą serpentynę. Mama musiała wtedy

obierać ze mnie pasmo po paśmie brzytwą ojca. Kaj wyjmuje z szafki moje przybory toaletowe i zabiera się do golenia moich włosów. Nadal czuję się ogłuszony jej wybuchem, wystarczy, że przejadę językiem po poranionych ustach, żeby przypomnieć sobie, do czego jest zdolna. Nie mam siły protestować. Gdyby mama nie była tak daleko, zadzwoniłbym do niej teraz i poprosił, żeby przyjechała do domu. Widzę się w lustrze, przypominam przerośnięte dziecko: łysa, blada czaszka, wielkie oczy, zagubione spojrzenie. Kaj z rękami w piance do golenia śmieje się, jakby wreszcie się zemściła. Teraz nikt cię nie zechce... nawet Lisette - mówią jej oczy. - Nikt oprócz mnie.
Jest tylko jedno jedyne zdjęcie Jensa, Kaj i mnie, na którym równocześnie patrzymy w obiektyw. Robiąc je, tata musiał już wiedzieć, że niedługo nas opuści. A może i my to rozumieliśmy? Ostatnie lato na polu kempingowym gdzieś w Skanii. Deszcz siąpi, wszyscy pokłóceni, ustawieni na schodkach przyczepy w ciemnobrązowych dresach i z mokrymi włosami. Kaj zezuje do kamery, ja mam krew pod nosem po tym, jak Jens spuścił mi łomot pod kempingowym prysznicem. Właśnie to spojrzenie wróciło do mnie, kiedy patrzę na siebie w lustrze z Kaj za plecami. Moje spojrzenie spod prysznica. Pełne strachu przed pobiciem. Nie do zniesienia.
- Krystian, jesteś śliczny. Dokładnie taki, jaki je-

steś. To pewne - szepcze Kaj następnego ranka, kiedy w milczeniu przyglądam się sobie w bezlitosnym świetle dnia.

Chcę mieć taką twarz, jak kiedy tu przyjechałem. Całą i nietkniętą. Bez jednego zadrapania, tylko kilka cienkich, zbielałych blizn nie wiedzieć od czego. Chcę mieć z powrotem wszystkie włosy, co do jednego kosmyka. Nie mam zamiaru wychodzić, nie mam zamiaru się pokazywać, dopóki znów nie będę wyglądał normalnie. Ludzie się przestraszą, przypominam przecież więźnia na robotach, może jeszcze z łuszczycą i świerzbem. Zwłaszcza kiedy próbuję się uśmiechnąć, żeby miło wypaść, jestem absolutnie przerażający.
- Wyglądasz doroślej - stwierdza Kaj. - Krótkie włosy są praktyczne - stara się - i na czasie - dodaje - a mimo to niezwykłe. Inne niż u całej reszty. Chyba nie chcesz być taki jak wszyscy, Krystian?
Owszem. Chcę. I chcę, żebyś ty też była jak wszyscy, Kaj. Żebym miał szansę kiedyś cię zrozumieć.
Siedzi na schodach i czeka. Świeżo wyszczotkowane włosy, białe dżinsy z zielonymi plamami od trawy na kolanach, czarna koszulka na ramiączkach, zatknięta za nią paczka papierosów między piersiami.
- Nie chcę - usiłuję protestować.
- To bez znaczenia. Obiecałeś - przypomina Kaj krótko, kolebiąc się w rażąco czerwonych drewniakach. - Obiecałeś dawno temu, a słowa trzeba dotrzymywać, nawet jeśli nagle ci się odechciało.
I wkrótce, zaledwie po kilku dodatkowych rundach zrzędzenia, chociaż mówiłem sobie, że się nie złamię, siedzę za kółkiem, ona obok. Kątem oka widzę czerwone drewniaki oparte o deskę rozdzielczą, wyrzuciła wszystko

z mojego portfela na kolana, liczy banknoty i monety, stale się gubi i zaczyna od początku. Każdego lata na boisku odbywa się pchli targ, Kaj nigdy go nie opuszcza.
- Wszyscy tam będą - ostrzegam ją, ale wzruszyła je-

dynie ramionami.
Jeśli tylko będzie mogła ryć w skrzyniach z okazjami w poszukiwaniu tanich przedmiotów, wytrzyma nawet to, że zetknie się z innymi ludźmi, że przez krótką chwilę będzie jedną z wielu.
- Może uda nam się znaleźć dla ciebie perukę, Krystian. Tam jest wszystko, czego sobie zażyczysz - mówi, głaszcząc moją rękę na drążku skrzyni biegów. Wkłada kilka moich banknotów do kieszeni dżinsów i zabiera się do szukania tajemnic w ukrytej kieszonce portfela; ale niczego nie znajdzie.
Kiedy dotarliśmy na miejsce, zacząłem żałować, że się dałem na to namówić, ludzie gapili się na mnie już od wjazdu na parking. Ale teraz nie mam wyboru, muszę wejść prosto w tę chmarę razem z Kaj. Już nikt mnie tu nie pamięta, myślę sobie. Nie pamiętają mnie, nie pozostawiłem po sobie widocznych śladów. A jeśli pamiętają, to nie rozpoznają. Wlokę się za nią, wzrok wbity w ziemię, jak znudzony chłopak za swoją dziewczyną. Kaj znalazła zestaw różowych plastikowych kieliszków do jajek, kolekcję popielniczek z nadrukiem porno, żelazko podróżne, dwa albumy ze zdjęciami z wakacji na nartach, jedno zdjęcie podobne do drugiego, i wypchaną wiewiórkę o mętnych oczach przyczepioną do gałęzi- Peruki wprawdzie nie znalazła, za to czarny tupecik

a la Hitler, ale wtedy pokręciłem głową i powiedziałem, że koniec z kasą. Koniec zabawy.
Nikt nie mówi jej „cześć". Zupełnie nikt. Niektórzy powinni ją rozpoznać, ale nikt jej nie pozdrawia. Za to gapią się na mnie, chociaż to Kaj krąży z martwą wiewiórką w ręce. Zastanawiają się, skąd zwiałem, to się rzuca w oczy. Głowa ogolona byle jak i odrapana od brody aż po czoło. Jakbym przeciskał się przez wąski otwór kanalizacyjny. Niczego nie kupuję. Niczego nie tykam.
Mama wyrzuciła mnie na mróz. Chwyciła za kark jak kota i wywaliła na śnieg. Zrobiła to, żeby mnie ratować

przed Jensem. Żeby uniknąć kolejnej katastrofy rodzinnej, tylko że nieszczęścia mają własne źródło energii i chcąc zahamować, żeby ich uniknąć, człowiek wywołuje lawinę.
- Trzymaj się z daleka - mówiła mama, kiedy dzwoniłem z tych mieszkań wynajmowanych z trzeciej ręki. Nigdy nie spytała, gdzie mieszkam. Czasami - czy nie potrzebuję pieniędzy. Nie, niczego mi nie trzeba, chciałbym tylko przyjechać do domu. Brakuje mi Kaj.
- Radzi sobie - odpowiadała mama.
- Ale czeka na mnie - marudziłem.
- Krystian, na to nie ma rady.
Mama była zupełnie zimna, w ogóle nie dawało się z nią rozmawiać.
- Przyjedź do domu na święta, inaczej Jens nabierze podejrzeń. Ale nie wcześniej - mówiła.

I tak to szło. Dopóki nie przyzwyczaiłem się do samotności i jej nie polubiłem.
Pomagam Kaj poukładać starocie z targu na tylnym siedzeniu. Samochód wypełnił się ich zapachem, takim samym, jaki panuje w pokoju Kaj - niedefiniowalna, zbiorcza woń setek obcych rąk? Uważam, że przedmioty są brzydkie, zawadzają, chcę mieć tylko to, co najpotrzebniejsze. Z wyjątkiem tej zezowatej szklanej rybki, którą od niej dostałem. Stoi u mnie, w mieście, w kuchni na oknie, nie mam odwagi jej wyrzucić, na wypadek gdyby mnie wreszcie kiedyś odwiedziła. To jedyna rzecz w całym moim mieszkaniu, która nie ma absolutnie żadnego zastosowania. Ale w słoneczne dni mieni się, przypominając Kaj, jak siedzi w oknie. Często tak przesiaduje, obserwując rybitwy bijące się w ogródku, wybiera sobie jedną i śledzi ją wzrokiem, dopóki nie odleci, mocno podziobana.
Płynie dzień za dniem. Popołudnia są długie i ciepłe. Kaj szoruje mnie, kiedy się kąpię, robiła tak z lalkami, jak była mała. Mydli mi plecy, balansując na brzegu wanny w podwiniętych dżinsach. Między klozetem a bidetem leży skulony Rabbi i przygląda się nam. Lisette zostawiła

go pod naszą opiekę na jedno popołudnie, a potem po prostu w nosie miała, żeby go odebrać. Jest dla niej jeszcze jednym problemem, opieka nad dziewczynkami to już i tak więcej niż dosyć. Za oknem rozciąga się wilgotna łączka. Można by udawać, że krajobraz jest tapetą, przez którą raz po raz przechodzą sarny.
113
W lustrze nie widać mojej twarzy. Nogi Kaj skróciły mnie o głowę.
- Też chcę się wykąpać - Kaj szturcha mnie lekko. - Wstawaj, Krystian, zanim woda ostygnie. I weź ze sobą Rabbiego.
Zamachnęła się na niego ręcznikiem, mruknął tylko niezadowolony, cofnął się głębiej w cień bidetu i leży dalej.
- Jens powinien się go pozbyć, zaczyna wariować. - I dodaje: - Czy oni tego nie widzą?
Ściąga dżinsy, koszulkę i majtki od stroju kąpielowego, sprawdza wodę.
- Mogę to dla nich zrobić. Lisette się zgodziła - mówi.
- To nie jest pies Lisette - przypominam.
Zabieram jej ręcznik i okrywam się, wstając z zimnej wody.
- Ale żal go. To widać po oczach.
Jens na Florydzie. Lisette sama z dziećmi. Zamknięta w ubikacji ciasnego mieszkania, podczas gdy dziewczynki z Rabbim biegają w kółko na dworze, bawiąc się w sztorm na morzu. Jeśli zamknę oczy, widzę Lisette ze zdjęciem Jensa i garścią ostrych szpilek, które wbija mu we wszystkie strategiczne punkty voodoo. Chce, żeby wrócił do domu natychmiast albo wcale. Miłość Jensa i Lisette nie jest na dobre i na złe. Nigdy taka nie była. Ale gdyby się nie zmieniała, już od dawna pozostałyby po niej tylko skorupy.
114
Laski z końskimi ogonami rozjaśnionymi od słońca i w bikini tak skąpym, że prawie niezauważalnym.

Jens surfuje z nimi po najwyższych falach, a wieczorami pokazuje im leoparda, którego kiedyś wyryłem na jego ramieniu. Od tamtego czasu rósł wraz z nim, aż podwoił rozmiary. Opowiada tę uroczą historyjkę, której dziewczyny uwielbiają słuchać, i obiecuje, że jadąc następnym razem na Florydę, zabierze swojego młodszego brata, żeby zobaczyły same bliznę w kształcie psa, któremu chce się szczać. Lisette ma nadzieję, że zmyją go te wysokie fale. Że zniknie wśród prądów, na wodach pełnych rekinów, w Trójkącie Bermudzkim. Jest tylko jeden problem. To ojciec dziewczynek. I tylko z tego powodu nic nie może mu się przytrafić. Jeżeli zrobi jakieś głupstwo i wróci do domu w czarnym plastikowym worku, obiecała, że pochowa go w najbrzydszej trumnie, jaką uda jej się znaleźć.

Tłuszcz błyszczy Kaj w kącikach ust, jemy placki ziemniaczane z dżemem żurawinowym. Rabbi zajął swoją pozycję, czeka na resztki. Siedzi u stóp Kaj z błagalnym spojrzeniem, jakby zrozumiał wszystko, co o nim powiedziała. Ona rysuje palcem kółka w dżemie i czyta wczorajszy program telewizyjny, żeby nie rozmawiać. Je prowokująco wolno, nic mu nie daje, choć z głębi jego krtani dobywa się skomlenie z głodu. Nie potrafię spojrzeć Rabbiemu w oczy. W wyobraźni stale widzę, jak Kaj próbuje się go pozbyć. Ale jak się zabija dorosłego psa? Kocięta Jens zwykle topił w wiadrze wody, zanim jeszcze otwarły ślepka, ale zabicie dorosłego psa jest bez

strzelby niemożliwe. Kaj ma coś do zwierząt, jak gdyby nie mogła ścierpieć ich bezradności, przez nią robi się zimna jak lód.

Pobieżnie czytam gazetę, żeby oderwać myśli. Jakiś motorowerzysta znalazł dwadzieścia jeden łosi utopionych w przeręblu w Skałka między Kvikkjokk a Jokkmokk. Prawdopodobnie zapadły się, kiedy weszły na lód mniej wytrzymały z powodu wahań poziomu wody. Martwe łosie zostaną usunięte, aby uniknąć zagrożenia sanitarnego, jak poinformował oficer dyżurny z posterunku po-

licji w Gallivare. Chowam tę gazetę przed Kaj w stosie na kuchennej sofce. Ona pakuje do ust dwa ostatnie placki, po jednym na policzek, niczym wygłodzony chomik, i gada o programie telewizyjnym, który przeszedł nam koło nosa: na temat lodołamacza Arctica z napędem atomowym. Podaję jej mój talerz, smak gnijącej łosiny rośnie mi w gardle, straciłem apetyt.
- Ale ty przecież prawie nic nie zjadłeś - mówi zdumiona, szybko chwytając talerz i wbijając widelec w resztki po mnie, zanim zdążę się rozmyślić.
Myślę o morzu. Zasnąć z rękoma w ciepłym piasku, obudzić się w przezroczystym świetle i zastanawiać, gdzie jestem. Leżymy na podłodze w saloniku, Kaj opowiada historię dwóch braci na jeziorze. Była zima - zaczyna - i ci bracia wyjechali skuterami na lód. Słońce mieniło się na śniegu i oślepiało, aż nagle wjechali w wielki przerębel na środku jeziora. Lód po prostu puścił, a oni utonęli ze skuterami i wszystkim. Wiele dni później znaleziono

ich leżących na dnie jeziora, dokładnie pod przeręblem. Blisko przy sobie, twarze zachowane przez mróz. Kaj odwraca głowę, żeby sprawdzić moją reakcję, przełyka ślinę, jakby zrobiło się jej niedobrze. Rozkłada ramiona, ale podłoga wokół nas nie przestaje się kołysać.
- Kto to był? Jens i ja? - dopytuję się, bo nie do końca rozumiem.
- Nie, idioto... To tylko coś, co przeczytałam, ale nie pojmuję, jak mogli tak pójść na dno? Prosto w dół, jak kamień w wodę.
JACK
(Świadek)
Usta. Powtarzają monotonnie bez ustanku, nie zaczerpują oddechu. Jest blada, ze stresu wyszły jej czerwone plamy na szyi. Stoi w sieni, pada na nią światło z otwartych drzwi, stoi spokojnie, a jakby się ruszała. Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć jeszcze raz. Od początku. Zacząć żyć na nowo - zaczyna cichym głosem, wyjmując sczytany folder. Przeciąga rękami po włosach, dłonie ma

duże i jakby przezroczyste w świetle górnej lampy. Od początku? Nie mówi tego poważnie, niemożliwe. Ale zanim zdążyłem otworzyć usta, wbiła we mnie spojrzenie, szybkie niczym kocie pazury, i powiedziała, że przeszłość nic już nie znaczy. Trzeba tylko zapomnieć, co było.
W drodze do kuchni jedną ręką ściera czerwień z ust, drugą stara się poprawić włosy. Nie pytając, czy może, przełożyła brudne ubrania z jednego krzesła na drugie, bokserki i podkoszulki w drodze do pralki od wielu dni. A potem, z czymś oczywistym, a mimo to jakby niepewnym w oczach, siada na miejscu najbliżej drzwi i rozkłada pisma, które przyniosła ze sobą. Na blacie stoi telewizor: usadowieni na białej skórzanej kanapie piją kawę i rozmawiają o minach przeciwpiechotnych gdzieś

tam, w Indonezji, Afganistanie, nie słucham prawie...
Włosy. Nie mogę oderwać od nich wzroku. Falujące miękkie loki, ogarnęło mnie pragnienie, żeby wsunąć w nie rękę, żeby tylko dotknąć. Musiało jej się to już kiedyś zdarzyć. Że ktoś nie mógł się powstrzymać... obce palce w tych rudoblond kędziorach. Źrenice jej błyszczących oczu są rozszerzone, jakby brakowało światła. Zawsze im mówię, że mają sobie iść. Nie lubię długich wykładów o piekle. Zamykam drzwi, zanim wcisną stopę w szparę albo rozwiną perorę. Ale ta dziewczyna... nie wiem, to chyba kwestia oczu, że ciche unoszą się nad mówiącymi ustami. Pamiętam ją z poprzedniego razu. Może to jedna z tych, którzy nigdy nie dają za wygraną? Wróciła sama, żeby przekonywać mnie na własną rękę, na własny sposób? Teraz jej usta są zupełnie nieruchome, rozpięła kurtkę. Siedzi na brzegu krzesła, dłonie niespokojne, podrywają się jak śmieci na wietrze, uśmiech staje się coraz bardziej niepewny, wzięła broszury, przetasowała i rozłożyła na stole, jakbym chciał sprawdzić jej karty.
Jej twarz, trudno wyjaśnić, co się dzieje. Jest mniej więcej tak, jak kiedy bateria się wyczerpuje i nagle zdycha. Nagle straciła blask. W pokoju zapadła cisza, tylko

dwie muchy plasnęły o szybę nad zlewem. Raz za razem rzucają się w stronę światła. Ona gładzi się po ustach, wygląda, jakby straciła wątek, zgubiła go gdzieś w ciemnym korytarzu między sienią a kuchnią. Wolno przesuwa wzrok w stronę ogrodu. Nie ma tam na czym oka zaczepić, z wyjątkiem żółtego krzewu, który kwitnie, kiedy jest zimno.

Cisza trwa.
-Cóż... nie wiem - mówię w końcu, zgarniając okruszki ze stołu, żeby zająć czymś ręce. Wkładam resztki do pustej miseczki w klatce Dylana, on budzi się z leniwego odrętwienia, rzuca się do miski i zaczyna dziobać. - Życie jest przecież... dosyć bolesną formą spędzania czasu.
Nie mam zielonego pojęcia, skąd wziąłem te słowa. Musiałem je gdzieś usłyszeć i z pewnością nie są nawet prawdziwe, ale nie mam innego pomysłu, jak jej pomóc. Skóra na jej szyi napręża się i pokrywa się rumieńcem.
- Takie myślenie pomaga. Mnie w każdym razie tak - skłamałem.
Zawsze sprawiają wrażenie takich opanowanych, przemożnie spokojnych. Ale nie ta dziewczyna, jej oczy zaczynają błądzić. Tylko nie płacz... Nie płacz. Widzę, że w niej to wzbiera, wstaję więc i odwracam się plecami. Chcę jej dać czas, żeby się opanowała. Chwytam ścierkę i zabieram się do wycierania tych kilku kubków, które wystały się na suszarce i od dawna są suche, wyjmuję kawę rozpuszczalną i nastawiam wodę, jakby ona przyszła tu tylko na kawę. Kątem oka widzę, jak się wierci, zezuję na głodnego Dylana, który dziobie dalej, choć miseczka musi już być pusta.
- A może chcesz coś mocniejszego? Jesteś samochodem? - pytam.
- Ale ja nie piję - odpowiada niewyraźnie.
Przynajmniej to powinien widzieć, że tacy jak ona nie... Wygładza swoje gazetki powolnymi ruchami. Zachęcające kolory, soczyste, a jednak jakby trujące.

120
- Chociaż, mały kieliszek nie zaszkodzi - powiedziała szybko i cicho. Jak gdyby tylko głośno to pomyślała. Może nie miałem tego usłyszeć, ale już za późno, wyjmuję dla nas butelkę rumu z szafki.
Długo oszczędzałem tę butelczynę, całą wieczność. Żeby poczęstować Jensa i Krystiana, gdyby mnie kiedyś odwiedzili. Ale przecież zdaję sobie sprawę, że to się nigdy nie zdarzy. Nawet nie znają mojego adresu. A czekoladę z kuchennej szuflady też mogę wyrzucić - tę, która miała być dla dziewczynek Jensa, gdyby przyprowadził je ze sobą. Ingrid przysłała mi kiedyś ich zdjęcie, obie słodkie jak miód, ale mogę zapomnieć, że Jens je tu przywiezie. Wiem przecież.
Jej dłoń drży, kiedy odbiera kieliszek. Maczając usta w czerwonobrązowym alkoholu, rozlała nieco na broszurę o dniach ostatnich.
- Diabelski wynalazek - mówię i mam wrażenie, że się lekko uśmiechnęła; przynajmniej jej oczy. - Ale skoro już istnieje, to chyba można... Prawda? - ciągnę.
Pewnie. Oddech teraz trochę spokojniejszy. Dłonie na stole są tak duże, cienkie palce nieproporcjonalnie chude i białe z powodu krążenia, które chyba prawie zupełnie ustało. Pomagam jej osuszyć gazetkę rękawem.
- A w ogóle - zwlekam, bo właściwie wcale mi się nie podoba to, co powiem, co brzmi, jakby nic lepszego nie przychodziło mi do głowy - czy my się wcześniej nie spotkaliśmy? Byłaś tu już kiedyś i próbowałaś mnie przekonać, prawda?
Łyknęła rumu tyle co ptaszek i odstawiła kieliszek.
- Spotykam tyle osób. Nie mam pamięci do twarzy - odpowiada szybko.
121
Tak? Okej. Ludzie mnie raczej nie zapominają. Ale jasne, pewnie tak musi być, że starają się poruszyć innych, sami pozostając nietknięci, poruszyć niewzruszonych? Mogę to uszanować - że też poświęcają swój czas, w taki dzień jak dzisiaj, z gównianą pogodą i lodowatym wiatrem, biorą te swoje informatory i wychodzą, żeby pu-

kać do drzwi i żebrać o czyjąś uwagę. Muszą uczyć się, w jaki sposób ludzie funkcjonują i jakie są wszystkie ich najpodlejsze strony. Nigdy nie wiedzą, na co się natkną, zawsze przygotowani na najgorsze.
Obraca kieliszek w palcach. Paznokcie ma idealne, starannie opiłowane w miękkie łuki, pokryte jasnym lakierem.
- Słuchaj... będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę papierosa? - pyta, kręcę głową, wyjmuje, nie częstując. - W końcu jestem tylko człowiekiem - mówi usprawiedliwiająco.
- Tak. Jasna sprawa - przysuwam jej talerzyk, żeby miała gdzie strząsać. - Kim innym miałabyś być? - pytam, a ona jakby się zawahała.
- Miałam na myśli, że jestem... także. Nie tylko świadkiem. Ale staram się rzucić. Palenie, znaczy się - dodaje szybko.
- Są prawdziwe? - pytam, a ona wlepiła we mnie wzrok znad stołu. - Loki.
Na co ona zaśmiała się z zamkniętymi ustami. Jak gdyby z ulgą. Wyjęła zapalniczkę z zamszowej torebki i pokręciła głową. Nie. Trwała. Ma trwałą. Mówię, że ładna, wygląda naturalnie.
Obraca zapalniczkę w palcach, jakby jeszcze się nie zdecydowała, zapalić czy nie. Zanim to zrobiła, zaciągnąłem

się jej zapachem. Bezosobowy jak świeżo uprane ubrania, słaba nuta dymu.
- Nie jestem do tego przyzwyczajona - wyjaśnia i jakby przypominając nam obojgu, po co tu faktycznie przyszła, znowu kartkuje foldery. - Nigdy mnie nie wpuszczają do środka. Ludzie tak się boją. Wystawanie na zimnie i powtarzanie w kółko tego samego, zwykle tak to wygląda - opowiada. - Albo jeszcze gorzej: jakaś łacina i od razu drzwi przed nosem. Do środka wpuszczają jedynie różne chore typy i starzy ludzie, którzy zrobią wszystko, żeby uciec od samotności.
Zastanawiam się, do której kategorii mnie zalicza.
- Zazwyczaj też was nie wpuszczam - wyznaję, dla

pewności, żeby nie pomyślała sobie, że też jestem jakimś zboczeńcem albo osamotnionym desperatem.
- Dlaczego? Boisz się?
- Nie. Czy się boję? A jest czego?
Ściągnęła ramiona do tyłu i spojrzała mi prosto w oczy.
- Nie mnie. Ale siebie samego. Własnego nieposłuszeństwa. Koniec świata jest bliski, wiesz o tym, co?
Wzrok. Znów płomienny, jak wtedy w sieni. Pewnie. Jeśli o mnie chodzi, koniec świata może nadejść, kiedy chce, jeśli istnieje. Przecież ja i tak staram się tylko zabić czas, nie robiąc nikomu krzywdy. A i to jest, do kurwy nędzy, za trudne.
- Wydaje ci się, że jesteś gotowy - mówi -ja szykuję się każdego dnia, daję świadectwo przed kim tylko zdołam. Staram się oczyścić myśli. I już prawie rzuciłam palenie. Dla Boga nie ma za małych grzechów. Pycha i zaniedbanie, życie w grzechu, nieczyste myśli...

Jej wzrok ponownie ześlizguje się za okno. Wiatr prze-] latuje przez ogród, zmiatając wszystko, co leży luźno, zrywa kwiaty z krzewów, zbiera je jak ptaki. Wydychając dym, odsłania zęby dolnej szczęki, są żółte od nikotyny, za miękkimi ustami. Jeden kieł trochę przekrzywiony.
- Musisz otworzyć swoje zmysły. Myślisz, że wiesz już wszystko, a nie wiesz nic.
Gapię się na ten ząb. Jasnożółty. Krzywy.
- Pokora i posłuszeństwo to jest to, co człowiek ma najcenniejszego. Nie zapominaj o tym. Nie zapominaj, że to jest twój wybór... - miele jej głos - .. .dam świadectwo przed tobą. Tylko to mogę zrobić. Potem sam będziesz musiał zdecydować, co dalej.
Czyżbym poznawał ten ząb? Ten przekręcony? Ten dziecinnie krzywy zgryz, który dentysta powinien był naprawić dawno temu? I oczy? Już kiedy wchodziła do sieni, zwróciłem uwagę na coś w jej oczach. Ogarnąłem jej twarz spojrzeniem, po żołądku rozszedł się chłód, podniósł się do gardła, aż do samych ust. Podstępnie. Pospiesznie. Zegar w saloniku bije raz za razem, cho-

ciaż jest dopiero popołudnie. Osiem, dziewięć, tracę rachubę. Ząb, gesty, dłonie, oczy. Wszystko się zgadza. To musi być ona.
Tak często wydawało mi się, że ją widzę, w przelocie, zawsze w różnych miastach, w różnych miejscach, w których mieszkałem albo które tylko mijałem. I za każdym razem, Bóg mi świadkiem, miałem nadzieję, że mnie nie zauważy. To musiały być jakieś przywidzenia albo sobowtóry, chyba że mnie prześladowała w każdym no- * wym miejscu, do którego się przeprowadzałem. A teraz

siedzi tu na wprost mnie i przypomina Kaj, kiedy była dzieckiem - wzrokiem, zwłaszcza nim, oraz dłońmi tak niespokojnymi, że niemal hipnotycznymi w tym nieprzerwanym układaniu.
Że też odważyła się tu przyjść - przez to lodowate zimno, skąd miała tyle odwagi? Żeby siedzieć tu w mojej kuchni i czekać, aż ją rozpoznam. Zajęła miejsce najbliżej drzwi i nie zdjęła butów, gotowa do ucieczki, jeśli coś pójdzie nie tak, ale niemal apatyczny spokój bije z jej rozwartych oczu. Co zamierza teraz zrobić? Pociągnąć mnie do odpowiedzialności? Byłem dla niej niegroźny. To ona cały czas miała władzę i mogła stanowić zagrożenie. Bo prawdy Ingrid nigdy by mi nie wybaczyła, jeden telefon, jeden list od Marii i Ingrid nie chciałaby mnie więcej znać. Z tym strachem żyłem przez cały czas. Kierowała moim życiem, odkąd zniknęła. Dostałem Kaj za to, co jej zrobiłem.
Maria. Próbuję wymówić jej imię, ale więźnie mi w gardle, staje się tylko bezgłośnym ruchem języka. Nie mogę się powstrzymać, żeby na nią nie patrzeć. Jest inną osobą. Ja się postarzałem, ale ona stała się kimś innym. Kimś dorosłym. Minęły dwadzieścia dwa lata - a mimo to uważam, że ją poznaję, na przestrzał przez te wszystkie dni. Podnosi kieliszek i jeszcze raz macza usta, żeby zyskać na czasie albo zebrać się na odwagę. I tym razem bez wykrzywiania się - ociąga się po prostu - bez mrugnięcia okiem powoli przełyka rum. Życie przyszłe - chyba o tym

traktują te jej broszurki; ale kiedy tak siedzimy naprzeciwko siebie, nie da się myśleć o niczym innym niż o życiu

przeszłym. A to jest znacznie bardziej skomplikowane. Poczułem nagle impuls, żeby się do niej odezwać, kładę rękę na jej dłoni obok kieliszka.
- Słuchaj... - zaczynam, ale ona spogląda na mnie jakoś dziwnie i odsuwa się. Muszę spróbować znowu, łapię ją za ramię. - Dlaczego przyszłaś?
Wyrywa rękę i zabiera ją ze stołu, zaciska kurtkę przy szyi, odgarnia włosy z czoła, spuszcza wzrok na swoje papiery.
Twarzą w twarz wszystko wydaje się trudniejsze. Pewność siebie zupełnie z niej ulatuje, a kiedy jej wzrok zaczyna błądzić, przypomina Kaj jeszcze bardziej. Ale właściwie czego się spodziewała? Miałem się cieszyć, że wdziera się w moje życie po dwudziestu latach?
- Spokojnie, Mario, nie bój się... - szepczę.
Zacznę łagodnie. A potem - jeśli to będzie konieczne - pokażę jej, że nie może tak sobie przychodzić i wszystkiego przestawiać. W takiej kolejności muszę spróbować załatwić tę sprawę. Patrzy na mnie pytająco. Jakby nagle nawet nie chciała przyznać się do swojego imienia. Gra dobrze, przekonująco. Tak dobrze, że niemal zacząłem wątpić.
Ale to musi być ona. I skoro już starczyło jej odwagi, żeby mnie odnaleźć, powinna chyba stawić temu czoło? A nie wycofywać się, jak tylko ją rozpoznałem. Nieoczekiwanie podniosła się i zawahała, jak gdyby krew nie nadążyła do głowy za tempem, z jakim wstała.
- Dokąd się wybierasz, usiądź - mówię szybko, wskazując głową na krzesło.

- Zostawiłam jedno pismo w samochodzie. Muszę tylko po nie pójść, zanim zaczniemy - wyjaśnia.
Patrzy na mnie, czy może na Dylana, wzrok jej trochę umyka, dokładnie tak, jak pamiętam z przeszłości. Dylan w o wiele za dużej klatce kolebie się na ulubionej żerdzi

i zdaje się rejestrować wszystko, potrząsa piórami ogona, chce się wydostać i polatać.
- Przejrzyj sobie na razie ten - mówi cicho, podając mi jeden z folderów i równocześnie cofając się o krok. Wiesza torebkę na ramieniu i wygładza materiał obcisłych dżinsów. Zamierza dalej udawać, że przyszła tu mówić o apokalipsie i zbawieniu. Jej ruchy są w kontrolowany sposób powolne. Żeby nie zapoczątkować jakiejś reakcji łańcuchowej, której nie da się zatrzymać?
Potrafię widzieć jej twarz jednocześnie młodą i dorosłą, zależnie od tego, jak pada światło, jak na tych podwójnych obrazkach w płatkach kukurydzianych, które się obraca pod lampą. Nie zmieniła się, tylko postarzała. Jeśli twarz jest lustrem duszy, jak mawiają, chyba nie może się zasadniczo zmienić? Nie wiem...
- Siedź, zaraz wrócę - prosi znowu. Loczek opadł jej na oko, odgarnęły go szybkie palce. Na talerzyku pozostał żarzący się papieros, ukradłem jednego macha w drodze do okna. Filtr jest jeszcze wilgotny, miałem nadzieję poczuć smak jej ust, ale smakował tylko obcością, to chyba zbyt dawno, żebym mógł pamiętać. Idzie szybko kamiennym chodnikiem, plecy proste, mimo ostrego wiatru, wysokie obcasy, szczupłe nogi. Zaraz przy furtce stoi granatowe volvo. Otwiera drzwi, siada za kierownicą, w łącza silnik i skręca na pustą drogę.

Odjeżdża i już nie wraca. Po prostu znika. A ja dalej stoję przy oknie i czekam, powinno mi ulżyć, ale czuję jedynie pustkę. W końcu, kiedy zaczyna robić się ciemno, zaciągam żaluzje i kładę się do łóżka. I już więcej nie wstaję. Następnego dnia też nie, ani kolejnego.
I tak to trwa.
Nie wiem, co się dzieje, ciało zwyczajnie się załamało. Gdzieś w środku pękło, w samym żołądku. Nie chcę już dłużej. Nie chcę. Przez tyle lat dręczyło mnie, że może się pojawić. A ona zwiewa, zanim w ogóle zdążyliśmy porozmawiać. To jakby wisieć w powietrzu nad jakimś pieprzonym urwiskiem, wisieć i tylko czekać... to za dużo.

Mijają dni. Nie wiem ile. Jednak paraliż w końcu puszcza z wolna, jak zadymka. Na zewnątrz z nieba sypie się biel, a ja przez cały dzień leżę i gapię się na płatki śniegu, potem wstaję. Ciało wydaje się już nie moje, nie rusza się tak, jak chcę, tylko flegmatycznie i niezdarnie. Martwy Dylan w swojej klatce, bez jedzenia i wody przez cały tydzień. Wrzucam go do worka na śmieci. Kurwa. Tylko tyle potrafię pomyśleć. Język się... nie wiem, słowa po prostu nie chcą. Była tu Maria? Siedziała w mojej kuchni? Wróciła? Zniszczyła mi życie. Tak to widzę. A ja? Pewnie zniszczyłem jej, ona chyba tak na to patrzy. A Kaj? Jej życie zniszczyliśmy razem. Nie da się napełnić miłością, powtarza Ingrid. Nie mam pojęcia, ile z naszych rozmów zakończyła tymi słowy. Nie da się jej napełnić, Jack. Ingrid starała się i starała, ale wszystko wyciekało. Za dużo w niej dziur. Za dużo dziur. I to jest moja wina. Moja i Marii.

128

Kiedy stałem przy kuble, trzymając Dylana w torbie z odpadkami, poczułem nagle, że nie mogę wejść z powrotem do środka. Po prostu nie dam rady. Na zewnątrz jest cicho. Śnieg. Mróz. Jakoś łatwiej oddychać. Nadal mam w kieszeni kluczyki do samochodu, idę do garażu i podłączam przyczepę kempingową do saaba. Zostawiam silnik na chodzie i odblokowuję koła. Muszę się stąd ruszyć, mieć czas, żeby pomyśleć. Będę mieszkał w przyczepie przez jakiś czas, już tak robiłem. Nie mogę zostać w domu, kiedy ona wie, gdzie jestem, nie, kiedy ona siedziała naprzeciwko mnie przy kuchennym stole z tym przekrzywionym zębem i oczami, których spojrzenie paliło do szpiku.

Wytaczam się na oblodzoną drogę, ślizgam się pod górę w stronę rzeki. Słońce mieni się na jezdni i łagodnie pochylonych polach. Jak tylko nadarzyła się okazja, wzięła samochód i zwiała. Ale kiedy szok minie - co wtedy? A jeśli zachce jej się wrócić? Nie poradzę sobie z tym. Z mieszaniem tego gówna, które nareszcie opadło na dno.

KRYSTIAN

(Światło)
Swędzenie, które zaczyna się od rąk i biegnie przez ramiona do pach. Czasami dostaję szału, swędzi mnie tylko i swędzi. Szukam wysypki, ukąszeń, pęcherzy na skórze, ale żadnych nie znajduję, jedynie długie szramy od paznokci. Lato jest jak wrzód - zieleń już zakurzona i spalona, a lato samo w sobie to ograny dżingiel ćwierkania i światła. A mimo to zdarzają się chwile niemal znośne. Wieczory, które się pamięta, wyraźne obrazy przywoływane tuż przed zaśnięciem. Urodziny mamy. Wszyscy się zebrali. Zaproszono mnie łaskawie do domu, bo tak wypada, mama zadzwoniła, żebym przyjechał, bo inaczej Jens nabierze podejrzeń. Wychodzi do altany ze zgrzewką piwa w ręce, Kaj i Lisette z żarzącymi się papierosami gawędzą sobie w sierpniowym zmierzchu. Kaj, która nie potrafi spuścić mnie z oka, Lisette z zamkniętymi kocimi oczyma. Co się tam dzieje. Pod tą delikatną, umalowaną skórą? Nie mam pojęcia. W oddali pod wysokimi drzewami Jens rozbija namiot dla dziewczynek, nuci coś, butelka piwa w tylnej kieszeni spodni, miękkie ruchy, dobry humor. Pod stołem na werandzie śpi Rabbi

z jednym okiem otwartym. Lustruje nim ogród jak kamera ochrony, pilnując, żeby nikomu nie przyszło do głowy stąd znikać.
Ze swojego miejsca na murku widzę tatę w hamaku. Wydaje się niemal rzeczywisty. Leży na plecach z gołym torsem i czyta popołudniówkę przy słabym świetle z okna kuchni, jak kiedy byliśmy mali. Nie odzywa się, ale jest. Wiem, że tam jest, przecież widzę. Mam ochotę podejść do niego. Ale zdaję sobie sprawę, że jeśli to zrobię - on zniknie.
JACK
(Śnieg w cieniu)
Tego dnia, kiedy wprowadziliśmy się z chłopcami do domu - to było wiosną, chodziliśmy w koszulkach z krótkimi rękawami, chociaż w cieniu nadal leżał śnieg - koło ogrodu pojawiła się dziewczynka. Stała przy furtce bez

słowa. Trochę za duża, żeby tylko tak stać i się gapić jak dzieciak, który nawet nie powie dzień dobry. Wyglądała na trzynaście, może czternaście lat, jeździła na rolkach tam i z powrotem. Jasne włosy i niespokojne ramiona wysuwające się raz jedno, raz drugie do przodu - czekała za bramą, żeby ją dostrzec.
Ingrid i ja wnosiliśmy meble, pudła, dywany, papierowe torby z zabawkami i wszystkimi książkami Ingrid, kładliśmy to gdzie popadnie. Miałem wrażenie, jak byśmy wchodzili na pokład łodzi, znosili na nią wszystko, co mamy, żeby wyemigrować, zacząć nowe życie. Kazaliśmy Jensowi pilnować Krystiana, chcieliśmy zdążyć uporządkować wszystko, zanim zacznie się ściemniać. A tu nagle, kiedy wyszliśmy na schody, zobaczyliśmy tę obcą dziewczynkę z Krystianem na rękach. W środku ogrodu kiwała się na tych swoich kółkach niczym cielak na chwiejnych nogach. Sterczące kolana miała w strupach. Wysuwała

do przodu to prawą, to lewą stopę, żeby nie upaść. Jensa ani śladu.
- Wymknął się - odezwała się trochę za głośno jak na odległość między nami. - Więc małego... Nie wiem, gdzie się podział ten starszy - powiedziała i wyciągnęła Krystiana w naszą stronę - ...przejeżdżał samochód. Szczęście, że tu byłam. Jak on ma na imię?
Krystian był zupełnie cicho, drżała mu tylko trochę dolna warga, jakby nie miał odwagi wybuchnąć płaczem.
- Mogę się nim czasem opiekować - zaofiarowała się.
Krystian rzucił się w moją stronę, chwyciłem go na ręce. Schował buzię w moich włosach, nastroszony jak ptak, pociągnął nosem.
- Dzieci mnie lubią - oznajmiła, cofając się na rolkach. Jechała przy płocie i dopiero, kiedy dotarła do końca ogrodu, odwróciła się do nas plecami i chwiejąc się, nieporadnie przejechała przez ulicę.
Żaden z sąsiadów nie przyszedł się przywitać, w takim właśnie miejscu wylądowaliśmy. Dziewczynka była jedyną osobą, która zbliżyła się do naszego domu. Każdego

dnia, kiedy krzątaliśmy się w tych wielkich, ciemnych pokojach, zajęci kartonami i tapetowaniem, przejeżdżała przez drogę. Stawała na schodach, żeby najpierw zbadać sytuację. Jak tylko okazywaliśmy, że ją widzimy, wchodziła do środka. Niewiele się odzywała, głównie patrzyła, przyglądała się, jak pracujemy, roztargniona bawiła się trochę z chłopcami, po czym znikała, nie mówiąc nawet „cześć". Jakby nikt jej nie nauczył, że tak się robi na odchodnym.

Jens od samego początku jej nie lubił. Ale on zawsze nie cierpiał obcych, w poprzednim życiu był psem, to dlatego, mawiała Ingrid. Dla Jensa albo jesteś rodziną, albo wrogiem, nie ma nic pośrodku. Dziewczynka musiała to pewnie wyczuwać, unikała go i udawała, że przychodzi ze względu na Krystiana. Były wakacje, miała w bród czasu, a jej przybrani rodzice zdawali się nie troszczyć o to, jak długo przebywa wieczorami poza domem. Powiedziała, że mieszka tam, jak się jedzie w dół. W tym nowym dużym domu z cegły i z zaśmieconym ogródkiem. Myśleliśmy, że stoi pusty. Jeszcze nie widziałem, żeby tam ktoś wchodził albo stamtąd wychodził. Ale, co dziwne, tutaj wszystkie domy wyglądały na niezamieszkane, jeśli nie brać pod uwagę, że od czasu do czasu wieczorami paliło się w nich światło.

Może nie czuła się tam dobrze, bo prawie wcale nie bywała w domu. Albo pałętała się na pustej drodze, albo zaglądała do nas. Wkrótce wchodziła do domu bez ceregieli, jak to dzieci. Czy może właziła, nie zważając na to, czy drzwi są zamknięte, czy nie, raczej to drugie. Niczym bóstwo domowe na skrzypiących rolkach. Ingrid ją lubiła. Lubi każdego, taki ma dar. Ale ja... zgadzam się z Jensem. Nie można wpuszczać każdego, otwierać się jak Ingrid i zapraszać do środka. Z tą małą było tak, że... nagle po prostu była w domu, a nie przypominałeś sobie, żebyś otwierał jej drzwi lub żebyś słyszał, jak pukała. Siedziała na taborecie koło zlewu i popijała mleko, w pokoju oglądała z chłopakami program dla dzieci. Na ze-

wnątrz koty miauczały i drapały szklane drzwi do altany, nie lubiły jej i vice versa. Pierwsze, co robiła po przyjściu,

to prosiła Jensa, żeby wypuścił je do ogrodu. Chciała je trzymać na dystans, a one wietrzyły niepokój, kiedy tylko się pojawiała.
Ingrid ma taki talent - sprawia, że ludzie pragną, aby się nimi zaopiekowała. Taka właśnie jest, masz ochotę zdać się na nią, jak gdyby zamknąć oczy i lecieć w tył na plecy, zwyczajnie odpuścić sobie wszystko, co cię męczy. Maria tak zrobiła. Znienacka, nikt mnie nie pytał o zdanie, przybył nam członek rodziny. Dodatkowe krzesło przy stole, dodatkowy talerz. Ingrid zawsze pozwalała jej zostawać tak długo, jak chciała.
-Ale, do kurwy nędzy... Co ze mną? - pytałem czasami.
- Co ze mną? - przedrzeźniała mnie Ingrid, jakby dając do zrozumienia, że jestem bardziej dziecinny niż chłopcy.
- Z nami, znaczy się - poprawiałem się szybko.
Ale nie pomagało. Ingrid ścieliła dla Marii w saloniku, kiedy nie chciała iść do domu. Bo pokłóciła się z przybranymi braćmi. Bo się boi ciemności. Zapomniała klucza. Ma zakaz oglądania telewizji. Bo jest sama w domu. Maria za każdym razem opowiadała co innego, żeby nie wiązać się jakąś szczególną prawdą. Nagle w naszym nowym, wielkim domu prywatności mieliśmy tyle co w pojedynce z aneksem kuchennym, z której się właśnie wyprowadziliśmy. Ingrid i Maria były jak pies i jego sierść. Nie podobało mi się, kiedy ojciec tak mówił o sobie i mamie, odpychało mnie, że dwoje ludzi może trwać razem, zupełnie się nie znając. Ingrid i Maria wkrótce stały się

jak człowiek i jego cień. Złączone. Rozmawiały ze sobą po cichu za zamkniętymi drzwiami, a jeśli zdarzyło mi się wejść, zawsze milkły. Babskie pogaduchy i wzajemne zwierzenia. Miały taką zabawę, opowiadała Ingrid, że wymieniały się historyjkami, nie jakimiś zabawnymi,

raczej smutnymi opowieściami z własnego życia. Choćbym nie wiem jak się starał, nie byłem w stanie sobie wyobrazić, czego mogły dotyczyć te bolesne wątki z życia Ingrid. W jej życiu nigdy nie brakowało poczucia bezpieczeństwa i prawie nie miało cieni, kaszka z mleczkiem w porównaniu z moim. Ale przypuszczalnie ta zabawa z historiami była tylko trikiem, którym Ingrid się posłużyła, żeby skłonić Marię do opowiedzenia o sobie.
Z Krystianem w wózku wychodziły na długie spacery żwirowaną drogą. Albo same na plażę, tam i z powrotem, przez czarne wodorosty. Widziałem je z piętra, gdzie próbowałem zedrzeć warstwy starej tapety, żeby położyć nową. Czasami przystawałem w oknie, jakby czekając, że Ingrid spojrzy kiedyś w stronę domu. Że może w środku któregoś z przygnębiających opowiadań Marii nagle pomyśli o mnie i poczuje ukłucie tęsknoty, zastanawiając się, ile już zrobiłem w naszej sypialni i czy niedługo będziemy mogli przenieść materac z kuchni na górę?
Z okna na drugim piętrze był widok het, het, daleko. Rozciągał się dużo dalej niż trasy ich spacerów. Miałem ochotę stać tam, dopóki Ingrid mnie nie zauważy, ale zawsze na próżno. Kiedy padało, a tamtej wiosny i na początku lata padało bez przerwy, siedziały w środku i oglądały takie tam niezrozumiałe filmy, które Ingrid uwielbia, a ja na nich zasypiam. I zaśmiewały się

z najdziwniejszych rzeczy w tych samych momentach, Maria zawsze z kilkusekundowym opóźnieniem, jak gdyby sprawdzała z Ingrid, czy tak jest okej.
- Jest Ingrid? - pytała zawsze Maria po przyjściu.
Jednak wiosna szybko zmieniła się w lato, a potem nadeszła jesień i Ingrid zaczęła naukę po długiej przerwie, którą miała na chłopców. I im głębiej w jesień, tym częściej Ingrid nie było. Wykłady, kolokwia, dodatkowe dyżury nocne w szpitalu, żebyśmy mieli na raty za dom. Kiedy wracałem z mojej zmiany na taksówce, ona już musiała wychodzić. Nie zdążyłem zaparkować przed domem, kiedy wybiegała na schody. W drodze do samochodu szybko

przesuwała szminką po ustach. Cmok i „no to pa" w przelocie, nie wyłączaj silnika, już idę... Jak praca na dwie zmiany. Sztafeta, która zdawała się nie mieć końca.
I czekaliśmy z Marią. Chociaż nigdy na głos nie powiedzieliśmy, że to robimy. Czekaliśmy. Przez te wszystkie wieczory, kiedy Ingrid przyjeżdżała później, niż zapowiedziała, w weekendy, kiedy przesiadywała w bibliotece, żeby się uczyć w spokoju, nocami, kiedy pracowała i wracała do domu dopiero na śniadanie. Czasami odnosiłem wrażenie, że widzi jedynie chłopców, tylko na to wystarczało jej sił i czasu. Tęskniłem za nią, ale kiedy próbowałem jej raz o tym powiedzieć, tylko dziwnie na mnie spojrzała, chyba zbyt zmęczona, żeby zrozumieć, o co mi chodzi.
Kiedy Ingrid nie było w domu, pozwalałem chłopcom na wszystko, czego nie mogli robić przy niej. Chciałem, żeby nauczyli się radzić sobie - tak jak chłopcy powinni.

Pragnąłem im przekazać, że ze mną są bezpieczni. Woda, ogień, wysokie drzewa, takie tam rzeczy... To po to zostawiliśmy stare mieszkanie i kupiliśmy ten dom. Wolnostojący, o dużej powierzchni, żeby Krystian i Jens mieli gdzie biegać, mogli wieść swobodne życie, a nie przez cały okres dorastania tylko kręcić się po ciasnawym, wyasfaltowanym podwórku.
Jasne, że brakowało nam Ingrid, chłopakom i mnie.
Ale staraliśmy się jak najlepiej wykorzystać ten czas i robić rzeczy, w których ona tak czy siak nie chciała uczestniczyć, kiedy była w domu. Tylko że zawsze, kiedy pojawiała się Maria, a przychodziła przecież codziennie, wszystko w jakiś sposób wychodziło nie tak. Bez uczucia, jak gdybym już nie potrafił się skoncentrować na synach. Nie wiem dlaczego. Jakimś sposobem czułem się przez nią niepewnie, miała w sobie coś nieuchwytnego. Dziecko czy dorosły? Kłamstwo czy prawda? Tak czy nie? Arogancka czy przestraszona? Zainteresowana czy nie? Wszystkiemu, co mówiła, jednocześnie zaprzeczała. I nigdy nie wiedziałem, jak z nią jest albo jak

ze mną jest u niej. I to też było w pewien sposób, no, nie wiem... pociągające?
Czy chodziło o to, żebym zaopiekował się Marią, czy aby ona zajęła się chłopcami, nigdy tego dobrze nie pojąłem. Ingrid ją prosiła o przypilnowanie dzieci, kiedy jej nie będzie - tak zwykle twierdziła. Żebym ja zdążył z tym, co Ingrid uznała za ważne, z tymi wszystkimi planami. Najpierw doprowadzić dom do stanu używalności, potem nowy garaż, szklarnia, domek zabaw, altana i sauna. I z chęcią bym to wszystko dla Ingrid budował, gdyby

to oznaczało, że zamierza więcej przebywać w domu, przestać ciągle być w drodze - do czegoś innego, bardziej interesującego niż chłopcy i ja. Przecież mi jej brakowało. Bez przerwy do niej tęskniłem. Tylko nie zdążyłem jej tego wytłumaczyć.
Zrobiłbym dla Ingrid wszystko, ale mając chłopców i dom, który sypał się coraz szybciej, nigdy nie dopraszałbym się o opiekę nad nastolatką pokroju Marii. Nie nadawałem się do tego, Ingrid powinna to była wiedzieć. Ta dziewczynka była obcym stworzeniem, skomplikowanym, nie rozumiałem jej. Miała jakiś bagaż doświadczeń, który w kółko ze sobą ciągnęła, nieszczęśliwe dzieciństwo prawdopodobnie, to wszystko w końcu przywiodło ją tutaj - do obcej rodziny na wsi, chociaż była dzieciakiem z miasta, który boi się zwierząt i ciemności, i samotności, i tego wszystkiego, czego to miejsce było pełne. Próbowałem troszczyć się o nią na tyle, na ile umiałem, udawałem Ingrid, robiłem jej kanapki z ogórkiem kiszonym i kakao, co jadła przed telewizorem. A kiedy przyszła lekko ubrana i mokra od deszczu, poszukałem dla niej ubrania w szafie Ingrid i pościeliłem na sofie. I właśnie w te dni pragnąłem bardziej niż kiedy indziej, żeby Ingrid wróciła wcześniej do domu. Bo jak tu się zachować, co zrobić, jak postąpić, żeby wszystko było jak należy, a nie na opak?
Zapewniłem Marię, że wszystko będzie dobrze, mimo że zupełnie nie miałem pojęcia, co by się miało ułożyć.

Nie mogłem przecież naprawić jej życia, Ingrid chyba też nie potrafiła, nawet jeżeli wiedziała przynajmniej, co jest nie tak - po tych wszystkich długich rozmowach

z Marią za zamkniętymi drzwiami przez całe lato, kiedy jeszcze miała czas się o nią troszczyć.
- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem, ale nie udało mi się przekonać nawet samego siebie. Zwłaszcza kiedy Maria złapała mnie za rękę i zatrzymała, chociaż czułem, że powinienem iść. Nie wiedziałem, czy chciała, żebym siedział u niej, dopóki nie zaśnie, bo w przeciwnym wypadku, co miałaby oznaczać jej ręka zaciśnięta na mojej. Bała się ciemności, wiele razy o tym opowiadała, zawsze chciała mieć włączony telewizor, kiedy szła spać, leżała na sofie przy skręconej fonii, aż zmorzył ją sen. A kiedy tak leżała w T-shircie Ingrid w słabej poświacie z telewizora, prawie mi się podobało, że tu jest. Polubiłem to na sposób, który nie przypadłby Ingrid do gustu, gdyby potrafiła czytać w moich myślach. Ale Ingrid nie było, miała ważniejsze sprawy, niż siedzieć w domu i wczytywać się w moje myśli. Mogła zapobiec temu, co się stało, wystarczyłaby tylko jej obecność. Kiedy była w domu, Maria dla mnie nie istniała. Tak właśnie było.
Ingrid wiele razy powtarzała, że liczy na to, że przybrani rodzice Marii przyjdą i nam nawrzucają za to, że się wcinamy. Ale nigdy się nie pokazali. Zdawało się, że nie obchodzi ich, że Maria więcej przebywa u nas niż u nich. Może nie istnieli? Powiedziałem to Ingrid, no bo czy my kiedykolwiek widzieliśmy, jak Maria wchodzi do tamtego domu? Być może tak naprawdę była zupełnie sama? Na gigancie? Co myśmy wiedzieli? Może mieszkała w szałasie w lesie? Choćby nie wiem jak długo siedziała

wieczorem, nigdy nie zgłosił się nikt, nikt o nią nie zapytał. Czy to nie było dziwne? I dlaczego zarówno na mnie, jak i na Ingrid wymusiła obietnicę, że tam nie pójdziemy? Do domu sąsiadów, w którym nigdy nie paliło się światło. Nawet żeby się przywitać.

Czy to moja wina? Naprawdę tylko moja wina? Skąd mogłem wiedzieć, o co Marii chodzi? Miała przecież dwa języki. Przez cały czas mówiła nimi dwoma jednocześnie, jedno słowami, a drugie ciałem. Usta najczęściej milczały, ale ciało mówiło bez przerwy: Spójrz na mnie... schylam się i wiążę tenisówki, przechodzę przez pokój, teraz staję przy oknie i musisz na mnie spojrzeć. Popatrzże. Chcesz i możesz, Jack. Podnoszę teraz szklankę do ust. Piję, przełykam. Zobacz. Leżę tu na sofie. Nie masz odwagi? Ingrid cię nie widzi, jej tu nie ma, nikt nas nie zobaczy - tylko my siebie widzimy. Wzrok mówił: nie dotykaj mnie, ale ciało: Chodź, jestem tutaj, chodź, jeśli chcesz.
Starałem się na nią nie patrzeć. Nie dało się. Próbowałem wkurzać się na sposób, w jaki stała, chodziła, jadła, jak na początku, ale przychodziło mi to coraz trudniej. Zamiast jak kiedyś nie otwierać jej drzwi, kiedy przychodziła, po pewnym czasie nabrałem zwyczaju, żeby wyczekiwać jej w oknie, jeśli nie pojawiła się do kolacji.
Jej oczy mówiły tym samym językiem co ciało, językiem, który bez przerwy słyszałem, choć właściwie wcale nie chciałem. Miała kompletnie inne oczy niż Ingrid. Palące. W ogóle nie przypominały oczu Ingrid, które najczęściej dawały mi spokój, nawet kiedy chciałem, żeby na mnie spojrzały. Usta Marii mówiły: Muszę już iść do

domu. A ja myślałem: Pewnie, dobra, idź. Tylko że ona nie odchodziła. Nigdy jej nie zatrzymywałem, mógłbym, gdybym tylko chciał, ale nie chciałem. To ona chciała. Albo ja, jasne, że chyba tak, kto by nie chciał, ale nie można robić wszystkiego, na co się ma ochotę. Za każdym razem, kiedy staram się szczerze nad tym zastanowić, myślę, że to ona. Ona do tego doprowadziła.
- Muszę już iść - odezwała się.
Ale dlaczego powiedziała to, siedząc dalej na kanapie i czekając? Czekając na co? Czego ode mnie chciała? Wiele razy się nad tym zastanawiałem. Niczego już nie jestem pewien, wiem jedynie, że nigdy jej nie zmuszałem. Wszystko działo się tak powoli, miała wiele okazji,

żeby powiedzieć nie. Potem płakała. Może żałowała? Ale nawet nie była dziewicą, więc czegokolwiek by żałowała, musiało już być na to za późno. Na długo przede mną.
KAJ
(Cykuta)
Trzeba nauczyć się odróżniać dzięgiel od cykuty, trujący bez koralowy od jadalnego, trybulę i barszcz zwyczajny. Mama nauczyła nas tego, kiedy byliśmy mali, żebyśmy mogli bawić się u ujścia rzeki. Trujący sok rośliny wyżera w skórze niebieskie dziury, gorsze niż wysypka od butelek taty z garażu - terpentyny, amoniaku, szelaku. Krystian i ja mieliśmy niewidzialne psy przywiązane do drzewa. Bawiliśmy się w Cyganów. Mieliśmy szałas z chmarą dzieciaków, którym nie pozwalaliśmy wychodzić na dwór, bo w lesie czyhało niebezpieczeństwo. Kiedy próbowały się wymknąć, biliśmy je wierzbowymi rózgami. Las był mroczny i pełen chaszczy. Same nie dałyby sobie w nim rady, były tam wilki, które musieliśmy odganiać ogniem. Trujące rośliny mają smak, którego nie można nie wyczuć, powiedziała mama. Nawet krowy to wiedzą, opowiadała, pokazując wysepki groźnej zieleni pozostawione na pastwiskach. My też zrozumieliśmy. Nie byliśmy głupsi niż krowy, wysłuchaliśmy, zrozumieliśmy, odwróciliśmy się i pobiegliśmy.
143
JACK
(Oczy)
Przez cały czas na mnie patrzyła.
Nie prosto w oczy, ale na łańcuszek wokół szyi, który dyndał nad jej twarzą, kiedy się w niej poruszałem. Nim doszedłem, przykryłem jej oczy ręką i odwróciłem jej twarz. Raz, drugi, trzeci.
Ile razy się to zdarzyło? Nie wiem. Próbowałem zapomnieć, nie pamiętać. Potem zniknęła. Na krótko przed swoimi urodzinami. Ingrid chciała ją zaprosić na tort urodzinowy z tegorocznymi mrożonymi porzeczkami, który upiekli dla niej chłopcy. Przybrany ojciec po-' wiedział, że się przeprowadziła. Nie wytrzymała w tym

buszu... - powiedział. Busz wymówił tak, jakby nie był pewien, czy sam tu wytrzymuje. Po prostu zniknęła. Równie nagle odeszła z naszego życia, jak w nie wjechała na swoich rolkach. Tyle po niej zostało. I nikt nie wiedział, że to moja wina. I nikt, zwłaszcza Ingrid, się nie dowie, że to przeze mnie.

II

KAJ

(Właśnie tam, właśnie wtedy)

Kiedyś wrócisz, wiem, że tak.

Bez ostrzeżenia, znienacka, jak wygłodzone mewy, które obsiadają trawnik, jak mgła, która podnosi się znad morza. Ale ja będę przygotowana, bo raz, drugi, enty już przez to przeszłam. Każdy krok, każdy ruch, każdy najciemniejszy szczegół. Siedzę tu na murku altany, słońce świeci mi w oczy, mrużę je pod światło. Idziesz przez trawę i już po sposobie, w jaki się zbliżasz, poznaję, że to ty, ten ruch ramion - czuję go we własnych, zaczynają falować jak twoje, chociaż siedzę nieruchomo. Twoje uszy... kiedy na nie patrzę, prawie zbiera mi się na śmiech, po takich uszach można by się rozpoznać w każdym obcym mieście, tak ostro sterczą z włosów. Zatrzymujesz się w pewnej odległości, sprawdzasz, czy podejść bliżej, czy odejść. Ale nie daję ci żadnego znaku. Jestem zupełnie nieruchoma. Wewnątrz, na zewnątrz. Tylko ramiona nieznacznie poruszają się w przód i w tył. Całe życie czekałam, calutkie, ale wydaje się, że ty nie wiesz nawet, co powiedzieć, bo tylko stoisz w milczeniu. Może ćwiczyłaś i ćwiczyłaś przed lustrem, jednak potem słowa po prostu

uwięzły, bo wydały się chybione jak kleks. A to ty musisz zacząć. Ty musisz wyrzec pierwsze słowa, to wszystko, co wiem. Bo ja nie mam pojęcia, co powiedzieć, żeby było dobrze. Tyle tylko, że twoje usta są bez ruchu, sklejone, w końcu wyjmujesz zdjęcie z torebki i podajesz mi. Chcesz, żebym je wzięła do ręki, a kiedy tego nie robię, podchodzisz o krok i trzymasz je w palcach tak, żebym

lepiej widziała, niczym kawałek rozbitego lustra, w którym powinnam się rozpoznać. To mogłoby być jakiekolwiek dziecko, twarzyczka jest tak rozmazana. Mógłby to być jakikolwiek dzieciak, ale jak rozumiem, chcesz powiedzieć, że to ja. Główka pochyla się na czyjeś ramię, oczy są czerwone, uszy odstają i falują. Jak u nietoperza. Jens zawsze powtarza, że mam uszy jak nietoperz. Skąd, kurwa, ma się takie uszy? - pyta zazwyczaj, jak gdyby sądził, że moja mama jest nietoperzem w jakiejś grocie hen, daleko.
Potem wskazujesz głową swój samochód i chcesz, żebym poszła z tobą. Ale nie wolno chodzić z osobami, których się nie zna, nawet jeśli widać po uszach, że jest między wami związek - sto razy mnie tego mama uczyła, sto razy, sto, sto...
- Nie - mówię, chociaż postanowiłam, że ust nie otworzę, dopóki ty nie zaczniesz. I tak w każdym razie wszystko będzie nie tak. Zamierzasz się, jak gdybyś wreszcie miała coś z siebie wydusić, ale nic, głucha cisza. I nagle dociera do mnie. Ty nie możesz mówić. A więc to tak. Jesteś niema jak kamień i dlatego nigdy się nie odzywałaś. Przywołuje mnie jednak twój wzrok i nawet

gdybym chciała, nie umiałabym mu się oprzeć. Mama by mnie zabiła, gdyby widziała to, co wydarzy się później. Jak wsiadam do samochodu z kimś, kogo nie znam, i zdaję się na los. Jasne, zostawiam drzwi trochę uchylone, ale kiedy włączyłaś silnik i wyjechałaś na drogę, i tak nie mogę się rzucić z samochodu, dociera do mnie, że złapałaś mnie w pułapkę. Jak muchę wlatującą komuś w sen, kiedy ten ktoś śpi z niedomkniętymi oczami.
- Czego chcesz? - pytam, ale ty jedziesz bez słowa żwirowaną drogą w stronę dużej szosy. Twoje dłonie na kierownicy wyglądają dokładnie tak samo jak moje, kciuki płaskie i szerokie, krótkie paznokcie, trochę nierówne. W samochodzie jest tak cicho, że prawie nie daje się oddychać, a robi się jeszcze ciszej, ciszej, ciszej, liczę słupki przy drodze, jak wtedy, kiedy byłam mała i siedzieliśmy

w samochodzie, a wszyscy wokół mnie się kłócili. Dlaczego nic nie mówisz? Odezwij się, myślę bez przerwy, ale przecież nie potrafisz, może straciłaś mowę tego dnia, w którym mnie zostawiłaś. Zapalasz dla mnie papierosa, ale nie chcę pociągać z tego samego filtra, który ty miałaś w ustach, więc trzymam go kawałek od zamkniętych warg i kilka razy udaję, że się zaciągam. Zostawiam papierosa, żeby się żarzył, i strzepuję popiół na podłogę, tli się aż do palców, widzę, że mi je parzy, ale nie czuję, doliczyłam do stu słupków, zanim wyrzuciłam peta przez uchylone okno. Po co przyjechałaś, skoro i tak nic nie możesz powiedzieć? Skoro nic nie możesz mi opowiedzieć? Jedziesz tylko. Jedziesz, aż przestanę rozpoznawać miejsca. Wrzucasz za niski bieg, zupełnie jak mama w ritmo.

- Wiedziałam, że nie umarłaś - odezwałam się. Naprawdę to wiedziałam. I to, że jesteśmy podobne też. To dlatego Jack nie mógł znieść mojego widoku - nie dlatego, że coś jest ze mną nie tak, tylko dlatego, że przez cały czas mu o tobie przypominałam. Położyłaś zdjęcie na desce rozdzielczej, mogłabym je schować do kieszeni, bo wydaje się, że ty widzisz tylko drogę, nic poza tym. Ale nawet nie jestem pewna, czy chcę je mieć. Jest w tym zdjęciu coś, co mi się nie podoba. Że ma przedstawiać mnie - ta mała chwiejna główka z wielkimi uszami, ta niestabilna szyja, szczupła jak przegub ręki. Wrzuciłaś luz, toczymy się z górki, która chyba nigdy się nie skończy. Zdjęcie trzepocze w przeciągu od okna, jedziemy coraz szybciej i szybciej, przed nami zupełnie pusta droga.

- Ingrid dobrze się tobą zaopiekowała - odzywasz się, nagle już nie niema. - Wiedziałam, że Ingrid się tobą zajmie.

Nie ma żadnych zdjęć mnie, kiedy byłam mała. Pełno zdjęć Krystiana i Jensa, ale ani jednego mojego. Nie, dopóki nie podrosłam i ni z tego, ni z owego nie pozwalałam Jackowi robić im zdjęć, jeśli sama nie mogłam się

na nich znaleźć. Stawałam po prostu zupełnie z przodu i nie chciałam się przesunąć. Stałam tak i uśmiechałam się, aż Jack był zmuszony pstryknąć, później widać było prawie tylko mnie, Krystian i Jens zasłonięci, z tyłu. Zawsze się zastanawiałam, jak wyglądałam wcześniej, kiedy byłam mała, taka mała jak wtedy, gdy mnie podrzucono. Ale o takie rzeczy nie można zapytać mamy.

Wtedy milknie i udaje, że nie słyszała, albo odpowiada tylko:
- Kaj, proszę cię, nie zadręczaj się tym...
A to oznacza: Kaj, proszę cię, nie dręcz mnie tym!
Nie ma żadnych zdjęć, po prostu. Ale pewnego dnia w szopce, w skrzynce z narzędziami, Jack tyle ma tych pudeł, po które nigdy nie przyjechał, stoją wszędzie, walają się...Doprowadzały mamę do szału, aż do dnia, kiedy zrozumiała, że on po nie już nie wróci. Wtedy nagle okazało się, że do nich przywykła, i już nikomu nie pozwoliła ich ruszać. Ale i tak je czasami otwieram, są w nich głównie śmieci, choć można znaleźć i rzeczy, które chciałoby się odkurzyć i wziąć do pokoju, które są potrzebne albo które po prostu chcesz mieć. Nie szukałam niczego specjalnego, po prostu leżało pod dłutami w którymś z pojemników Jacka. Upieprzona koperta z plamami od zatłuszczonej szmaty i źle napisanym imieniem Jacka. A w kopercie zdjęcie. Zamazane. Niemal dopiero co narodzonego dziecka ze zmrużonymi oczyma, brodą opartą o szczupły bark, który musiał być twój. Na odwrocie pytanie, czy Jack nie mógłby pomóc finansowo. Chyba nie mógł albo nie chciał, nie odważył się, nie znalazł cię, nie miał ochoty... nie wiem. Czy dlatego mnie tutaj zostawiłaś?
Nie rozumiem, dlaczego Jack nie pozbył się tego zdjęcia. Przecież każdy mógł je znaleźć, a to była chyba ostatnia rzecz, której pragnął. Zawsze milczał na mój temat. Milczał do dnia, w którym się wyprowadził, potem milczał tym bardziej. Za każdym razem, kiedy trzymałam je

w ręce, czułam swego rodzaju obietnicę, że wrócisz, przynajmniej jeden raz, żeby sprawdzić, co się ze mną działo od tamtego czasu. I wiem, że będziesz miała ze sobą zdjęcie, prawie takie samo jak to Jacka, zrobione sekundę przed albo po fotografii, którą jemu wysłałaś. Nosisz ją w kieszeni, żeby mnie znaleźć. Niczym mapę. A kiedy już mnie zobaczysz, to stare zdjęcie nie będzie ci potrzebne. Bo w końcu będziesz mogła wymienić je na nowe. Takie, które już nie sprawia tyle bólu.

KRYSTIAN

(Oczko polodowcowe)

Mama z tatą często kładli nowe tapety, tak szybko robiło się brudno w pokojach. Mazaje dziecięcych rąk na ścianach. Tylko u Kaj musiała zostać zielona tapeta w trawę morską, do której się przyzwyczaiła, zawsze przed zaśnięciem dotykała jej, jakby chciała zapamiętać fakturę. Kiedy zajmowali się tapetowaniem, kłótni było mniej. Uwielbiałem zapach kleju i ten kolebiący się stół do przycinania tapety, na którym, widziałem raz, kochali się mama z tatą. Zrywali podłogi w poszukiwaniu wilgoci, burzyli niektóre ściany, budowali altanę i saunę. Ostatniej wiosny tata pomalował fasadę. Od czasu jego wyprowadzki wiszą stare tapety. Wspomnienia w kolorze piasku, lata osiemdziesiąte.

Dzwonię do Lisette i proszę, żeby przyjechała na kolację. Samotność z dziewczynkami doprowadza ją do szaleństwa, słychać to, bo jej głos brzmi sztucznie. Pół godziny później zjawiła się z Anną i Niną ubranymi w koszule nocne i kalosze, zamurowało ją w drzwiach na mój widok.

- Krystian, coś ty zrobiłłł - aż zapiała, gapiąc się na moją łysą głowę.

Idzie za moim wzrokiem, kiedy zerkam na Kaj.

- Bo mnie szlag trafi, Kaj, jesteś nienormalna! - krzyczy.

- Dlaczego? - pytam, jakby mnie też mózg wyprało.

Nina zaczyna płakać, nie poznaje mnie bez włosów

i z twarzą pełną ran.
- Było tak ciepło... - próbuję.
Ale kiedy siadam w kucki i uśmiecham się do Niny, ona wciska twarz w biodro Lisette i nie chce na mnie spojrzeć.
- Tak ciepło, że dałeś sobie po twarzy? - pyta Lisette.
A Kaj, tuż obok, patrzy na mnie z uśmiechem w oczach, jakby pilnowała czegoś, co ukradła. Przeciągnąłem ręką po szczecinie na głowie, udając, że według mnie całkiem nieźle wygląda. Że niby tak męsko. Dziewczynki szybko przemknęły obok i zniknęły w ciemnościach domu.
- Tylko nie próbuj mi wmówić, że ogoliłeś się z powodu temperatury. Ty i Jens zawsze byliście kurewsko próżni, jeśli chodzi o te wasze loczki! - syknęła Lisette.
Volvo pełne chrupek śniadaniowych, na przednim siedzeniu, w bagażniku, na podłodze...
- Bierz, ja ich nie chcę! Nie mogę już znieść ich smaku - powiedziała Lisette, wyrzucając pudełka z samochodu, Kaj wnosi je do domu i zawala nimi spiżarnię. Darmowe chrupki zbożowe o smaku czekoladowym do końca życia. Jens próbował rozdać je ludziom w pracy, ale nikt nie chciał. Wszyscy zawsze tylko zazdroszczą,

cholera, narzeka Lisette. Cacka się ze zdejmowaniem sandałów w korytarzu, rzemyki się splątały, ciągnie za nie i przeklina, gada do siebie, jakby już zupełnie straciła równowagę. Odkąd Jens wyjechał, Nina nie chce spać, Lisette próbowała, ale Nina-Malina wyprostowana jak drut siedzi tylko w łóżku przy zapalonym świetle. Jak staruszka, która się boi, że umrze we śnie.
- Niedługo miną dwa tygodnie tej bezsenności - westchnęła Lisette. - Biedny dzieciak, potem drzemie całymi dniami, nie ma siły jeść, spójrz tylko, jak schudła. Nina zawsze była pulchniutka i nie widzę żadnej różnicy - zaokrąglone opalone policzki, szerokie usta Lisette, siedzi na schodach na piętro i wyczekująco wpatruje się we mnie, jakby nadal chciała dojść, kim jestem. Lisette dotyka delikatnie mojej szorstkiej glacy wnętrzem dło-

ni, jej twarz dzieli się jak gdyby na pół: tu niesmak, a tu zadziwienie.
- No a ty? - pyta - też ogłosiłeś strajk głodowy i nie chcesz spać?
Chwyta mnie za brodę i badawczo przygląda się mojej twarzy w świetle lampy.
- Chujowo wyglądasz, Krystian.
Nina rozsiadła się w najlepsze na swoim ulubionym miejscu pod stołem i iska Rabbiego z kleszczy. Pieczołowicie rozgniata je szkiełkiem powiększającym i odkłada na niewidzialną kupkę. Jej cienki głosik przecina ciszę jak brzytwa. Cały czas papla o Jensie i koralowcu, którego obiecał wyłowić i jej przywieźć. O tym, jak przeszmugluje go w walizce owiniętego w koszule. W jej gestach jest

coś, co o nim przypomina. Lisette dzwoniła na komórkę Jensa z trzysta razy, bez odzewu. Daj mu spokój, jeśli to jedyne, czego pragnie - upominała ją mama chłodno na trzeszczącej linii hotelowej. - Przestań do niego wydzwaniać, jakbyś nie mogła bez niego żyć!
Czasami człowiek nie chce do domu, nie chce wracać do tych, których kocha. Chciałbym to jakoś wytłumaczyć Lisette, ale wolę się nie odzywać. Bo w ciszy, którą Lisette wypełnia kuchnię, słychać, jak wokół niej coś trzaska i syczy, od zwarcia wewnątrz niej, od samozapłonu. Czasami człowiek próbuje naprawić swoje przewinienia poprzez nieobecność, Lisette, nie możesz tego zrozumieć? Jak Jack, jak Jens, jak ja. Odwraca się człowiek i zatraca nie wiedzieć gdzie, z nadzieją, że popadnie w zapomnienie i że nikt nie będzie za nim tęsknił. Być może Jens właśnie to robi? Ale przecież ja tu jestem, nie widzisz? - chciałbym szepnąć i przebić się przez otaczające ją pole pod napięciem.
Spaliśmy ze sobą tylko jeden raz, mój pierwszy raz.
W pokoju było cicho, deszcz ze śniegiem na szybie okna za plecami Lisette. Przez jej ciało podniecenie promieniowało prosto we mnie, każdy jej ruch przebiegał mi po plecach aż po kark, po linię włosów na karku. Mia-

ła na sobie czarny T-shirt Jensa, o wiele za duży, prosiłem, żeby go zdjęła, ale odmówiła. Nie chciała pokazać mi się nago. Miała zapuchnięte oczy, bo pokłócili się po południu i zamknęła się na klucz w pokoju mamy, dopóki Jens się nie zmył. Po wszystkim zasnęliśmy na krótko,

zmęczeni, spleceni ze sobą, i to uczucie... właśnie to chcę zapamiętać przede wszystkim z tamtego wieczoru. Później Lisette zachciało się sikać. Stale ją pędziło, kiedy była w ciąży, i w ten sposób zostaliśmy zdemaskowani. Kiedy poszła do toalety, mama nas nakryła.
- Mieliśmy być ty i ja przez te tygodnie, Krystian, obiecałeś czy nie? - szepcze Kaj.
Lisette siedzi obok na kanapie i rzuca Rabbiemu chrupki czekoladowe, na wpół ślepy i najedzony błąka się za nimi po pokoju, żeby nie wprawiać jej w jeszcze gorszy nastrój. Udajemy, że nie widzimy, jak leje na podłogę, ale Kaj co rusz pokazuje nowe kałuże na schodzonym parkiecie.
- Nie mógł tak zwiać - odzywa się Lisette, cedząc dym przez nos.
Dziewczynki zwinęły się jak dwa zmęczone cielątka w rogu kanapy, w półmroku ich ciała zlewają się w jedno.
- Nie może przecież. Prawda? - powtarza.
- A dlaczego by nie? usa to chyba wolny kraj - odpowiada Kaj.
Daję jej kopniaka pod stolikiem przy sofie. Teraz Lisette potrzeba jedynie, żeby na zmianę się z nią zgadzać albo nie zgadzać, według reguły, która utrzymuje ją w spokoju o tyle, o ile to możliwe, usa to wolny kraj i Jensowi w każdej chwili może się zachcieć zapomnieć, kim jest. Może się schylić, zmazać swoje ślady na ciągnącej się w nieskończoność kryształowej plaży i zacząć żyć na nowo. A gdyby Jens rozpoczął nowe życie... nagle Lisette byłaby wolna i mogłaby zrobić to samo. Ale to jej,

jak widać, wcale nie pociąga. Podkręciła głos w telewizorze i skacze po kanałach. Zmienia je i zmienia. Raz, drugi

raz, jeszcze raz. Rabbi kręci się między porozrzucanymi zabawkami, ciągnąc za sobą strużkę moczu.
- Masz go zabrać ze sobą do domu, jak będziesz odjeżdżać - mówi Kaj cicho. - Nie zostawiaj go tu więcej, to nie jest cmentarz dla psów!
Lisette podkręciła głos o jeszcze jeden poziom, aż dziewczynki zaczęły się wiercić w swoim półśnie, przewróciły się na drugą stronę równocześnie, jakby były ze sobą połączone.
Wykałaczki, plaster, metalowa skrobaczka do naczyń, mleko w proszku, gumy do żucia, świece, plastikowe sztućce, wybielacz, słodzik, tampony, igły do szaszłyków, sól kuchenna, konserwy mięsne, jednorazowe maszynki do golenia, płyn do płukania ust, tytoń. Kaj spisuje wszystko, co, jej zdaniem, jest nam potrzebne. Przygotowuje się do swego rodzaju stanu wyjątkowego. Robi te listy i chce, żebym po to wszystko pojechał, ale zaczynają nam się kończyć pieniądze.
- Jutro, Kaj - obiecuję i przykrywam dziewczynki kołdrą, którą mieliśmy w dzieciństwie, w te fruwające niebieskie kotki. Pralka wygryzła w tkaninie małe dziurki. Lisette piła wino i nie może jechać do domu, uparła się, żeby spać w dawnym pokoju Jensa.
- Śpij już, to tatuś prędzej przyjedzie - szepcze do Niny, która jednak nie zasnęła, zawziętymi paluszkami wyskubuje z kołdry pasma białego wypełniacza i walczy ze snem.

- Jeśli szybko nie wróci, to go zabiję, Krystian... - mówi później nad głowami dziewczynek.
Przypominam jej, że najpierw będzie musiała go znaleźć. Na to Kaj podnosi się z kanapy i wychodzi.
- Wróci - odzywa się w połowie schodów - kiedy najmniej będziemy się tego spodziewać.
Pojechali do Skagen. Podobno jest tam pięknie, kościół, który niedługo już całkiem zasypie piasek. Nina została poczęta w toalecie na dworcu. Nie było tego w planach, po prostu się w sobie zatracili. Chciałbym śmiać się

w ciemności razem z Lisette, ale nie potrafię, ona gładzi mnie po szyi jakby w roztargnieniu. A ja myślę, że jeśli Kaj się teraz obudzi... jeśli Kaj się obudzi i zejdzie na dół. Jeśli nas tu zastanie. Jak myśmy tu wylądowali? Lisette leży na moim ramieniu, a dywan kołysze się jak na falach morskich. Za oknem robi się widno albo się ściemnia. Ona opowiada mi jakąś historię, ale patrzę tylko, jak poruszają się jej usta. Oczy szeroko otwarte niczym meduzy w chwili, gdy pokazują się w całej swej okazałości. Śmieje się. Dawno już nie słyszałem jej śmiechu. Otwarta twarz. Otwarty śmiech. Oczy i dłonie. Dokładnie taką ją pamiętam. Opowiadam o pisuarze pod wielką rozetą Notre Dame, bo nie mam tak wielu anegdot do opowiedzenia. W tej toalecie nigdy nie była, mówi. Ale przez całe lato stała w jakimś zaułku na Montmartrze, lato przed Jensem, i smażyła crepes z jakimś Marcelem czy Claude'em. Może to zapach jej naleśników poczułem, kiedy tam byłem? Często je przypalała, o co stale kłócili się z tym Francuzem, aż w końcu się stamtąd urwała. Podoba mi się myśl, że Lisette i ja w tym samym

czasie chadzaliśmy tymi samymi uliczkami. Może minęliśmy się przed jakimś barem, musnęliśmy się ramionami, mruknęliśmy „pardon", nie znając jedno drugiego. Podoba mi się myśl o Lissete przed Jensem. Kiedy go poznała, jej życie zaczęło przypominać życie wszystkich innych. A potem wciąga mnie wir pijackiego zapału. Wróciłem do pisuaru tego samego wieczora, opowiadam, ale Lisette nagle przestaje się śmiać.

- Po co? - pyta, ścierając dłonią krople śliny z ust. - Wróciłeś tam?

- Tak - uśmiecham się.

- Z własnej woli? - podnosi się na łokciu, w półmroku szuka mojego spojrzenia.

- Tak - odpowiadam niepewnie - tak mi się wydaje. Ale nie pamiętam dokładnie. To było przecież tak dawno.

- Ale po co? - dopytuje się. - Spodobało ci się?

- Nie - zaprzeczam szybko - ...nie, nie...
- Ale kusiło? - Lisette odsuwa się nieco do tyłu, żeby mi się przyjrzeć... Nie podoba mi się, że tak na mnie patrzy, rzadko na mnie spogląda, zwykle to ja wodzę za nią wzrokiem.
- Nie, nie, to było ohydne, ale nie... ja... nie byłem pewny, czy... Chciałem sprawdzić, czy to się naprawdę stało - odpowiedziałem wymijająco.
- Krystian, no wiesz, jesteś... - szuka odpowiedniego słowa. Zablokowany? Bez zahamowań? - Wszedłeś z powrotem, żeby sprawdzić, czy to się stało? Wszedłeś i pytałeś wszystkich facetów, którzy byli w środku:

Przepraszam, czy nie włożył pan może ręki w mój strumień, kiedy sikałem? Nie chciałby pan tego powtórzyć? To było w rzeczy samej całkiem fajne, prawda?
- Nie, nie tak. Wcale nie tak. Zapomnij o tym - mówię szybko.
- Tak, tak chyba będzie najlepiej.
- Tak, chyba tak będzie najlepiej - przytakuję.
- Bo gdyby mi się to wypsnęło przy Jensie - uśmiechnęła się - to by się zdenerwował.
- Prawdopodobnie tak.
- Z miejsca by cię wykastrował, Krystian.
Skinąłem głową.
- A może coś jeszcze gorszego - mówi Lisette i znów kładzie się obok mnie.
Jakiś samochód przejechał drogą. Przeciągnął przez pokój białe snopy reflektorów.
- Zapomniałaś już? - pytam, kiedy pokój na powrót znalazł się w ciemności.
- Co miałam zapomnieć? - pyta, a jej mina świadczy o tym, że nie może się zdecydować, czy to na żarty, czy na serio.
- Że... - zacząłem.
Ale ona prędko położyła dwa palce na moich ustach.
- Nie, nie przypominaj mi! - pochyliła się nade mną, zamykając mi usta swoimi ustami.

Plecy Lisette podobne są do tafli wody, tak samo spokojnie unoszą się, kiedy śpi. Opadają, podnoszą się, opadają. Jak morze za oknem. Odnotowuję wzrokiem każdą plamkę, każdą fałdkę, meszek na skórze, pasmo

włosów, trawię ten obraz kwasem. Odpoczywające ciało, rozluźnione mięśnie. Plamy wątrobowe niczym znaki Zodiaku, Mały Pies, Panna. Wijący się na grzbiecie wielki Wąż Wodny. Zostałem w niej już po pierwszym razie. Już wtedy. Na trwałe.

Budzi mnie głos telewizora, oczy szczypią, w świetle słonecznym obraz jest prawie bezbarwny. W wielkim piecu palone są krowy, ładuje je mężczyzna na wózku widłowym, w masce przeciwgazowej na twarzy. Złoto-szare płomienie, biały popiół. Wirus rozprzestrzenia się po gospodarstwach niesiony przez wiatr. Niemcy, Holandia... szlak wędrownych ptaków też nie jest daleko. Wstaję szybko, żeby zamknąć drzwi altany, ale Kaj siedzi tam jakby nigdy nic nad mlekiem z chrupkami. Siedzi na murku i macha nogami, wcinając te zbożowo-czekoladowe kuleczki, przypatruje się mewom na kartoflisku.

- Lisette się zmyła - mówi, wycierając kroplę mleka z brody - ale zostawiła ci karteczkę w kieszeni dżinsów.

Gestem zachęcam ją, żeby weszła do środka. Niegroźny dla ludzi, jak twierdzą. Ale jak można temu wierzyć? Podkręcam głos w telewizorze, podnoszę spodnie z podłogi, obmacuję kieszenie, żeby znaleźć karteczkę. Nie pamiętam, co było wczoraj. I ty też nie. Pospieszne pismo Lisette.

LISETTE

(Zenit)

Krystian leży wyciągnięty między mną a Kaj na spalonej trawie. Słońce w zenicie. Smak chloru i kremu do opalania za każdym razem, kiedy odgania muchę z ust. Kaj wyczyściła lodówkę podróżną do ostatniego okruszka z wszystkiego, co jadalne, i nieustannie dopytuje się, kiedy pojedziemy do domu. Za dużo tu ludzi jak dla niej.

Nie ma znaczenia, że jest woda, dwa pełne baseny mieniące się turkusową wodą, skoro nie może mieć ich dla siebie.
- Krystian, proszę - szepcze mu do ucha, ale on odwraca głowę.
- Zostaniemy tu do lunchu - odpowiada krótko.
No i jesteśmy. Ale nie powinno nas tutaj być. Razem. Nagle Krystian i ja zdzwoniliśmy się i zdecydowaliśmy, że pojedziemy na otwarty basen. Wszyscy. Dziewczynki w ciemnożółtych okularkach do pływania na tylnym siedzeniu toyoty Ingrid. Kaj z tyłu za Krystianem, z rękami wokół jego szyi. Pozwolił jej bawić się swoim łańcuszkiem pod koszulą, ale wydaje się spięty, jak gdyby w każdym momencie Kaj mogło przyjść do głowy, żeby

pociągnąć za niego. Wzrok utkwiony w jezdnię. Ręka na drążku skrzyni biegów. Niepewna. Nieprzyzwyczajona. Anna i Nina uwielbiają otwarty basen, Jens nauczył je skakać z trampoliny już zeszłego lata. Anna jest równie zwinna i szybka jak on, podczas gdy Nina co rusz plaska na brzuch ze swego rodzaju opętańczą zawziętością.
- Proszę, Krystian, chcę do domu... - prosi Kaj.
- To idź już do samochodu - odpowiedział.
Spoko. Dobrze wie: Kaj nigdy nie pójdzie sama. Proponuję, żeby wykorzystała okazję i poszła popływać, ale ona nie rozumie, jaki sens mają ograniczone zbiorniki wodne typu basen. Twierdzi, że nie może nurkować tak głęboko, jak by chciała, i ma dziwny smak w ustach. I jeszcze ten ścisk, wszystkie te półnagie obce ciała. Jeśli ktoś musnąłby ją przypadkiem pod wodą, byłaby bliska histerii. Sprawa nie przedstawia się lepiej, jeżeli chodzi o trawniki - wszędzie rój ludzi, gwar, ruch. Cierpi jak nerwowy pies w skupisku ludzi, wierci się niespokojnie, kiedy tylko ktoś przechodzi obok, i bez przerwy musi wygładzać ręcznik kąpielowy, na którym leży, dosłownie co minutę.
- Daj już temu spokój - proszę ją. Z początku uprzejmie. Potem z irytacją. Dzisiaj będę cierpliwa, tak postanowiłam. Ale są jakieś granice.

Blady Krystian w cieniu wieży skoków, jedyny pas cienia w tym miejscu. Ciało ma długie i żylaste, dokładnie jak Jens, tylko w ramionach jest szczuplejszy, mniej muskularny. Z braku zajęć. Właściwie nie mam pojęcia, do czego Krystian używa swojego ciała. Czasami myślę sobie, że nie był z nikim oprócz mnie.

Ale ja też nikogo nie miałam od tamtego razu z Krystianem. Gdybym dotykała Jensa równie ostrożnie, nawet by się nie zorientował. Nie poczułby, nie zauważyłby mnie. Ale Krystian jest zupełnie inny. Widzi wszystko, wszystko wyczuwa. Jest jak Jens, tylko nie ma tego usposobienia, żeby stale rozbijać wszystko, co później goi się coraz wolniej i wolniej.
Wyszedł mi siniak na policzku od palców Jensa, kiedy przycisnął mi twarz do ściany. Zawsze przesadnie reaguje przy Ingrid. Jak gdyby czuł wtedy dodatkowy nacisk - presję z dwóch stron? Kiedy krzyczę na niego w obecności Ingrid, on zawsze czuje się znieważony i musi coś z tym zrobić. Musi jej pokazać, że nie pozwoli mi włazić sobie na głowę. Ona nadal traktuje go jak głowę rodziny i to mnie doprowadza do szału, bo Jens nie umie sobie z tym poradzić. Między nami jest dobrze, dopóki Ingrid nie ma w pobliżu. To ona doprowadza do tego, że Jens traktuje mnie jak kogoś, kim nie jestem.
Ślad zżółknie i zniknie do jego powrotu, ale jeśli zadzwoni, to mu o nim powiem. O ile zadzwoni, zanim znudzi mi się czekanie. Przez cały tydzień przed odjazdem był jakiś dziwny. Kupował różne rzeczy, jak gdyby to był jego sposób na powiedzenie przepraszam za wszystko i za nic. Codziennie z czymś przychodził. Nie wiem, skąd miał pieniądze, ale myślę, że wyżebrał od Ingrid, mówiąc, że potrzebuje dla dziewczynek. Kupił z ogłoszenia stół ze szklanym blatem, chociaż my nawet nie mamy saloniku, w którym można by go postawić. Oraz mikrofalę, jakby było na nią miejsce w naszej mikroskopijnej kuchni. I nowe radio z budzikiem dla

mnie, bo stare zepsuło się pół roku temu, a potem wrócił do domu z biało-żółtą kakadu w klatce tak wielkiej jak nasz stół kuchenny. Ptaszysko machało skrzydłami i skrzeczało, kiedy zaczęliśmy się z Jensem kłócić - najwyraźniej nie było przyzwyczajone do podniesionego głosu, zasrało całe dno klatki. Ale w końcu musiałam się poddać. Ze względu na Ninę, która zaczęła płakać i nie dawała się utulić - rozżalona, kiedy zażądałam, żeby Jens zwrócił kakadu.

Krystian leży i niepokoi się o coś, co obejrzał w telewizji, o zarazę w Holandii, szybko rozprzestrzeniającego się wirusa. Nie może przestać o tym gadać, chociaż tłumaczyłam mu, że robi mi się niedobrze od tych wszystkich niesmacznych detali.

- Ale Krystian, proszę cię, jak możesz się zarazić pryszczycą? Chyba nawet ty nie jesteś aż takim hipochondrykiem? Po prostu zapomnij o tym, proszę cię.

Anna i Nina krzyczą, taplają się, nurkują. Takie same blondaski jak reszta dzieci w basenie, zapamiętałam kolor ich strojów kąpielowych, żeby umieć odnaleźć je w tej chmarze ludzi. Kaj zostawiła nas samych, stoi na najwyższym podeście wieży skoków. Wygląda jak prawdziwy zawodowiec, szczupła, ale umięśniona, opalona, ani grama tłuszczu na udach, ani odrobiny strachu przed tymi dziesięcioma metrami dzielącymi ją od powierzchni wody. Nie nurkuje. Tylko tam stoi. Jakby po to, żeby mieć spokój, żeby odetchnąć nad głowami całej reszty. Kolejka za nią jest coraz dłuższa. Ludzie gromadzą się na drabince za jej plecami, ale chyba nikt nic nie mówi, czekają po

prostu, żeby zebrała się na odwagę i skoczyła. Chodzi tam i z powrotem, aż wreszcie znalazł się ktoś, kto zawołał: ale halo, skacz wreszcie, co... Ona ich wszystkich lekceważy, robi parę wymachów ramionami, znów je opuszcza. Nagle dociera do mnie, o co jej chodzi, czeka na Krystiana. Żeby na nią spojrzał.

Pociągnęłam go za ramię, bo położył się na brzuchu i udaje, że śpi, ponieważ zwyczajnie nie wie, o czym ze

mną rozmawiać.
- Czeka na ciebie - mówię, wskazując na wieżę.
On sztywno podnosi się na łokciu i spogląda przez ramię. Potem siada, przykładając dłoń do czoła, żeby ocienić oczy.
- Kurwa, ona chce z tego skoczyć? To wygląda bardzo niebezpiecznie. Zaczekaj...
Ale jest już za późno, bo jak tylko Kaj odkryła, że Krystian ją widzi, podeszła nad samą krawędź odskoczni i stanęła na palcach, plecami do basenu. Uniosła ramiona. Poleciała w tył. Zrobiła obrót w powietrzu, Krystian zamknął oczy.
Czekamy, aż z turkusowej wody wyskoczy jej głowa. Ale wokół basenu robi się tylko dziwnie cicho, ludzie szybko skupiają się przy jednej krawędzi. Bełkot, ktoś coś pokazuje, ale nikt się nie rusza. Krystian wstaje, najpierw kuca, a potem, zupełnie wyprostowany, powoli robi pierwsze kroki. I naraz biegnie, leci nad brzeg basenu i rzuca się do wody, nie zatrzymując się, żeby sprawdzić, po co nurkuje. Ja też się podnoszę i biegnę tam, Przeciskam się przez ścianę milczących ciał. I widzę ich na dnie. Wyglądają, jakby się... bili? Szarpią się, w wodzie

ich ruchy są spowolnione. Kaj trzyma Krystiana za koszulkę, on próbuje się z niej wyplątać, siostra przytrzymuje go jednak na dole.
- Pomóżcie mu! - krzyczę. - Pomóżcie mu się uwolnić, no!
Jens powiedział mi, że Kaj potrafi wstrzymywać oddech pod wodą strasznie długo. I jest wystarczająco silna, żeby przytrzymać Krystiana, aż on już nie będzie mógł. Wreszcie w tłumie gapiów pojawił się ratownik, zerwał z siebie T-shirt, klapki i rzucił się do basenu. Popłynął na dno i później nie widziałam już, co się działo, dopóki nie wynurzył się z Kaj w mocnym uścisku. Nie wiem, dlaczego wyniósł na powierzchnię ją, a nie jego. Musiał chyba przyjąć za pewnik, że to Krystian zatrzymywał Kaj, a nie na odwrót. Ale zaraz Krystian sam wyszedł na

powierzchnię, jak tylko przedarł się przez wodę, otworzył usta, żeby wypełnić tlenem puste płuca.
- Co to, kurwa, miało być? - zaczął ratownik, kiedy upewnił się, że obydwoje oddychają.
- Nic - sapnął Krystian na odczepnego.
Klęczy na posadzce u stóp Kaj, kaszle, pluje wodą i śluzem.
- Niech mówi sama. Co on chciał ci zrobić? - pyta ratownik, ale Kaj nie odpowiada, patrzy w przestrzeń obok jego twarzy, a po nim widać, że czuje się lekko zbity z tropu. Ona oddycha zupełnie swobodnie, jak gdyby wcale nie potrzebowała masy powietrza.
- Jedziemy do domu - szepcze Krystian. - Chodź, załóż buty i □ a

łeczków. Nie może znieść tego, co w niej porusza.
JACK
(Kontakt - Charlie)
Przez wiele dni jeździłem w kółko z przyczepą kempingową, bez żadnego planu. Jeśli pojadę tak daleko, że sam nie będę wiedział, gdzie jestem, Maria prawdopodobnie też mnie nie znajdzie. W lusterku wstecznym widziałem jej twarz, loki, przekrzywiony ząb, przyklejony od niechcenia uśmiech. Ale kiedy się odwracałem, wcale tam nie siedziała, miejsce z tyłu było puste, tkwiła tam tylko rozmontowana klatka Dylana i butla gazolu do kuchenki. Pojawiła się teraz bez powodu, o tyle lat za późno. Muszę jechać przed siebie, dopóki nie zgubię jej twarzy. Tym sposobem dotarłem do strumienia. Szerokiego jak rzeka, zupełnie nieruchomego. Spodobał mi się, zaparkowałem i zostałem.
Dni płynęły równie spokojnie jak żółta od gliny woda rzeczki. Nie liczyłem ich. Jedyną miarą upływającego czasu było tempo, w jakim jedzenie znikało ze spiżarni, od czasu do czasu jechałem zaopatrzyć się w prowiant i napełnić baniaki wodą. Drzewa wypuściły liście, trawa zmieniła się z szarożółtej na zieloną. Więcej nic. Dopóki nie przyszła ta dziewczynka. Tego deszczowego dnia.

To było tego ranka, kiedy padało. Niektóre dni można odróżnić od innych i tak było z tym, w którym ją tylko zobaczyłem. Tego samego dnia, kiedy na rzece pojawiły się te żółte kwiaty. Wędrowała drugim brzegiem w odblaskowym płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach, zerkała na przyczepę. Odprowadziłem ją wzrokiem przez zaparowane okienko, póki nie zniknęła w zieloności razem z psem. Czułem, że wróci.
W następnym tygodniu codziennie wynurzała się spośród drzew ze swoim kundlem. Szła z nim wzdłuż strumienia, wolno zataczając kręgi, jak gdyby naśladowanie psa było formą dotrzymywania mu towarzystwa. Nawet kiedy świeciło słońce, miała na sobie ten płaszcz przeciwdeszczowy. Na skraju blatu notowałem sobie: Żółty

płaszcz przeciwdeszczowy, słońce. Albo: Żółty płaszcz przeciwdeszczowy, zbiera się na burzę, schować antenę od telewizora.
W niedzielę po południu, kiedy prałem w misce bokserki, w zaparowanym oknie łazienki zobaczyłem ją jako niewyraźną plamę unoszącą się nad wodą. Bez psa. Zatrzymałem wzrok na chwilę, patrzyłem, jak idzie powoli przy brzegu, wypatrując psiska, ale nigdzie nie było go widać. Czułem, że zapuka do drzwi, więc zasunąłem tę cienką zasłonkę i czekałem. Przyszła, zapukała - trzy słabe uderzenia do drzwi. A potem cisza.
Chwilę później, kiedy wyszedłem, żeby włączyć kuchenkę, nadal stała pod drzwiami i czekała. Jej blade policzki odbijały się od żółtego płaszcza.
- Dlaczego pan nie otwiera? Przecież jest pan w domu - powiedziała mi prosto w twarz.

Co miałem odpowiedzieć? Nie odezwałem się.
- Widział pan mojego psa? Dokądś wczoraj pobiegł. Byliśmy na spacerze nad rzeką, a potem zniknął - ciągnęła.
Puściłem wodę z kranu i potrząsnąłem głową, niedbale powiesiłem bieliznę na sznurku pod oknem.
- Nie, żadnego psa - powiedziałem.
Ale dalej stała przy drzwiach z kartką w ręce, narysowała kundla, bardzo dokładny szkic. Żółty labrador - było napisane - kamping, zadzwoń pod 070-961-11-66, i mniejszymi literami: Kontakt - Charlie.
Rysunek był ładny. Szkicowała lepiej, niż pisała.
- Kto ma na imię Charlie, ty czy pies? - zapytałem.
Zawahała się, jakby musiała się zastanowić.
- Ja - odpowiedziała w końcu. - To ja mam na imię Charlie.
Próbowała zajrzeć za mnie, w głąb ciemnego samochodu, ale zamknąłem za sobą drzwi. Nie zmywałem od wielu dni i naczynia na blacie w aneksie kuchennym zaczęły się niebezpiecznie chybotać.
- Zadzwonię, jeśli go zobaczę - skłamałem, żeby się

jej pozbyć.
Nie wiem, jakim cudem dostała się do środka. To chyba przez to spojrzenie, błądzące, a jednak uparte. Nagle siedziała na pryczy w przyczepie i rysowała kolejne obrazki z innej perspektywy. Labrador w pozycji siedzącej, leżącej, na stojąco, na baczność z profilu. Kiedy po pewnym czasie zdjęła dziecinny kapelusik przeciwdeszczowy, zobaczyłem, że była chłopakiem. Trochę

starszym, niż początkowo sądziłem. Dwanaście, może trzynaście lat, nie jestem dobry w zgadywaniu wieku dzieci, nie wiem, na co zwracać uwagę. Poczęstowałem go starą czekoladą, tylko to miałem, pachniała perfumami i miała biały nalot - zapomniana przeleżała w szufladzie wiele wakacji.
Chłopiec zdjął gumiaki. Na dworze słońce przeświecało już przez liście, a niebo zaczęło się robić niebieskie. Starł nalot z czekolady opuszkami palców, jadł tylko wtedy, kiedy na niego patrzyłem. Małymi kęsami, przełykał szybko, bez smakowania. Ręce miał blade i płaskie, paznokcie poobgryzane - dokładnie jak ja. Nie schowałem dłoni jak zazwyczaj, spojrzał najpierw na moje, potem na swoje własne, jak gdyby porównywał, który z nas bardziej obgryza. Starałem się wyglądać przyjaźnie, ale może niepotrzebnie, bo wcale nie wydawał się przestraszony. Oczy miał ciemnoniebieskie, przejrzyste, rzeka musiała być swego czasu tak klarowna, zanim zmętniała i stała się brązowa. Włożył palec między druty klatki Dylana i wprawił w ruch huśtawkę. Patyczek kiwał się w przód i w tył, bez ptaka. Nie zapytał, dlaczego pusta klatka z wodą i nasionami stała w kuchni na stole.
Nie udawałem, że Dylan wciąż żyje. Naprawdę nie robiłem tego, chciałem tylko, żeby klatka była gotowa. W radiu usłyszałem, że pewne gatunki dzikich ptaków można przyzwyczaić do szczęśliwego bytowania w klatce. Że szpaki, kruki można oswoić i przyuczyć do życia przy człowieku. Chciałem spróbować, złapać jednego, albo może parkę, najlepiej młode, i zobaczyć, czy to

prawda.
171
Charlie siedział tak długo na pryczy, że prawie zdążyłem przywyknąć do jego obecności. Jak na to, że szukał psa, który mu uciekł, miał niezwykle dużo czasu, żeby przyglądać się, kiedy gotowałem na kuchence jajka i ziemniaki. Zapytał, dlaczego mieszkam nad tą gliniastą rzeką, a nie na kempingu. I czy jestem sam. Nie wiem, dlaczego odpowiedziałem, że mam w mieście żonę, może chciałem sprawiać wrażenie niegroźnego. A potem gładko nazmyślałem, że jestem tu na wakacjach, żeby sobie łowić ryby i pobyć samemu przez jakiś czas. O wędkowaniu, co zastanawiające, chłopak sporo wiedział i zadawał masę dziwnych pytań dotyczących sprzętu i gatunków ryb, o których nie miałem pojęcia. Potem, jak gdyby z minuty na minutę zaczęło mu się bardzo spieszyć, nagle wstał i zwyczajnie wyszedł. Rysunki zostały, rozrzucone na stole. Przez cały czas, kiedy mówił, jego ręka jeździła po papierze.
Następnego ranka o świcie obudził mnie pod oknem. Chciałem wyjrzeć, ale miejsce, z którego dochodził ten dźwięk, leżało w martwym punkcie. Dla pewności wziąłem nóż do warzyw, w promieniu paru kilometrów nie ma tu żadnego domu, a w radiu ostrzegali, że dochodziło do kradzieży w wozach kempingowych stojących z dala od głównych dróg. Ale był to tylko ten żółty labrador, rył tam w wiadrze z odpadkami, które zapomniałem wyrzucić w lesie wczoraj wieczorem. Odbiegł kilka metrów, kiedy się pokazałem, ale wydawał się bardziej głodny niż przestraszony, zatoczył kilka kółek i pokręcił się jeszcze nad brzegiem rzeki w oczekiwaniu, że mu coś rzucę.
172
Było za wcześnie, żeby zadzwonić, czekałem kilka godzin, pies tymczasem obwąchiwał przyczepę. Głodny, nerwowo zjadł zimną grochówkę z pokruszonym chlebem. W końcu wybrałem numer Charliego w komórce. Już po pierwszym sygnale odezwał się jakiś mężczyzna. Kiedy zapytałem o chłopaka, w słuchawce na dłuższą chwilę

zapadła cisza, potem ślamazarny głos odpowiedział, że nie wie, gdzie jest Charlie, po czym rozmowa się urwała. Poczekałem, aż będzie po lunchu, i zadzwoniłem znowu. Ta sama cisza, ale tym razem dłużej, w końcu kobiecy głos zapytał, skąd mam ten numer. Opowiedziałem o chłopcu i żółtym labradorze, który bez przerwy niezdarnie gonił swój ogon. Charliego nie ma, powiedziała kobieta, wyszedł, ona nie wie dokąd. A pies? Mogę go sobie zatrzymać, jeśli chcę. Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłem powiedzieć, że nie, nie chcę żadnego psa, naprawdę mają przyjść i zabrać go... Chłopiec jest przecież do niego przywiązany, chyba nie mogą go tak po prostu wydać? A poza tym niedługo stąd ruszam, co mam zrobić z psem? Ale kiedy zadzwoniłem kolejny raz, nikt nie odebrał.

Zaczęło się ściemniać. Sądziłem, że chłopak przywędruje niby przypadkiem od strony drzew, przejdzie po chybotliwej wąskiej kładce, zastuka i zapyta o swojego psa, ale przez cały dzień nie widziałem żywej duszy. Siedziałem przy oknie, dopóki ostatnia smuga światła nie zniknęła nad wodą, po czym włączyłem telewizor i wtedy pies podniósł się ze swojego miejsca pod zlewem, zwinął się w kłębek u moich stóp jak dobrowolna poduszka. Lubił oglądać telewizję, to się rzucało w oczy. Dokładnie

tak samo jak Vicky, kiedy była z nami. Nigdy nie opuściła filmu, który Ingrid i ja oglądaliśmy, to było całkiem zabawne.

Patrzyłem piąte przez dziesiąte na wiadomości wieczorne. Deszcz stukał tak mocno o plastikowy dach, że musiałem podkręcić głos. Niż się utrzyma, powiedzieli. Mnie to nie przeszkadza, lepiej deszcz niż za dużo słońca. Ale pomyślałem o Charliem. Nie był chyba na tyle głupi, żeby zostawać na dworze i szukać w takim deszczu i zupełnej ciemności? Wobec tego powinien uważać, żeby nie plasnąć do rzeki. Podłoże nasiąkło wodą, a brzeg jest śliski. To, że ktoś umie pływać, nic nie pomoże, jeśli nie będzie mógł wydostać się ze strumienia. Może uznał, że tak właśnie stało się z psem.

Zasnąłem przed telewizorem i obudziłem się zesztywniały z psiną obok mnie. Chrapał jak mały dzieciak, wymknąłem się do klopa, żeby go nie budzić. Trochę towarzystwa było najzupełniej okej, ale mimo wszystko przyjemnie, kiedy spał. Te niekończące się wolty w powietrzu, które robił, żeby złapać swój ogon, były fajne przez chwilę, ale później zaczynały działać na nerwy. Dylan był taki sam, przez niego jak głupi musiałem zygzakiem skradać się z pokoju do pokoju, żeby mu nie przeszkadzać. Szczęście, że nikt mnie nie widział. Nie zrozumieliby, że Dylan był w stanie uprzykrzyć mi dzień nieprzerwanym ćwierkaniem, jeśli tylko naszła go ochota. Śpiewać ten sam refren sto milionów razy, aż chciałem ukręcić mu łeb. Następny ptak, którego sobie sprawię, będzie dziki.
W lesie wśród modrzewi było małe stadko drozdów. Ale jak je złapać, nie miałem pojęcia, tego nie powiedzieli w tym

programie przyrodniczym. W siatkę może albo w pułapkę? Ptaki przecież tak łatwo przestraszyć na śmierć, może trzeba ostrożnie wyjąć je z gniazda, jak tylko nauczą się latać? Za psem pewnie bym jeszcze tęsknił, bez wątpienia. Dni tak bardzo mi się dłużyły, od kiedy przestałem pracować i nic, tylko kręciłem się po domu i zadeptywałem podłogi. Ale po Vicky już nie miałem innego, ona była ostatnia. Jeśli nikt nie przyjdzie zabrać tego czworonoga, pomyślałem, to może go zatrzymam? Tymczasem siedziałem w ubikacji, gryząc szczoteczkę do zębów i gapiąc się przez okno w łazience, żadnej żółtej plamy, żadnego ruchu na zalanym słońcem brzegu. Woda była nieruchoma i niczego nie zdradzała. Zamierzałem pojechać po zakupy, bo lodówka świeciła pustkami, a przecież powinienem mieć przynajmniej jakieś jedzenie dla psa. A jeśli Charlie zjawi się, kiedy mnie nie będzie? Jeśli usłyszy szczekanie swojego psa w przyczepie zamkniętej na klucz... Może sobie ubzdurać, że go złapałem i przetrzymuję. Z dziećmi nigdy nie wiadomo, co wymyślą, a ten łebek robił wrażenie bystrego, z pewnością to ten typ, który mógłby sobie wyobrazić różne rzeczy.

Włączyłem bojler na prysznic, podgrzałem kawę z poprzedniego dnia. Potem poprzyklejałem jego rysunki na ścianach. Poza zegarem, który nie chodzi, zupełnie nie ma tu na co popatrzeć. Niezłe te rysunki, kreska trochę za delikatna, ale bardzo wierne. Może pies to jedyny motyw, jaki rysował. Wyglądało, jakby znał jego ciało i ruchy na wylot.
Co dziwne, teraz, kiedy chłopca tutaj nie było, w przyczepie zrobiło się jeszcze ciszej, niż zanim przyszedł.

Miał gadane. Szybko i dużo. Jak gdyby nie mógł mówić w domu i starał się wykorzystać okazję.
Gdy wszedłem pod strumień pod prysznicem i zamknąłem oczy, zobaczyłem nagle, jak żółty płaszcz przepływa koło kładki i dryfuje w dół rzeki. Zaskoczył mnie ten widok. Tak straszliwie wyraźny wdarł się pod powieki, że musiałem otworzyć oczy i przepłukać je gorącą wodą. Narzuciłem koszulę, włożyłem dżinsy i kalosze i wyszedłem na dwór. Długo wędrowałem wzdłuż brzegu, w górę rzeki, w dół. Pies człapał cierpliwie u nogi, jakby zaakceptował to, że teraz należy do mnie.
Szukałem płynących przedmiotów. Nie mogłem oderwać wzroku od wody. Oczy wpatrywały się w tę ospałą, brązową taflę. W poszukiwaniu podeszwy, bloku rysunkowego, czegokolwiek, co mogło być jego. W końcu, kiedy zaczęło robić się ciemno, musiałem dać za wygraną. Kilkoma plasterkami bekonu zwabiłem psa do samochodu. Był głodny i nie mógł nie wskoczyć do auta, kiedy położyłem jedzenie z tyłu na podłodze.
Było dalej, niż sądziłem, chociaż miałem samochód. Charliemu musiało zabierać całe popołudnie dotarcie tu, nawet jeśli szedł na skróty przez las. Z kempingu nad rzekę, a potem z powrotem na kemping, codziennie. Były co prawda wakacje, ale młody chłopak powinien mieć mimo wszystko także inne możliwości spędzania wolnego czasu, niż całymi dniami wędrować w pojedynkę przez kręty las.
Kazałem psu zaprowadzić się do białej przyczepy

w rogu wielkiego pola kempingowego. Przypominała Ingrid i moją Cabby, którą mieliśmy, kiedy Jens był mały-
176
Okna zakryte niebieskimi zasłonkami, gruba tkanina, która nie mogła przepuszczać wiele światła. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast, jakby kobieta stała przy nich i tylko czekała. Patrzyła na psa jak na jakiegoś upiora.
- Gdzie on jest? - szepnęła, odpychając psa, który skoczył jej do nóg i trzepał w powietrzu ogonem.
- Znalazł go pan? Gdzie?! - za jej plecami pojawił się na wpół ubrany mężczyzna o zmęczonych oczach, położył jej ręce na barkach, jakby chciał ją złapać, gdyby padała. - Znalazł pan Charliego? - powtórzył. - Bierze pan udział w akcji poszukiwawczej?
Facet próbował złapać smycz psa, ale ten się wyrwał, ruszył pędem między przyczepami i zniknął.
Długie łańcuchy ludzi przeczesywały tej nocy las, rzadki, bo rzadki, ale labiryntowaty. Kiedy zrobiło się jasno, zaczęli przeszukiwać dno rzeki w obu kierunkach od mojej przyczepy. Charliego tam nie ma, mówiłem im. Przecież sam go szukałem przez cały dzień. Gdyby tam był, jego pies już by go znalazł. Wtedy z dwoma owczarkami przetrząsnęli do góry nogami moją przyczepę, każdy zakamarek, chociaż ładnie-pięknie i ze spokojem zdałem im sprawę z tego, kiedy chłopiec tu był, gdzie dokładnie na pryczy usiadł, jak był ubrany i o czym rozmawialiśmy, kiedy kreślił tu te rysunki. O czekoladzie, którą go poczęstowałem, nie wspomniałem ani słowa. Nie brzmiałoby to dobrze, zdawałem sobie z tego sprawę. Zabrali obrazki Charliego, chociaż prosiłem, żeby mi je zostawili. Były przecież swego rodzaju prezentem od
177
niego dla mnie. Powiesiłem je nad stolikiem w kuchni i patrzyłem na nie przy każdym posiłku, jakoś mi się spodobały. Jednak nie odważyłem się wykłócać o te rysunki, nie chciałem, żeby wyszło na to, że mam obsesję, w końcu to tylko parę delikatnych dziecięcych obrazków. Może

dostanę je z powrotem, kiedy już będzie po wszystkim? Przesłuchiwali mnie, aż zacząłem mieszać jedno z drugim. Nadal ani słowa nie powiedziałem o czekoladzie. O niektórych sprawach można przecież zapomnieć. Raz za razem powtarzałem, że przecież pojechałem do rodziny Charliego i zostawiłem psa. A chyba nikt nie jest na tyle głupi, żeby chłopcu coś zrobić, a potem pokazywać się jego rodzicom? Dwaj młodzi gliniarze patrzyli na mnie zza brudnego stołu, oglądali rysunki z każdej strony.

- Właściwie to zdarza się - stwierdził jeden z nich - że czasami ktoś chciałby się przyznać, ale nie potrafi, nie ma odwagi. Musi za to doprowadzić do zdemaskowania samego siebie, żeby już dłużej nie dusić w sobie poczucia winy.

Ten drugi lustrował mnie bez żenady. Ile zaginionych dzieci i nastolatków przypada na jedne wakacje? Takich, które pojawiały się po kilku dniach, bardzo dobrze świadome faktu, że kurewsko przerazili swoich rodziców?

- Sam mam dzieci - powiedziałem.

- Tak? - przekrzywił głowę, żeby przeczytać, co nabazgrałem ołówkiem na blacie.

- Tak, nie jestem jakimś odludkiem, który tylko czyha, żeby przeszedł tędy samotny chłopiec...

- Nie, nie - odpowiedział.

- Mam w domu trójkę dzieci... i Ingrid, moją żonę. Przyjeżdżam tu czasami, żeby sobie trochę powędrować w ciszy i spokoju, po prostu - ciągnąłem.

- Tak, to nie jest zabronione - powiedział.

Wyjąłem z portfela zdjęcie Ingrid. Było z jesieni tego roku, kiedy się rozwiedliśmy, z czternastych urodzin Jensa - szesnastoletnie, ale nie miałem nowszego. Szybko rzucił na nie okiem.

- Młoda - powiedział tylko, wkładając rysunki Charliego do swojego segregatora, poprosił mnie o adres i dowód. Podałem adres Ingrid, niemal od razu tego żałując, ale nie odważyłem się wyjaśniać, mógłbym się zapęt-

lić. Na zdjęciu na lewo od Ingrid wystawało nagie ramię Jensa. To z tatuażem zrobionym przez Krystiana, kiedy dorwał się do jakiegoś noża.
- Tak, Boże - mruknąłem - dzieciaki... kiedy człowieka przy nich nie ma, zaraz się coś musi wydarzyć.
Spojrzałem na twarz Ingrid. Co ty możesz o tym wiedzieć, Jack? - pytała. - No co ty możesz wiedzieć? Powiedziałem policjantowi, że chciałbym się dowiedzieć, gdyby się odnalazł. Poprosiłem, żeby mnie zawiadomili, żebym nie musiał martwić się dłużej niż to konieczne. Ale wstali, nawet na mnie nie patrząc. Chyba nie zanotowali tego w swoich papierach.
Jeszcze do niedawna ten Charlie nie istniał w mojej świadomości. Teraz nie potrafiłem już ugotować jajka ani pójść do klopa bez myśli o nim. Zrobiłem się zupełnie głupi i dziwny. Muszę z kimś porozmawiać. Głos Ingrid... pomyślałem sobie. Dawniej mnie uspokajał i nadal, kiedy

coś poszło nie tak, zdarzało mi się do niej dzwonić. Ale kiedy wreszcie zebrałem się w sobie i wystukałem jej numer, odebrał Krystian. Na początku nawet nie skojarzył, że to ja, jak gdyby Ingrid miała masę facetów, którzy telefonują do niej późno wieczorem. Kompletne nic z uspokajającego działania, Ingrid jest na drugiej półkuli, powiedział Krystian, po czym z miejsca zaczął mówić o Kaj. Charlie... Kaj... wszystko mi się zlało, jakimś sposobem udało mi się zakończyć rozmowę, ale kiedy potem poszedłem po piwo, które chłodziło się w wiadrze w rzece, nie mogłem sobie przypomnieć, co powiedziałem.
Dwa dni później znów przeszukali rzekę, po wskazówce jakiegoś miłośnika biegów na orientację, któremu zdawało się, że coś widział. Wyłowili z dna jego psa. Sierść była brunatna od błota, początkowo nie dało się go rozpoznać, nie było nawet widać, co to jest, to, co wyciągnęli. Rodzina przyszła go zidentyfikować, kiedy umyty i z zamkniętymi oczyma leżał na niebieskiej plastikowej płachcie. Nie miał żadnych widocznych uszkodzeń, zdechł z braku tlenu, płuca miał pełne wody. Stałem ka-

wałek z boku i obserwowałem. Szkoda tego pięknego psiska, chłopcu byłoby smutno, gdyby się o tym dowiedział. Czekałem, aż powiedzą, że znaleźli Charliego, ale nie było już kontaktu. Nikt też nie zadawał dalszych pytań, mimo że przychodziło mi do głowy coraz więcej odpowiedzi i szczegółów. W końcu dotarło do mnie, że muszę wyjechać, że nie mogę siedzieć co rano przy stole i gapić się na to miejsce, skąd wyłowili jego psa ze szlamu. Nie, jeśli chciałem mieć szansę kiedykolwiek wyrzucić ich ze swojej głowy.

Zanim pojechałem, włożyłem numer swojej komórki do plastikowego worka i zostawiłem pod kamieniem w miejscu, gdzie stała przyczepa. Gdyby Charlie wrócił, chciałem o tym wiedzieć. Pragnąłem mu powiedzieć, że pies umarł, nie cierpiąc, że wyglądał błogo, zanim zawinęli go w niebieski plastik i zabrali. Zadzwoń do mnie, napisałem pod numerem i narysowałem nieporadnie swój autoportret, bo nie pamiętałem, czy powiedziałem mu chociaż, jak mam na imię, ale obrazki to był przynajmniej język, który rozumiał. Może - myślałem sobie - wrócił już do rodziców? W każdym razie będę musiał spróbować to sobie wmówić. Że jeździ w kółko po polu kempingowym na rowerze, który, widziałem, leżał w trawie obok ich przyczepy, niedbale rzucony przez kogoś, kto się spieszył do lata.

Jechałem po prostu przed siebie. Wyjąłem awaryjne papierosy ze schowka. Leżały tam i zwyczajnie czekały na sytuację taką jak ta, kiedy nie można zebrać myśli bez szluga. Jakoś w połowie beznadziejnie długiej, prostej drogi przyszło mi nagle do głowy, że mogę pojechać do Krystiana i Kaj, mimo że Ingrid nie ma w domu. Przecież nie widziałem ich od wieków, ale jeśli krytyczne spojrzenie Ingrid zostawi nas w spokoju, być może nawet pójdzie nam łatwiej? Między trójką dorosłych ludzi. Powinno pójść. Jest tam przecież Krystian, on nigdy nie był trudny ani pokręcony. Nie chował do mnie urazy, w przeciwieństwie do Jensa. Zatrzymałem się na poboczu i roz-

winąłem mapę. Nie miałem już pojęcia, gdzie jestem.
KRYSTIAN
(Chłopiec-pies)
- Chłopiec-pies uciekł - odezwała się Kaj, jakby mówiła o kimś, kogo znamy.
Widzę przed sobą ujadające, przycupnięte stworzenie - pół człowiek, pół owczarek - które ryje na wysypisku śmieci w poszukiwaniu ochłapów jedzenia. Kaj siedzi w ubikacji za uchylonymi drzwiami, pochylona nad gazetą czyta na głos.
-„Chłopiec-pies... znaleziono go zeszłej wiosny w mieście portowym w Chile. Mieszkał razem ze stadem dzikich psów i żywił się mlekiem ciężarnej suki. W końcu, choć zachowywał się agresywnie i stronił od ludzi, udało się go złapać i przewieźć do domu dziecka. Tam chodził na czworakach, sikał na podłogę i skamlał. Więc posypały się listy od ludzi, którzy chcieli się nim zaopiekować. Uczynić swoim. Ostatecznie uciekł i przepadł bez wieści".
Gdyby mama Kaj zostawiła ją w lesie, zamiast przychodzić do nas, być może Kaj też zostałaby dzieckiem-zwierzęciem. Moglibyśmy o niej usłyszeć w wiadomościach:

dziewczynka-kuna, dziecko-borsuk, raporty o tym, jak przemyka w pobliżu domostw.
- Zastanawiam się, gdzie on teraz jest? - mówi Kaj i leje wodę do wanny. - Myślisz, że odnalazł swoją watahę? Może zagryzły go na śmierć, bo pachniał człowiekiem?
Szyja mnie boli po tym, co się wydarzyło w basenie. Coś mi tam w wodzie naciągnęła, całą noc źle spałem. Nasz czas zaczyna się kończyć i ona czuje, jak ubywa go z obu stron - jej i mnie. Kiedy Jens wróci do domu, będę musiał wyjechać, Kaj nadal myśli, że to ma jakiś związek z nią. W tej wierze będzie musiała pozostać na zawsze, bo nie opowiem jej o mnie i Lisette.
Na początku nie załapałem, że to on. Od dawna go nie słyszałem, nie miałem pojęcia, że on i mama jeszcze

w ogóle ze sobą rozmawiają. Miał głos, jakby łyknął sobie na wzmocnienie, zanim zadzwonił, gadał nieskładnie, ledwo klecił zdania. Krótka rozmowa, która skończyła się, zanim zdążyła się zacząć. A teraz, tydzień później, w środku przelotnej ulewy telefonuje znowu i mówi, że przyjeżdża. Wydawało się, że dzwoni z komórki, stojąc gdzieś na autostradzie, silnik szumi, a Jack stara się, żeby to wyglądało tak, jakbyśmy już wszystko ustalili. Że tu przyjedzie? Słyszę własny głos niejako z boku. Prawie błagalny, trochę uległy.
- Właściwie... Kaj i ja właściwie... ale jasne - mówię.
Tata już przejechał połowę drogi. Za późno wspominać, że Kaj ma zły dzień.
183
Leży na łóżku w swoim kimonie, z ciężką książką o owadach opartą o uda.
-Posłuchaj tego...
I literuje skomplikowany ustęp o rytuale kopulacyjnym muchy domowej, bardziej wyrafinowanym, niż można by przypuszczać, kiedy się patrzy, jak pocierają się jedna o drugą na kuchennym stole. Wertując to tomiszcze, iska wiewiórkę. Ma pchły, mimo że jest martwa, twierdzi Kaj. Ma taki grymas pyszczka, jaki potrafią mieć tylko wypchane zwierzęta, jak gdyby zaskoczone w chwili skoku. I coś ludzkiego, może rys dodany przez wypychacza? Kaj odkurzyła jej czarne, szklane tęczówki, patrzą na mnie nieruchome i wilgotne. Muszę oderwać wzrok od ich hipnotycznego spojrzenia.
- Dzwonił tata - Kaj dalej iska sierść, nie podnosząc głowy. - Tata... - próbuję znowu.
- Tak? Pytał o mnie? Nie? No proszę! - odpyskowała.
Może powinienem ich po prostu zostawić samych i zobaczyć, co się wydarzy? Jest jego córką, chyba musi kochać ją taką, jaka jest - albo wcale nie. Po co wygładzać, wyrównywać, udawać? Jeśli nie akceptuje jej takiej, jaka jest, niech się do tego przyzna. Jego to pewnie też boli, równie mocno jak ją. Kaj zamyka okna w kuchni i roz-

sypuje muchy na stole, aż zakryły cały blat.
- Tata niedługo przyjedzie - ostrzegam.
Nie reaguje. Muchy szeleszczą, mają zapach starej, suchej gumy.
- Może tu być w każdej chwili, Kaj.

Ale ona tylko grzebie ślamazarnymi palcami i liczy, przebiera je, jakby szukała oznak życia.
- Kaj, do kurwy nędzy, zabierz to świństwo! - proszę.
Potrząsa głową. Nie. Nazbierała ich dla niego.
Tata wysiadł z samochodu w ten niezgrabny sposób, który przypomniał mi Jensa. Jak gdyby żaden z nich jeszcze nie przyzwyczaił się do swojego wzrostu, obaj niepogodzeni z faktem, że są o głowę wyżsi niż cała reszta. Stoi przy aucie i patrzy na dom spod przymrużonych powiek, może czeka, żebyśmy wyszli mu na spotkanie? Ale Kaj nakłada słuchawki i siada na sofie, gapi się w ścianę. Jęki z głośnika, Janis Joplin skrzypi jak szalona, tata zobaczył mnie z daleka i skinął na powitanie. Przyjechał przyczepą kempingową, jego i mamy starym niebieskim polarem. Zgasił papierosa obcasem i powoli ruszył w stronę domu przez zapuszczony trawnik.
Koszulę ma dokładnie w tym samym odcieniu co sofa. Głowa kołysze się lekko. Wolno. Samotnie. Kręcone włosy - przyprószony siwizną blond - zaczesane do tyłu. Chyba coś kłuje go w gardle, uśmiecha się w stronę okna, jakby tam na zewnątrz ktoś stał.
- Minęło trochę czasu od ostatniego razu - mówi.
Podnosi szklankę z wodą, znowu opuszcza.
- Jakiego razu? - pyta Kaj.
- No, kiedy tu byłem.
Kaj wstała i podeszła do wieży stereo, grubą warstwę kurzu starła palcem. Potem przesunęła nim po półkach regału, jakby zamierzała odkurzyć cały pokój tym

jednym jedynym palcem. Tata patrzy na moją opitoloną głowę. Zajebiście brzydka - widać, że tak myśli, ale to chyba nie jego sprawa, mieszać się w wygląd syna, więc

postanowił to przemilczeć.
- Nie, ja pierdolę, Kaj, nie masz nic innego? - unosi w jej stronę szklankę z kranówą, ale ona się nie rusza, okręca parę razy talerz adaptera.
Gdyby to od niej zależało, nie poczęstowalibyśmy go nawet wodą. Może dostać muchy. Cały pełniutki stół. Muchy są dla niego. Po jednej za każdy raz, kiedy nie zadzwonił.
Tata się zagubił. Tak powiedziała mama. Zabłądził, zjechał z drogi i potem nie chciał już wracać do domu. Kiedy się wyprowadził, kontakt zaczął się powoli urywać. Nie stawialiśmy oporu, nie zatrzymywaliśmy go, i to być może czyni nas współodpowiedzialnymi? Myślę, że mama opuściła go na długo przedtem, zanim on ją zostawił. Odszedł dlatego, że już nie czuł się tu jak u siebie, mama porzuciła go dla Kaj. Była zmuszona wybierać. Tam, gdzie jest Jack, zawsze panuje ciemność, mawia mama. A to niby jego wina, ta ciemność? Gdyby otworzył oczy, byłoby trochę jaśniej, mówi. Zobaczyłby wówczas, że nie jest sam na świecie.
Kaj usiadła i zaczęła kartkować jedno z czarno-białych czasopism medycznych. Tata powinien się teraz odezwać: Jak tam? Jak wam się wiedzie? Przykro mi, że tak długo nie dawałem o sobie znać. Tymczasem zapada cisza, on patrzy za okno, a potem spogląda na mnie, jakby dziwiąc

się, że mogło mu przyjść do głowy, że to się uda. Czy to naprawdę było konieczne? Dręczyć się we troje?
- Aha, na Florydę? - mówi.
Kiwam głową.
- Tak, był taki konkurs na hasło. Kaj ma w zwyczaju wysyłać takie. Tak spędza czas.
- A dlaczego sama nie pojechałaś? - pyta Kaj, ale ona siedzi zgięta nad artykułem o nowych osiągnięciach w badaniach nad zjawiskiem obniżania się macicy i nie odpowiada.
- Nie miała ochoty - odpowiadam.
Tata przeciągnął palcem przy szyi pod kołnierzykiem,

poprawił spodnie.
- No tak - odparł, spojrzał na zegarek, jakby mu się spieszyło, chociaż dopiero co przyjechał. - Jensowi cholernie się poszczęściło. Ale dlaczego zabrał ze sobą Ingrid? Dlaczego nie tę dziewczynę... jak ona ma na imię?
- Li-sette - wyartykułowała Kaj nagle jak do idioty.
- Tak, Lisette. Dlaczego z nią się nie wybrał?
Kaj rzuciła mi krótkie spojrzenie i wróciła do zdjęć anatomicznych.
- Dlatego, że Lisette jest teraz z Krystianem - odpowiada i udaje, że czyta dalej.
Przyczepa, którą jeździliśmy na kemping jako mali chłopcy, stoi na podwórku. Jest zakurzona i brudna od gliny. Kiedy pytam Jacka, gdzie był, odpowiada, że wszędzie, tu i tam. Zaprasza mnie do środka i zamyka za sobą drzwi. Śmierdzi tu, to zapach katastrofalnych wakacji. Mieszka tu teraz. Chwilowo.

- Jeśli miałbym dłużej, trzeba będzie kupić lepsze łóżko - mówi ochrypłym głosem i siada, musi się trochę schylić pod półką na pościel - na takich pryczach plecy człowiekowi wysiadają. Ja przecież, kurwa, skończę pojutrze pięćdziesiąt lat, Krystian. Boże, możesz to sobie wyobrazić? Chociaż mówią...
Wyprostował się i zaśmiał, nie kończąc zdania. Jakby zapomniał, co kobiety mówią na jego temat.
- No więc tak... - tata poprawia spodnie, rozprostowuje długie nogi pod stołem przykręconym do podłogi. - Ja pieprzę, Krystian - szepcze, chociaż Jens nie może usłyszeć nas przez Atlantyk - czy twój brat o tym wie? Dlatego wyjechał?
Pokręciłem głową, cokolwiek by teraz powiedzieć, będzie brzmiało jak usprawiedliwianie się.
- Twarda sztuka z tej Lisette, co? Jensowi potrzebny jest jakiś delikatniejszy typ. Inaczej będzie wojna - tłumaczy ojciec.
Obleśnie tu na tej ciasnej przestrzeni. Te same pasiaste firanki i poduszki co dwadzieścia lat temu, te same

wąskie łóżka i telewizor turystyczny, i kibel, który był tak wąski, że nawet mama musiała sikać na stojąco. Tata nie zna Lisette. Spotkał ją tylko kilka razy, przecież nawet nie pamiętał, jak ma na imię, więc co on może wiedzieć? Niedobrze mi od zapachu wilgotnej pianki uszczelniającej i gazolu. Jak my nie cierpieliśmy biwakowania w tej przyczepie. Kaj najbardziej z nas wszystkich. Tego życia w zamknięciu. A Kaj zawsze była iskrą rozpalającą kłótnie.

- Z Jensem lepiej nie zadzierać, na twoim miejscu byłbym ostrożny - mówi tata.
Ale potem wyjmuje papierosy z kieszeni koszuli i częstuje mnie trochę przesadnym gestem, jakbyśmy jednak, mimo wszystko, mieli co świętować. Wiem, o czym myśli. Nareszcie dziewczyna dla Krystiana. Co prawda kobieta brachola, ale kurde... grunt że... Nie przypominam sobie, żeby wcześniej tak na mnie patrzył. Tak wprost. Bez uników i już nie obok, tylko prosto w oczy.
Bez względu na to, co byśmy, Jens i ja, zrobili, kiedy byliśmy mali, tata nigdy nas nie zbił. Czekał, aż Jens spierze mnie na tyle, ile dam radę znieść, i już po sprawie. Odfajkowane, zapomniane. Karą dla Jensa był mój strach przed nim. I może strach przed samym sobą, że tak łatwo może wyrządzić mi krzywdę? Kiedy tata się wyprowadził, Jens przeistoczył się w półdorosłego psa, nad którym mama zupełnie straciła kontrolę. Nie mogła już o nim decydować, sam podejmował decyzje, za siebie i za wszystkich innych. Pamiętam, jak raz po raz wyjmowała jego zdjęcia z dawnych czasów. Pokazywała mu, jaki był śliczny jako dziecko. Kropka w kropkę jak Krystian. Widzisz? Dokładnie jak Krystian, tylko bez dołeczków, kiedy się śmiejesz. Tyle że kiedy robiono te dziecięce zdjęcia, Jens przecież był dla mamy i taty centrum wszechświata. I kiedyś mama na pewno zrozumiała, gdzie się podział ten mały, mięciutki szczeniaczek. Że przegryzł smycz i pobiegł w las, kiedy rodzina się powiększała i rozpadała.

Tata wygląda, jakby miał ufarbowane włosy, ale może to tylko kwestia światła. Nawet nie wiem, gdzie teraz pracuje, kiedyś miał robotę w obsłudze samochodowej na promie z Trelleborga do Sassnitz, ale to było dawno. Może znowu jeździ taksówką, na nocnej zmianie, której nikt inny nie chce? Włosy nonszalancko zaczesane do tyłu, trochę za długie jak na jego wiek, ale zawsze był próżny. Wygląda młodziej niż mama, chociaż nigdy nie żył tak, jak powinien. Nie wyobrażam sobie, żeby oglądał się jeszcze za babkami w swoim wieku, kobietami w wieku mamy. Podał mi piwo z minilodówki, przykładam je do ust, ale nie piję. Nie przechodzi mi przez gardło. Jakaś blokada. Nie umiem rozmawiać o byle czym. Nie chcę przecież powiedzieć czegoś, o czym on już wie, albo brać się za oczywiste sprawy, o których on nie ma pojęcia. Pod pewnymi względami... przypomina kogoś, kogo przestałem już rozpoznawać.
Tata z miłością był zawsze na bakier. Zawsze czesał ją pod włos. Żeby wyczyścić ją z pcheł. Ale nim on skończy, ona zdąży go już opuścić. Jak dotąd jeszcze żadna nie zdała jego egzaminu.
- Pozwól mu spać w domu - proszę Kaj, kiedy spotkaliśmy się na schodach na górę. Stoi tam w półmroku, jakby zastygła w połowie drogi.
- Nie - odpowiada, nawet się nie zastanawiając. Blokuję jej przejście, żeby nie mogła się przecisnąć.
- Nie! - powtarza. - Możesz zapomnieć, Krystian! Chwyciłem ją za nadgarstek, mocno. Tym razem nie uda jej się wykręcić. Właściwie za kogo ona się, kurwa, uważa? To on zbudował schody, na których ona teraz

stoi. A tapety w trawę morską w jej pokoju, które wytarła palcami, on je dla niej wybrał. Wieczne szczęście..., wieczne szczęście chciał zbudować dla mamy i dla siebie w tym domu. Ale nie wyszło. To nie mogło być, kurna, takie proste.
- Mama się wścieknie, chyba sam rozumiesz - syczy Kaj, czuję jej zęby na płatku ucha. - Niech śpi w tej pie-

przonej przyczepie! Możesz mu to przekazać.
Nadal trzymam ją za ramię, nie pozwolę jej przemknąć obok.
- Może wziąć mój pokój - mówię spokojnie i wpatruję się w jej jasne oczy - mamie nic do tego.
- Twój pokój? - zdziwiła się - Krystian, ty już tutaj nie mieszkasz. Teraz jesteśmy tylko ja z mamą. Możecie się z Jackiem wynosić w cholerę! Obaj!
Okej. Skoro prosi, to może nawet. Dlaczego nie? Może złapię pociąg powrotny już dzisiaj wieczorem? Spokój i cisza, czas, który można spędzić na robieniu tego, na co ma się ochotę, sąsiedzi kłócący się za ścianą, aż odechciewa się być jednym z nich. Miłość i gniew. Zawsze miłość i gniew. Nawet między Kaj a mną, dlaczego tak musi być? Dlatego że samotność jest najbardziej przerażająca z wszystkich czarnych dziur we wszechświecie, którym absolutnie nie chcesz dać się wessać i zniknąć? A być samotnym i zarazem kompletnym? Nie można tak?
Kaj czuje, jak przepływa przez nią woda. Nurkując, otwiera usta i pozwala, żeby woda przeszła przez nią na wskroś, wychodząc między nogami, za jednym

oddechem. Jak gdyby była wydrążona. Czysta. Podobnie postępuje z osobami, których nie cierpi. Pozwala, by przez nią przeszły, po prostu. Bez stawiania oporu. Opór sprawia ból.
- To miejsce nie pozwala się człowiekowi zmienić - odezwał się tata, kiedy siedzieliśmy w milczeniu stanowczo za długo. Jakby to jego pałętanie się z miejsca na miejsce zmieniło go choćby odrobinę.
- Wiesz o tym, Krystian, co? Musiałeś to poczuć, kiedy przyjechałeś, prawda?
Wyniosłem mu dodatkowy koc, a on stara się nie dać po sobie poznać, że liczył na spanie w domu. To miejsce już do niego nie należy, dom, który wyremontował na zewnątrz i wewnątrz, w który włożył tyle swojego niespokojnego ducha.
- Pamiętasz nasze wakacje w tej przyczepie? - próbuje,

głos miękki, sentymentalny.
Pokręciłem głową, nie chcę zaczynać gadki wspominkowej. To prowadzi donikąd.
- Cholera, Krystian, jak mogłeś tak szybko zapomnieć? Jesteś przecież taki młody - mówi rozczarowany.
Mama musiała wiedzieć, że ojciec nie był jej wierny, jeszcze zanim Kaj została przyniesiona do gniazda niczym obcy ptak. Może powinna była dać sobie spokój z marzeniem o córce, bo przecież nic nie stało się łatwiejsze, kiedy przyszła Kaj. Ale to nie jest wina Kaj. Nie można sobie zażyczyć, żeby jej nie było. Po prostu przyszło jej mieć duże, kłopotliwe skrzydła, którymi o wszystko

zahacza. Szczęśliwa czuje się tylko w tych krótkich chwilach, kiedy może nimi swobodnie poruszać. Kaj nigdy nikomu nie ułatwiała miłości do siebie. Kiedy była mała, testowała nasze przywiązanie bez przerwy, zawsze płaczem ściągała na siebie uwagę, łzy miała większe niż rybie oczka, i przewracała się, jak tylko ktoś na nią patrzył albo ledwo spuścił ją z oka. Najbardziej krzyczała, kiedy tata miał się nią opiekować. Jakby oskarżała go o to, że przyszła na świat.
- Spotkałem kogoś - zaczął tata po nowej porcji ciszy.
Zabrzmiało to tak poważnie, tak niepewnie, że zdążyłem pomyśleć: matkę Kaj? Będzie teraz opowiadał? Czy już pora? Przez chwilę międlił zakąskę w ustach:
- Chłopca...
Wyjął chrupkie pieczywo i kawior i żuje to długo między jednym a drugim słowem.
- Trudno to wyjaśnić. Wydaje mi się, że on... zszedł do rzeki, nad którą rozbiłem kemping. Nikt go nie pilnował. Przeszukiwali dno takimi linami, wiesz? - spuścił wzrok na buty. Są brudne od gliny tak samo jak podłoga przy wyrku, jak przyczepa, jak samochód. Kiwam głową, żeby mu nie przerywać, ale on zamilkł na dłuższą chwilę.
- Kurwa, co też tam się stało... - szepcze, drapiąc się po twarzy, żeby ożywić pamięć. - No, temu chłopcu...
Przerwała Kaj, otwierając drzwi bez pukania.

- Macie ogień? - pyta i wchodzi w ciemność z niezapalonym papierosem w jednej ręce i plastikową torbą w drugiej.
193
Wetknęła fajkę do ust i podeszła do nas, wysunęła brodę w stronę ojca i wydęła usta. Dotknęła go spojrzeniem lekkim jak koliber. Potem otworzyła worek i opróżniła go na stół. Rozgarnęła muchy ręką. Tata wlepia wzrok to w muchy, to we mnie. Zapalniczka w jego dłoni dalej się pali, przypatruje się owadom, nadal nie rozumiejąc, skąd się wzięły, jak się tu znalazły. Kaj wygląda, jakby próbowała przewiercić mu się do mózgu poprzez źrenice, ale nie da rady, bo on nie patrzy jej w oczy.
Te muchy. Zebrała je dla niego za to, że jej nie kocha. Nie, nie kocha jej. Nigdy nie kochał. Ale to nie jest wina ani much, ani jej. Powody są chyba zupełnie inne.
- Skąd je wzięłaś, do cholery? - pyta tata i grzebie w nich zapalniczką.
- Plon lata - odpowiada Kaj.
- Ja pierdolę, tfu. Nie cierpię much - mówi ochrypłym głosem.
- Szkoda - uśmiechnęła się Kaj, jeszcze raz podtykając papieros pod płomień, chociaż koniuszek już się żarzy.
Ostrożnie, Kaj. Chcesz go wkurzyć, wyprowadzić z równowagi, ale w ogóle nie masz pojęcia, co wtedy będzie.
- Podpal je, co? - proponuje Kaj i kiwa głową na zapalniczkę, a potem na czarną warstwę much na stole.
Chyba będą się dobrze palić.
- Co ona wyprawia? - pyta ojciec.
Zadaje mi pytania, jak gdyby w głowie Kaj nie było ani jednej myśli, do której nie miałbym dostępu. Co jest z Kaj,
194
Krystian? Jak ona się czuje? O co jej chodzi? Co ona wyprawia? Wzruszyłem ramionami.
- To jest eksperyment - próbuję - ...taki żart.
- Żart? - zdziwiła się Kaj. - Uważasz, że to jest żart? Krystian, ciebie to bawi?

- Ja nic nie uważam - odpowiedziałem.
- Właśnie, Krystian, ty niczego nie sądzisz. Niczego nie chcesz, ty sam jesteś nikim!
Wtedy ojciec się zamachnął. Trzask. Wierzchem dłoni w same usta. Kaj stoi w miejscu. Nawet się nie zachwiała, plecy wyprostowane, jakby zasznurowała na sobie gorset, zanim do nas przyszła. Dotknął jej. On jej dotknął. A zatem istniała?
INGRID
(Dziesiąte piętro)
Pewną kobietę z Florydy, słyszałam dzisiaj w nocy w wiadomościach, zmęczyło życie i wyskoczyła z okna mieszkania na dziesiątym piętrze, spadła z trzydziestu pięciu metrów prosto na samochód zaparkowany na ulicy. Przeżyła, ma tylko rękę złamaną w paru miejscach, samochód natomiast został zniszczony i właściciel zaskarżył ją na czterdzieści tysięcy dolarów za uszkodzenie karoserii. Ale kobieta odmawia zapłacenia, ponieważ auto było źle zaparkowane. Źle zaparkowane...? Tak, zajmowała to mieszkanie przez wiele lat i wiedziała, że stawanie samochodem na ulicy pod jej oknem jest zabronione. Spodziewała się, że miejsce będzie puste. Liczyła na to, że skacze po pewną śmierć. I ten samochód pokrzyżował jej plany.
Tęsknię za domem. Zastanawiam się, jak się miewa Kaj, czy wszystko będzie jak zwykle po moim powrocie. Zaczęłam już liczyć dni do końca. Jensa nie ma. Jest „weg", zniknął, nie odzywa się. Mogę tylko czekać, siedzieć na balkonie i patrzeć w morze, wybierać się na

wycieczki, na które planowałam pojechać razem z nim. I od czasu do czasu dzwonić do Lisette, jak mu obiecałam. Żeby jej się nie znudziło czekanie i nie zmieniła zamka w drzwiach wejściowych przed jego powrotem. Czy to moja wina, że Jens stał się taki, jaki jest teraz? Że zawsze musi otaczać się ludźmi, którzy mogą dla niego kłamać? Że nie potrafi być sam, a jednocześnie odpycha ludzi od siebie?

KAJ
(Wracam)
Wracam. Akurat kiedy wydaje ci się, że już wreszcie będziesz mógł spać. Patrzysz na mnie wzrokiem, który pamiętam z dzieciństwa. Strach? Czy to jest strach? Czy ty się boisz? Kładę zdjęcie na blacie.
- Kto to jest? - pytam.
Noworodek, główka przekrzywiona, kark jeszcze wiotki, nie trzyma się. Właśnie w momencie, kiedy głowa się przechyliła, zrobiono to zdjęcie. Nie dotykasz go. Muszę ci je włożyć do ręki, obracasz je w palcach przy lampce nocnej, która rzuca niebieski blask na twoją zmęczoną twarz.
- To ja? - pytam.
Nie mam żadnych zdjęć z tego okresu, wiem przecież. Ingrid nie chciała. Nie, aż już było za późno.
- Byłam taka? - pytam.
Wiele, wiele razy oglądałam tę fotografię, myśląc, że dokładnie tak wyglądałam, kiedy wziąłeś mnie na ręce, i że wtedy musiałeś poczuć miłość. Całą sobą mówię: kochaj mnie, zaopiekuj się mną. Podbródek spoczywa niepewnie na czyimś ramieniu, wzrok zwrócony prosto

w obiektyw. Jak gdybym już rozumiała... że jeśli chcesz dać sobie radę na tym świecie, musisz ślicznie wyglądać.
- Ludzie rozpoznają własne dzieci - mówię - nawet wbrew swojej woli.
Opierasz się na rękach i wstajesz z łóżka, od pasa w górę nic na sobie nie masz, chociaż w przyczepie jest zimno. Siedziałeś tu chyba i jakiś czas piłeś z Krystianem, wyczułam ten zapach, kiedy przyszedł na górę i położył się u mnie w łóżku. A potem nawet nie zauważył, kiedy się wymknęłam, spał jak kamień z twarzą w poduszce.
- Skąd to, kurwa, masz? - pytasz szeptem.
Trzymasz zdjęcie w tej samej ręce, którą mnie uderzyłeś. Tej samej, którą kiedyś dotknąłeś tej z fotografii, jej ramienia.

Trochę drży ci ręka. Czyja to twarz? Czyje ramię, na które opada główka? Szczupłe ramię w prążkowanej koszuli. Pasmo długich blond włosów w rogu fotki, rąbek ucha. Jak tylko znalazłam tę odbitkę, próbowałam ją zgubić, ale bez powodzenia. Wyrzuciłam ją, ale nadal leżała w mojej dłoni. Podarłam ją, ale pozostała cała. Próbowałam ją gdzieś zapodziać, ale zawsze się pojawiała. Rzeczy stale znikają, ale w wypadku tego zdjęcia było odwrotnie - wszędzie się odnajdywało, w najdziwniejszych miejscach. Może chciałam, żeby ktoś je znalazł?
Zapytał: Kto to jest? Czyja to twarz? Podobna do twojej.
- Kto ci to dał? - pytasz.
Rozumiem, co to znaczy. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć: Okej, Kaj. To jesteś ty. Ty, ty, ty.

- Ona - mówię.
Uśmiechnąłeś się, ale to właściwie nie uśmiech, to cięcie przechodzące przez twoją twarz.
- Nieprawda. Kiedy miałabyś je dostać?
Wygląda, jak gdybyś wątpił. Niczego już nie jesteś pewien.

gdybyś tu była, dokładnie na tę chatę zwróciłabyś uwagę. To jest dom, o którym zawsze marzyłaś, o takim mi trułaś. Będziemy mieszkać na drugim piętrze w mieszkaniu z tarasem. Dzisiaj wpłaciłem zaliczkę, czynsz za trzy miesiące z góry. Duże pokoje, może trochę zniszczone, ale z nowymi wykładzinami i osobnymi sypialniami z różową tapetą dla Anny i Niny. I balkonem, który zawsze chciałaś mieć, dla ciebie. Tęsknię za wami, słyszysz? Na parterze jest wynajem sprzętu do nurkowania,

który możemy przejąć. Good business, powiedzieli. Bo prawie bez wysiłku. Będziemy musieli sobie nawzajem pomagać, ja załatwię sprawy praktyczne, ty zajmiesz się gadaniem, tobie to dobrze wychodzi. Kiedy wrócę do domu, poprosisz mnie na kolację, a kiedy dziewczynki zasną i skończymy się kochać, już nie wytrzymam dłużej i wyszepczę ci tę wiadomość do ucha... z początku będziesz myślała, że cię nabieram, to twoje spojrzenie pod kołdrą, kiedy proszę cię, żebyś zabrała się do pakowania rzeczy. Będę zmuszony pokazać ci polaroidy, żebyś uwierzyła. Dlaczego ty mi nigdy nie wierzysz, Lisette? Trochę zaufania, nie uważasz, że na nie zasłużyłem? Ale kiedy zobaczysz te zdjęcia, ze zdziwienia odbierze ci w każdym razie mowę, nawet ty nie będziesz mogła udawać, że cię to nie rusza. Zdjęcia domu ze wszystkich stron i widok z każdego okna. Dłuży mi się, chcę zobaczyć twoją minę, kiedy poproszę cię, żebyś pożegnała się ze swoim dawnym życiem. Żadnych więcej smętnych dni w biurze celnym, koniec z kłótniami w tym ciasnym mieszkaniu, już ani jednej szarej i mroźnej zimy. Wiem, że ci się spodoba. Cały pieprzony pomysł, kochanie.

LISETTE

(Zasada odrzutu)

Światło razi w oczy, zanim źrenice się nie zwężą. Przykłada dłoń do czoła i patrzy na mnie, stoi tam taki wysoki, uśmiechnięty, opalony. Dwa dni przed czasem. Jack jeszcze nie zdążył odjechać, a Kaj posprzątać. Krystian leży obok mnie na kocu, śpi z moją koszulką na twarzy dla

osłony przed słońcem. Oczy Jensa migoczą pod światło. O trzytygodniowej torturze milczenia... ani słowa.
- Gdzie dziewczynki? - pyta tylko, a ja kiwnięciem wskazuję, że w domu.
Pochylił się i pocałował mnie w czoło przy linii włosów.
- Tęskniłem za tobą - mówi z jakimś obcym uśmiechem na ustach i wchodzi do środka.
Ingrid targa swój ciężki bagaż, szczupła, w nowym makijażu, ale nie jest aż tak opalona. Biała bluzka pomarszczyła się na biuście i pod pachami po całej nocy w samolocie.
- Gdzie jest Kaj? - rzuciła, jak tylko nas zobaczyła.
Krystian pospiesznie wstaje w ostrym popołudniowym słońcu, kompletnie zmieszany naciąga na siebie moją

koszulkę. Odbiera od niej walizki i wskazuje głową na plażę.
- Sama? - pyta Ingrid karcąco.
Krystian przesunął dłonią po łysej głowie. Fantomiczne doznanie loków, przez które zawsze przeciągał ręką, kiedy był w stresie.
- Ale jesteś opalona. Dobrze wyglądasz - mówi miękko.
- A ty co? Boże, Krystian, tak teraz będziesz wyglądał? - jęknęła Ingrid.
- Kaj uznała, że powinien się trochę ostrzyc - dopowiadam, a wtedy ona szybko porzuca wątek.
I tak jest już teraz za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić, nawet Ingrid nie jest w stanie zmusić włosów, żeby rosły.
- Wcześnie jesteście, stało się coś? - mówi Krystian cicho.
- Jens tęsknił do domu - wyjaśnia Ingrid nieobecnym głosem, wpatrując się we wklęsły brzuch Krystiana pod krótką koszulką. - Nie jadłeś, odkąd wyjechałam, czy co? - wzdycha.
A ja nie mogę sobie darować, żeby nie powiedzieć cze

goś o tym, że Krystian zawsze ostatni podchodzi do mis ki, po tym, jak Kaj już wszystko zje. Na co Ingrid powoli odwraca się do mnie, jak gdyby dopiero teraz musiała przyznać, że faktycznie stoję tuż obok.
- Cześć, Lisette - uśmiecha się sztywno i omija mój wzrok o milimetr.
W skupieniu ryje w reklamówce z wolnocłowego i wrę cza mi flakon Kenzo. Zabroniła mi przyjeżdżać do domu

jak długo będzie tu Krystian. Dla mojego dobra, oczywiście. Bawisz się ogniem, Lisette? Uważaj, żeby tym razem Jens cię nie spalił. Nie uciekniesz przed jego ręką, skoro sama się prosisz - czytam w jej oczach. Energicznie szuka w torbie czegoś dla Krystiana, aftershave'u Fahrenheita.
Jack się obudził i wylazł ze swojego schronienia, z przyczepy, która jest schowana w garażu przed palącym słońcem, teraz pojawił się na chodniku za Ingrid i mówi „witamy w domu". A Ingrid odwraca głowę i tak zastyga, ramię pod dziwnym kątem. To jeszcze nie koniec niespodzianek. Jest tak cicho, że słychać, jak przesuwają się chmury nad nami. Witaj w domu? Jack już od dawna nie jest tu mile widziany. I wie o tym. Stoi z ręcznikiem na ramieniu i baniakiem na wodę w ręce, właśnie szedł go napełnić z kranu na dworze. Kaj nadal odmawia wpuszczenia go za próg.
- Gdzie jest Kaj? - pyta znowu Ingrid i patrzy na Jacka, jakby sądziła, że trzyma swoją córkę w przyczepie jako zakładniczkę.
- Jest na plaży, kąpie się - odpowiada Krystian.
- Idź po nią - zakomenderowała.
Krystian znów odstawił torby i rzucił się przez trawnik. Szybkim krokiem, zanim wszystko rozpadnie się na tysiąc kawałeczków.
Mija wieczność lepkiego wyczekiwania. Jakaś ospała mucha krąży wokół nas, nad barkiem Jacka, koło policzka Ingrid, nad moją głową. Oboje stoją nieruchomo,

każde czeka na znak drugiego, w końcu Ingrid otwiera usta jak na slow motion. Jakby po to, żeby mucha w nie wpadła - żeby ją połknąć.
- Muszę się napić kawy - mówi i powoli rusza z miejsca.
Przytrzymuje drzwi do kuchni, na początku do Jacka chyba zupełnie nie dotarło, że z myślą o nim. Stoi po prostu na żwirowanej dróżce, czeka, baniak dynda mu w dłoni. Wreszcie oderwał stopy od ziemi i w dwóch susach wskoczył na schody do altany, zrzucił kalosze i wszedł na bosaka do kuchni.
Ja stoję sama. Kiedy patrzę w morze, mrużąc oczy, Krystiana już nie widać, słychać głos Jensa z otwartego okna w sypialni Ingrid i salwy śmiechu dziewczynek. Słońce w oczy, smak Jensa w ustach, który rozchodzi się, wyżej, w głąb, jak ból głowy od stresu, staram się go przełknąć, ale nie mogę. Otwieram więc flakon perfum, pryskam kilka kropli na palce i przesuwam nimi po ustach, aż zaszczypało.
JENS
(W domu)
- Poliż - mówię. - Dotknij. - Ale kiedy pokazuję bark, ona zaciska usta. - Daj spokój, przestań - próbuję, wtedy ona przechyla głowę, jak kiedy chce powiedzieć nie, ale nie może.
Szybko przyłożyła język do mojej skóry, posmakowała, prędko wciągnęła go z powrotem, skrzywiła się.
- Tak słona jest woda tam, dokąd wyjedziemy. W Zatoce Florydzkiej - opowiadam.
- Ohyda - szepcze Anna
Pokręciłem głową, bo wcale nie.
- Jaka ohyda? Sól sprawia, że woda jest zupełnie czysta. Tam jest tak słona, że nawet mama będzie się unosić na wodzie.
Anna spojrzała na mnie pytająco. Lisette nie umie przecież pływać, jest z miasta, a tam ludzie tego nie umieją, powiedziałem to kiedyś Annie, a ona nigdy nie zapomina tego, co usłyszy.

- Na soli człowiek się unosi - wyjaśniam, bo mi nie wierzy, widać z daleka.
Zmarszczyła tylko sceptycznie nos i opadła ciężko na brzuch Rabbiego.
207
- Musisz mu obciąć pazury, tato - powiedziała, drapiąc się po udzie jego luźno zwisającą łapą. Jeszcze żyje, nadal rosną mu pazury, ale poza tym trudno powiedzieć, co z nim. Kuleje i popuszcza jak starzec. Myślę o Lisette - w wodzie, która ma temperaturę ciała, w bikini, które jej kupiłem. Jest czarne, z płomieniami na piersiach, może nie do końca w jej stylu, nie wiem, czy się jej spodobało, od razu włożyła je do szuflady. Ale przecież nie może mieszkać na Florydzie, nie mając bikini, nawet ona nie będzie w stanie oprzeć się tym ciepłym zielonym falom.
- Mamie będzie tam dobrze - obiecuję Annie.
- Powiedziała ci? Że jej się podoba ta Flurida? - pyta Anna podejrzliwie, a ja wyjaśniam kolejny raz, że nic jeszcze Lisette nie powiedziałem. Ale znam ją dostatecznie dobrze, żeby nie pytając, wiedzieć. Będzie tam szczęśliwa, wszystko się zmieni. Na Florydzie nigdy nie ma zimy, więc Lisette już nie zmarznie, a przecież nienawidzi marznąć.
- No tak, a co z sankami? Jak oni jeżdżą na sankach, jeśli tam nie ma śniegu? - pyta Anna i słyszę po głosie, że może mimo wszystko stanie okoniem. To do niej niepodobne.
Ściągam z niej sukienkę, która utknęła na niej w pół drogi, i wyjmuję piżamę spod poduszki.
- Można jeździć na sankach na wodzie - mówię. -1 na nartach wodnych, i można nurkować... urządzać bitwy wodne. Spodoba ci się tam. Zaufaj mi. Ufasz tatusiowi, prawda?
208
Rzuciłem tę nową sukienkę na podłogę, ułożyła się w pomarszczoną kupkę koło łóżka, Anna natychmiast ją podniosła, złożyła dokładnie i starannie i położyła na

krześle. Jedyna w rodzinie, która tak robi - składa, porządkuje. Cholernie drogie były te sukienki, niebieski połyskliwy materiał, jakiś tam ręczny haft przy szyi, ale okazały się za ciasne zarówno dla Anny, jak i dla Niny, marszczyły się w ramionach i pod pachami i kończyły się wysoko nad kolanem.
- Skąd mogłeś wiedzieć, ile urosłyśmy, kiedy cię nie było, tato - mówi pocieszająco, głaszcząc mnie po ramieniu, po śladzie swojego języka, nadal błyszczącym w świetle lampy.
- Nina może przecież wziąć moją... Jutro jej przymierzymy - proponuje.
- A dla kogo będzie sukienka Niny? Też za mała - narzekam - chyba będzie trzeba sprawić sobie jeszcze jedną dziewczynkę. Taką małą, co nie wyrasta z sukienek, które kupuję. Powiedz mamie.
Anna rośnie tak, że nie nadążam. Ma długie nogi, a przy tym jest bystra. Obiecałem jej, że jak podrośnie, zacznę ją trenować, będzie rewelacyjna, czuję to. Nie pozwolę, żeby popełniła ten sam błąd co ja i zrezygnowała za wcześnie. Chyba będziesz tak wysoka jak ja, Anno. Królowa koszykarek? Ale kiedy o tym wspominam, Lisette zwykle przewraca oczyma i twierdzi, że jeśli Anna będzie miała sto dziewięćdziesiąt sześć centymetrów... to jak znajdzie faceta, który by nad nią górował? Ale to się przecież tak nie wiąże, to nie takie proste. Niestety. Czy Lisette,

kurwa, patrzy na mnie z uznaniem, bo jestem o dwie głowy wyższy niż ona? Wyciągam fotografie i kładę się przy Annie. Tłuste brzucho Rabbiego wystarcza za poduszkę dla nas obojga, chrapie zmęczony podnieceniem „witajcie w domu". Jak tylko mnie zobaczył, nalał mamie na podłogę w kuchni, zaczął trzepać ogonem jak mały szczeniak. Z radości nie wiedział, w którą stronę pójść, gdzie się obrócić. Żebym tylko nie zapomniał sprawdzić, czy wolno przewozić psy przez amerykańską granicę bez kwarantanny. To byłby dla Rabbiego koniec, wyssałoby to z niego resztki energii.

Anna wetknęła nos w moje włosy i marudzi, że nie pachnę tak jak zwykle. Pachnę chyba zapachem, jaki jest tam, dokąd pojedziemy. Musi się do tego przyzwyczaić, nawet jeśli jej się nie podoba. Wertuję zdjęcia, pokazuję, wyobraź sobie, że to jest nasze, mówię, albo prawie nasze, bo przecież wynajmowane, ale umowa jest już podpisana i klucze mam przy sobie. Różowe pokoje Anny i Niny z drewnianymi panelami na suficie i grubymi wykładzinami, trzymam zdjęcia pokoi dziewczynek obok siebie, są tak podobne, że wyglądają na jeden i ten sam, ale zapewniam, że każda będzie miała swój pokój.
- Ale chyba będziemy mogły spać razem? Jeśli będziemy chciały? - pyta.
Bo inaczej będzie jej brakowało Niny, która zawsze przychodzi do niej do łóżka, kiedy Lisette i ja chcemy być sami u siebie.
Wyjaśniam, że będą miały osobne pokoje, już pora na to, od dawna zresztą.

- Meble kupimy, jak tam zajedziemy. Będzie bardzo pięknie - obiecuję.
Chowam fotki pod jej materacem, przypominam, że to tajemnica. Lisette o niczym nie wie, to ma być niespodzianka.
- Chyba umiesz dochować tajemnicy, Anno?
Kiwa głową, bo jest w tym dobra.
- Ale Nina nie - ostrzega.
- Nie, nie Nina - śmieję się.
Ninie nie wychodzi utrzymywanie sekretów, zupełnie tak jak Lisette.
- Wiesz, sam powiem mamie... jak tylko będzie w lepszym nastroju. Teraz jest trochę poirytowana, więc lepiej poczekać kilka dni, prawda?
Zgasiłem lampkę przy łóżku i zepchnąłem Rabbiego na podłogę, powiedziałem Annie, żeby spała, bo już północ. Potrafimy czekać, Anna i ja, czekać, aż przejdzie. Przywykliśmy, bo Lisette i Nina mogą chodzić obrażone całymi wiekami. Ja wolę rzucić czymś o ścianę, potem,

kiedy to zmiatam, wszyscy wiedzą, że niebezpieczeństwo zażegnane. Ale wściekłość Lisette jak gdyby podpełza i rośnie.
- Mogę tu chyba spać, co? Mama chce spać sama w naszym łóżku, dopóki się nie pogodzimy - wyjaśniam.
- Tato - szepcze mi Anna do ucha, po głosie słychać, że już prawie zasnęła - po jakiemu oni tam rozmawiają?
Najpierw nie odpowiadam, bo nie zrozumiałem, o co jej chodziło.
- Jak mówią tam, gdzie będziemy mieszkać?

- Po amerykańsku - odpowiadam. - Mama może was nauczyć, jest w tym dobra. Kiedy się jest małym, człowiek uczy się szybko, gorzej ze mną - szepczę w odpowiedzi i przykładam ciepłą dłoń do jej ust - śpij już, kochanie. Jutro mogę ci wszystko opowiedzieć, ale teraz śpimy, tatuś jest zmęczony, strasznie, strasznie zmęczony...
KRYSTIAN
(Dżingiel)
- Jak się bawić, to na całego - śmieje się Jack - prawda, Ingrid?
Mama patrzy na przedmioty na podłodze, potem na niego. Co ona sobie właściwie myślała, pozwalając mu zostać?
- Chyba żartujesz, Jack? - zwraca się do niego.
- Nie. Albo tak, może... Ale tanio za to dałem na stacji benzynowej, koniec serii.
Namiot imprezowy w formie obcego stożka leży w kuchni na podłodze, instrukcji nie dostał. Nie za tę cenę.
- Krystian, Jens, pokażemy waszej mamie, co potrafimy - mówi głośno i zabiera się do związywania pojedynczych lin. Trochę wypił, ale nie jest wstawiony.
- Powinniśmy mu byli kupić jakiś prezent - szepcze do mnie mama przy zlewie.
- Niby dlaczego? - dziwi się Kaj.
No właśnie, dlaczego? Mama chyba nie ma na to odpowiedzi, bo zaczęła wyjmować kieliszki i stawiać je na

tacy w srebrne ptaki.
213
- Nie mogę uwierzyć, że kończy pięćdziesiąt lat - mruczy. - Kiedy się poznaliśmy...
Wiemy. Wiemy wszystko o tym, kiedy się spotkali pierwszy raz. Ze wszystkimi szczegółami.
- Miłość jest ślepa - rzuciła Kaj.
Mama patrzy, jak tata zbiera części namiotu w swoje wielkie ramiona i wynosi do ogrodu. Pospiesznie pogładziła Kaj po policzku.
- Poczekaj, a zobaczysz, pewnego dnia sama...
- Co? - przerywa Kaj - sama kogoś pokocham?
- Tak - kiwnęła mama głową.
- Już kocham.
- Tak, oczywiście, kochanie. Jasne, że kochasz, Kaj. My też ciebie kochamy - odpowiada mama rozkojarzona, pokazuje na tę dużą kryształową misę, chce, żebym ją zdjął z najwyższej półki. Jak się bawić, to na całego. Misa, którą tata miał, kiedy zamieszkali razem, spadek albo kupiona od pasera, nie mogli się co do tego zgodzić. Ale bez względu na to, wolno jej było używać tylko na specjalne okazje. A dzisiaj - powiedziała mama - jest właśnie taki dzień. Dzień kryształowy.
Kaj zmienia kanały równie często, jak przykładałaby papierosa do ust, gdyby zdecydowała się zapalić, zamiast przelatywać po programach w kuchennym telewizorze. W Szanghaju planowana jest budowa najwyższego budynku na świecie... Słucham tylko pobieżnie, już to dzisiaj słyszałem. Wysokość trzystu pięter, miejsce dla stu tysięcy osób. Żeby przetrwać trzęsienie ziemi, konstrukcja musi mieć jak gdyby system korzenny na głębokość
214
dwustu metrów - wtedy utrzyma się w miejscu. Jeśli zrzuci się dziesięciocentówkę z najwyższego piętra - opowiada reporter z dziecinnym uśmiechem - moneta przeleci prosto przez asfalt.
Tata sortuje odciągi i szpilki, chyba ma trudności z ustaleniem, która strona materiału namiotu jest lewa, a która

prawa. Jens i ja stoimy obok w nieskoszonej trawie, staramy się wyglądać, jakby ta sytuacja była normalna. Jens jest opalony, nawet między palcami, włosy pojaśniałe od soli, z ciemniejszymi lokami pod spodem. Kiedy tata poprosił go o pomoc, zaczął narzekać, że naciągnął sobie biceps w czasie surfowania.
- Wiesz, jak to jest na wyjeździe - mówi, a czy ja go o to pytałem? - Nigdy nie jest tak, jak sobie człowiek wyobrażał.
Sili się na ten uśmiech, czy jest szczery? Nie, nie wiem, jak to jest na wyjeździe. Nigdy na żadnym nie byłem. Z wyjątkiem Paryża. A z tej wycieczki pamiętam tylko obcą dłoń nie w tym miejscu, gdzie trzeba.
Co robiliście wczoraj, kiedy przyjechaliście do domu, Jens? Anna i Nina dostały swoje prezenty, uwielbiasz przecież kupować rzeczy swoim księżniczkom, koral, po który obiecałeś im, że zanurkujesz na rafie... a potem? Spaliście ze sobą, ty i Lisette? Czy kłóciliście się, aż sąsiedzi zaczęli walić w cienkie ściany? Ty i Lisette zawsze jesteście tak samo głośni, cokolwiek robicie. W każdym razie wyglądaliście na zmęczonych, kiedy wjechaliście dzisiaj na podwórko w chmurze milczenia, z dziewczynkami

ubranymi odświętnie, ale nieuczesanymi, na tylnym siedzeniu. Spóźnieni na lunch, na który zaprosiła was mama, Kaj już zaczęła czyścić półmiski. Wszyscy razem... ten jeden raz, dla Jacka. Wszyscy mają tu być i wszystko ma się udać. Pomysł mamy...
Braćmi, którzy utonęli pod lodem, nie byliśmy Jens i ja, ale mogliśmy być. Pewnej późnej zimy, kiedy morze zamarzło od brzegu hen, daleko, jak okiem sięgnąć, jeździliśmy skuterem po lodzie. Mama zwykle widziała nas z okna gabinetu, ale jak zawsze była zbyt zajęta swoimi pacjentami. Przez cały czas wiedzieliśmy, że w każdej chwili lód mógł się otworzyć, runęlibyśmy w dół. Jens prowadził, ja siedziałem z tyłu i przechylałem się to w prawo, to w lewo, żeby utrzymać nas w pionie, kiedy maszyna ślizgała się i zacinała, a koła blokowa-

ły się na śliskiej tafli. Bo właściwie wiedzieliśmy, że cokolwiek byśmy wymyślili, to i tak tylko o Kaj mama się niepokoiła.
- Nie, wcale nie było tak, jak sobie wyobrażałem - mówi Jens, znowu z uśmiechem pod tą coolową miną. - W gruncie rzeczy było lepiej, cholernie fajnie, oni tam mają lato przez cały rok. Bez przerwy lato, jarzysz?
Brzmi jak koszmar, jeśli by mnie zapytał o zdanie. Skwar, gorący lepki piasek, tropikalne choroby, które rozwijają się w gorącym wilgotnym klimacie, ale Jens mnie nie pyta, gada tylko dalej, więcej niż zwykle.
- Było fantastycznie. Brakowało mi tylko Anny i Niny - dodaje. - Kurewsko mocno za nimi tęskniłem.

Czekały przecież na telefon od ciebie, myślę sobie, dziewczynki właśnie okrążają dom ze starą oponą, którą starają się kulać przed sobą.
- Krystian! - woła Nina. - Krystian, chodź zobaczyć! No chodź! - nawołuje, macha do mnie, żebym się pospieszył.
Z oczu Jensa znika blask.
- A wy? - pyta - jak było u was?
Chciałem wzruszyć ramionami, ale jakoś zatrzymały się tam, na najwyższej pozycji, nie opadły tak nonszalancko, jak chciałem.
- Krystian, no chodź już! - krzyczy jeszcze raz Nina i macha całą sobą, podczas gdy Anna popycha oponę.
- Idź - mówię - na pewno chodzi jej o ciebie.
Jens podaje mi worek z metalowymi szpilkami.
- Okej, to pomóż staremu - mruknął i powlókł się powoli przez trawnik - ja i tak nie mogę.
Mama w czerwonym swetrze z alpaki, dłonie zajęte ciastem piernikowym, kolor karmelu, przygotowania do świąt. Sztywno uśmiecha się do obiektywu, zbywaj ąco, chociaż to ona postanowiła, że pożyczymy kamerę wideo, żeby móc nagrać pozdrowienia dla Jacka właśnie w tamte święta. To my, radzimy sobie dobrze... Jens i Lisette na kanapie w kuchni, młodzi, świeżo upieczeni zakochani.

Niezainteresowani niczym poza sobą. Obściskują się za plecami mamy, język jednego w ustach drugiego, a potem w masie czekoladowej, Kaj siedzi na wysokim taborecie i macha nogami, biały kark, cienkie warkoczyki, nie chce odwrócić się twarzą do kamery. Lukruje płatki śniegu i chwile, wszystko pokrywa cukrową glazurą. Mnie nie widać. Ktoś musi przecież trzymać kamerę. Kaj wypisała swoje imię w śniegu na trawniku, siedzi przy oknie i czeka, aż zniknie pod nową warstwą puchu.
- Jack! - woła Lisette z altany, ma na sobie T-shirt w morskiej zieleni, mrużąc oczy spogląda krytycznie w niebo, chociaż nie widać ani jednej chmurki. W jej ustach to imię brzmi inaczej, z amerykańskim akcentem, jak z telewizji. W górę i w dół, rysuje mu w powietrzu, jak ma trzymać płachtę namiotu. Kiedy podeszła, wyjęła mu części z dłoni i odwróciła jak należy, zaklął.
- Pierdolone badziewie!
Cofnął się kawałek, stoi ze spuszczonymi ramionami i patrzy, jak Lisette element po elemencie składa we właściwym miejscu.
- To proste - mówi. - Trzeba tylko zobaczyć, jak to się łączy.
Tata z irytacji przeciągnął ręką po swoich siwoblond włosach.
- Myślałam, że masz zręczne ręce. Jens tak opowiadał - dodała.
- Nie powinnaś pomagać w kuchni? Ingrid cię wygoniła, co? - pyta ojciec i burknął, żeby poszła sprawdzić, gdzie się podział Jens; skinął, żeby spadała. Zdążyła już zabłysnąć. Powinna się poświęcić mężowi, który dopiero co wrócił do domu, zamiast stać tu i się przed nami popisywać... Lisette rzuciła nam mordercze spojrzenie i odeszła.

- To już długo nie potrwa. Między nimi. Nie ma mowy - mówi tata, gapiąc się za nią, gdy znika za górką.
- Nie znasz Lisette - odpowiadam.
- Nie, ale znam Jensa. Wystarczająco, żeby wiedzieć,

że powinieneś się trzymać z daleka od tego plastra miodu - kiwa na nią głową.
- Żyją w otwartym związku - mówię, jakby to dotyczyło ojca.
- Otwartym? Otwartym dla kogo? Boże. To się nie sprawdza. Mogę im to od razu powiedzieć - pokręcił głową. - A nawet jeśli tak żyją - dodaje - ciebie to nie obejmuje, Krystian. Nie wyobrażaj sobie. Powinieneś raczej znaleźć sobie dziewczynę. Nie potrafisz?
Do późna, jeszcze po północy wczoraj słychać było szept taty i mamy na parterze. Nie wiem, gdzie spał dzisiaj. Zakładam, że oczekiwał zaproszenia, żeby spać w domu, ale wrócił do swojej przyczepy, kiedy mama poszła się położyć. Kaj leżała w moim łóżku i czytała nadgryzioną przez myszy książkę z pchlego targu, którą nosiła ze sobą od wielu dni. O wszelkich osobliwych stworzeniach z ogrodu zoologicznego. Podkolorowane zdjęcia zatrzymanych w ruchu kolibrów w sztucznej tropikalnej zimie, jak sączą skondensowane mleko ze szklanych kwiatów. Długi wywód w przedmowie o tym, jak to dyrektor ogrodu kocha wszystkie swoje zwierzaki, nawet tę małą oswojoną żabę nadrzewną, która mieszka w słoiku na jego biurku. Z jakim zapałem ona się wdrapuje na śliskie szkło, kiedy dyrektor Reventlow unosi naczynie pod światło. Zasypiając, Kaj bredziła coś o chłopcu-psie, o tym, jak

ludzie na niego polują. Leżałem w ciemności, słysząc, jak burza przewala się nad brzegiem morza. We włosach Kaj nieznaczny zapach łoju i wodorostów, zwinęła się pod kołdrą jak kot złakniony pieszczot.
- Mamo... - mruczała w krótkiej chwili przeobrażenia - gdzie byłam, kiedy mnie nie było?
W pokoju na sekundę zrobiło się biało, Kaj drgnęła, kiedy rozległ się grzmot.
- Nie wiem, Kaj - szepnąłem w próżnię nocy - naprawdę nie wiem.
Namiot imprezowy stoi pośrodku trawnika niczym fatamorgana - teraz brakuje tylko deszczu, żeby się na

coś przydał. Kaj wyniosła akwalung do altany. Siedzi w palącym słońcu zatopiona w instrukcji, ale angielski dla nurków to obcy język. Ustnik, filtr, manometr, zawór bezpieczeństwa... Tata zaoferował pomoc w montażu luźnych części, ale ona nie chce.
- Czy to jest tylko po to, żeby nas wkurwić? - pyta, obracając w palcach jakiś przełącznik, który się zaciął... - Żeby się z nami wszystkimi podrażnić, dlatego mama to robi? Przyjęcie i obciach! - syknęła.
- Jack kończy pięćdziesiątkę, Kaj.
- No tak. Fajnie, że cię to obchodzi - odpowiedziała i pociągnęła ostrożnie za jeden z kabli, żeby sprawdzić, czy siedzi mocno, ale od razu wypadł.
- Według ciebie powinien siedzieć w przyczepie i pić do lustra w pięćdziesiąte urodziny?
- Niech sobie siedzi, gdzie chce, byle nie tutaj - odparła zimno.

Lisette wymigała się od przygotowań zaraz po mnie, bez pukania wsunęła głowę w uchylone drzwi do mojego pokoju.
- Nie zamierzasz zabrać się do pomocy przy wynoszeniu dużego stołu? - zapytała i usiadła u mnie na łóżku z półmiskiem mięsa na zimno, które zabrała sobie z lodówki. Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, roześmiała się w głos.
- Męska robota, Krystian. Nie jesteś facetem, czy co?
- A ty? Jak ci idzie krojenie? - skontrowałem.
Zrolowała cienki plasterek mięsa i wcisnęła mi w usta.
- Ech, nikt tu niczego nie kończy. Ingrid i Jack siedzą u niej w pokoju przy butelce wina i gadają - odpowiedziała Lisette.
- Kłócą się?
- Nie, rozmawiają. Przynajmniej na razie. Oby tylko nie mieli zamiaru się upić.
- Może tego im potrzeba.
Lisette pogłaskała mnie po nodze.
- Wszystko zrobiło się wczoraj takie dziwne, kiedy

Jens wrócił - powiedziała z ociąganiem.
- Opowiedział ci? Gdzie się, kurwa, podziewał?
Lisette potrząsnęła głową.
- Nie miałam ochoty na scysję. Później o tym porozmawiamy. Nie chcę zniszczyć Jackowi urodzin, chyba pierwszych od wieków, które będzie świętował - odpowiedziała i kiwnęła w stronę ogrodu. - Wiesz... Jens kupił dziewczynkom sukienki. Ale o kilka rozmiarów za małe. Jakby nie było go przez wiele lat i zapomniał, że urosły.

Lisette. Zakazany teren bez granic. Bez ogrodzenia, chociaż potrzeba by z tysiąc woltów, żeby utrzymać innych z daleka. Opaliła sobie na słońcu kark i łydki. Jej usta pachną wędzonym mięsem, kiedy odwraca się twarzą do mnie, żeby przez otwarte okno posłuchać dziewczynek, ich wrzasków przelatujących przez korony drzew. Rys zdziczenia uwidocznia się u nich bardziej latem niż zimą. Nina jest tylko półdzika, niczym czarne konie z Camargue, ale Annę trzeba chwytać na lasso, żeby ją ściągnąć wieczorem do domu. To jest ich dom. Tutaj poruszają się w inny sposób niż w tym ciasnym mieszkaniu, zataczają szersze kręgi, są bardziej naturalne.
- Zabiorę jutro Kaj ze sobą, kiedy będę wyjeżdżał - powiedziałem, a Lisette przestała przeżuwać i gapi się na mnie, jakby zastanawiała się, skąd przychodzi ten głos. - Wezmę ją ze sobą - powtórzyłem.
- Jak to? Chcesz powiedzieć, że będzie u ciebie mieszkała?
- Tak.
- Odbiło ci! - powiedziała prędko, zatrzymując palce przy ustach. - Dla kogo to? Dla ciebie czy dla niej? - Głos napięty od wątpliwości. - Czujesz się samotny w mieście? Potrzebujesz Kaj, żeby dotrzymała ci towarzystwa? - ciągnie, ale przerwałem jej.
- Może też byś przyjechała? Chcesz? - szepnąłem. Skoro już jest, jak jest. Jens musiał spać dziś w nocy na kanapie, widać to było po nim, kiedy przyjechali, nie

ma twarzy pokerzysty nic a nic. Nie to, co ja.
222
- Ja? Jechać z tobą? - uśmiechnęła się, jakby sądziła, że żartuję. - Krystian, proszę... Nie. Jak to, czy chcę? Mam przecież dziewczynki. I Jensa. Nie mogę tak po prostu... chyba rozumiesz?
Gapię się na pustą ścianę zniszczoną dziurami po gwoździach.
- Jasne, że było mi przykro, byłam wkurzona na Jensa - mówi, przesuwając trochę swoją nogę, tak że nasze uda już się nie stykają - ale my należymy do siebie. Wiesz dobrze, że tak. Po wszystkim, co razem przeszliśmy.
Ślady po gwoździach wyglądają jak muchy na wyblakłej tapecie. Trzymałem na tej ścianie dyplomy pływackie, udawałem, że moje. Tata je zostawił, odchodząc, a później, kiedy się wyprowadziłem, Kaj je pozdejmowała i zawiesiła u siebie. Że niby jej własne? Lisette zsunęła się z łóżka ostrożnie, jakby przypuszczała, że capnę ją i zatrzymam.
- Słuchaj. Muszę już iść, zanim zacznie mnie szukać... - powiedziała cicho i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi.
Niebo nad drzewami nadal jest idealnie czyste, tylko parę lekkich obłoków na horyzoncie. Wieczór będzie ciepły. Ani kropli deszczu. Nie napada na namiot w ogrodzie. Kaj idzie sama na plażę. Rabbi snuje się za nią jak cień, ale ona odgania go energicznie, tupie, aż pies cofa się i odchodzi, utykając. Kaj niesie butle z tlenem. Akwalung. Wydają się nieporęczne, ich ciężar spowalnia jej kroki. Lisette wyszła na schody altany. Widzę z okna, jak
223
idzie do ogrodu z kryształową misą, do której wsypała chipsy, podchodzi do Jensa siedzącego w cieniu drzewa. Wiem, że ona wie. Że ich widzę. Jens zdjął swoją wyjściową białą koszulę i powiesił na gałęzi, żeby nie poplamić jej trawą, tors ma ciemny jak kora drzewa, przy którym stoi. Lisette podaje mu misę, on wziął ją za rękę, gestem pokazał, żeby usiadła obok. Ona przez chwilę się

waha, po czym siada przy nim i pozwala, żeby położył jej rękę na barku. Ale kiedy próbuje się do niej przybliżyć, ona robi unik, pokazuje głową na dom - ma jeszcze coś do roboty - i wymyka się z jego objęć.

III

KAJ

(Droga we mgle)

Chucham w dłonie, żeby przywrócić krążenie w palcach, wyrzucam peta przez uchylone okno w samochodzie, pocieram kark, spod przymrużonych oczu wpatruję się w gęstą mgłę przed nami, zapalam nowego papierosa, nie częstując, biel, biel, biel, tylko ją widać, ale Jack mimo to wie, jak jechać, zna już tę drogę na pamięć.

- Nie chcę jechać - powiedziałam głośno.

Już dłużej nie będzie mógł udawać, że nie słyszy. Ale nie odpowiada, strącił stopę, którą oparłam o schowek. Starł dłonią niewidoczny brud z czarnego plastiku.

- Chcę do domu...

- Tak, tak - burknął i jedzie dalej.

Nie zamierza teraz zawrócić, jeszcze przez chwilę dodaje trochę gazu, aż docisnął do końca.

- Zimno mi - mówię.

Jedzie szybko. Jeśli ktoś by szedł w tej mgle, ktoś, komu stanął silnik w drodze, zostanie przez nas śmiertelnie potrącony.

- Ale ubierz się porządnie. Kaj, kurtka, do cholery. Chyba rozumiesz, że musisz mieć kurtkę! - prychnął, bo Jack nie znosi narzekania.

- Obudzi się dzisiaj? - zapytałam, wsuwając ręce pod pachy, w ich wilgotne ciepło. Skinął głową.

- Tak, dzisiaj - mruknął.

I tak co rano. Tak, dzisiaj. Krystian dzisiaj otworzy oczy. Jak szybko rosną włosy, kiedy się śpi? Jak szybko, kiedy człowiek jest nieprzytomny? Pytam Jacka, ale on nie wie. Czy Krystianowi odrosły już włosy? Zapytałam, ale tego też nie wiedział, bo Krystian ma głowę zabandażowaną, usztywnioną, nie widać jego włosów. Ale rosną ci włosy,

Krystian, wiem, że tak. Pod tym białym, którym obwiązali ci głowę, żeby się nie rozpadła i dla ochrony. Teraz musisz się już tylko obudzić. Otwórz oczy, Krystian. Bo mnie już nie zobaczysz. Gdybym mogła podejść do ciebie, gdyby Jack chociaż raz pozwolił mi chwilę postać przy twoim łóżku, wyszeptałabym ci to do ucha. Otwórz oczy, no, musisz... Bo lekarze mogą podtrzymywać w tobie życie bez końca, ale oczy tylko ty sam możesz otworzyć. Dobrze to wygląda, mówią. Pozszywali cię, stan jest stabilny. Ale dlaczego się nie budzisz, na to pytanie nie potrafią odpowiedzieć. Wyniki badań są dobre. Wszystkie wskaźniki w porządku. Jeśli wziąć pod uwagę... Indeksy mówią o progresie. Tak mówią: progres - powiedział Jack. Brzmi jak nazwa choroby. Stan jak gdyby śmiertelny, ale najwyraźniej oznacza to, że oddychasz samodzielnie, nie wiem... po prostu otwórz oczy, Krystian. Dlaczego nie chcesz?
- Uparty skurczybyk, co? Nasz Krystian. Nie podda się za pierwszym podejściem - mówi Jack do mamy. Ale ona tylko przeżuwa w ustach chleb przy śniadaniu, może, nie wiem - może, nie wiem - może, nie wiem,

tylko to powtarza ostatnimi czasy. To, co się stało Krystianowi... To nie jest niczyja wina, zdecydowała mama. Bo nie można się w tym dopatrzyć początku. Jedno tylko plątało się z drugim, wszystkie wydarzenia i pomyłki. Jeśli cofnąć się myślą. Ale mamy nie wracać do tego, co było, mówi Jack. Bo co było, to było.
- To nie twoja wina, Jack - szepnęła wtedy mama do Jacka, a on wyglądał, jakby też tak myślał, bo dlaczego cokolwiek miałoby być jego winą.
- Ani twoja, Kaj - próbowała mama i już prawie pogładziła mnie po policzku, ale powstrzymała się w ostatnim momencie.
Wiem, że chce tak myśleć, tylko nie wychodzi jej powiedzenie tego tak, żeby zabrzmiało to szczerze, bo uważa, że to jednak w porządku, jeśli sami będziemy się obwiniać. Zupełnie naturalne.
- Mamo, jak szybko rosną włosy? - pytam, ale ona nie

podnosi wzroku znad kart pacjentów.
- Kaj, idź już. Nie każ Jackowi na siebie czekać.
Włączył już silnik, stoi na dole przy bramie, a on przecież nie może czekać. Palce mamy wertują w tę i z powrotem segregator z kartami pacjentów, tak szybko, że niemożliwe, by nadążała czytać.
- Pozdrów Krystiana, pocałuj go ode mnie w rękę - poprosiła.
Jak kiedy byliśmy mali. Odcisk jej ust we wnętrzu dłoni był tak mocny, że miało się go w szkole przez cały dzień.
- Ale Jack nawet nie pozwala mi pójść do Krystiana, wolno mi tylko czekać w samochodzie! - poskarżyłam się.

Mogłabym mu z parkingu szpitalnego posłać całusa ręką, ale on nawet nie może wstać z łóżka i złapać go w oknie. Mama nie słucha, skinęła tylko na drzwi.
- Idź, Kaj. Idź już. Idź.
Nie może znieść, że jestem w pobliżu, nie może na mnie patrzeć. Ani na ciebie, Krystian, dlatego nie jeździ z nami do szpitala - boi się, że będziesz wyglądał, jakby cię bolało, chociaż jesteś nieprzytomny. Że cierpisz głęboko we śnie, a nie ma ci kto pomóc. Praca i sen to jedyne, co może rozproszyć niepokój, powtarza mama. Więc jest Jack, żeby mnie usuwać z drogi i gotować dania, w których ona dłubie widelcem i prawie w ogóle nie je. Żeby od czasu do czasu nastawić pranie, skosić trawę przed domem. Nikt nie zauważył, że przestała rosnąć już dawno temu. Mama znosi teraz tylko jego obecność. Bliską - ale nie za bliską. Nie w tym samym pokoju. Przeprowadził się ze swojej przyczepy i śpi teraz w dawnym pokoju Jensa. Pod modelem samolotu, który unosi się przy suficie jak ptak-straszydło.
Jack zawsze parkuje w tym samym prostokącie przed szpitalem, na samym końcu, przy trawniku. Chce, żeby to miejsce oznaczało szczęście; musi, bo Krystianowi potrzeba teraz, kurwa, mnóstwo szczęścia, jeśli ma się kiedyś obudzić i być taki jak dawniej. Jeśli ta kratka jest

zajęta, mamy zły znak i Jack jest zmuszony zrobić kilka rundek po parkingu, nim w końcu zdecyduje się zatrzymać gdzie indziej. Ostry dyżur, Oddział chirurgiczny, oiom, Oddział położniczy - niebieskie tablice na słupie przy wjeździe na parking wskazują różne kierunki. Jens

się tu urodził, a Krystian w ciężarówce w drodze do tego szpitala. Było coś z windą... Jack ponoć utknął w niej, kiedy jechał zobaczyć Jensa pierwszy raz.
- Ja też się tu urodziłam? - zapytałam, kiedy Jack z lekkim szarpaniem zaparkował ritmo nie w tym prostokącie i wyłączył silnik. - Tak czy nie? - powtórzyłam pytanie.
Zaciągnął hamulec ręczny tak, że nie dałoby się pociągnąć już ani milimetra dalej.
- A skąd ja mam to wiedzieć, Kaj? - odpowiedział i przygładził włosy, spojrzał sobie w oczy w lusterku. - Prawdopodobnie... nie wiem... a ma to jakieś znaczenie?
Zanim otworzyli tę windę, kwiaty Jacka zdążyły już zwiędnąć. Goździki? Wydaje mi się, że je kupił. Białe goździki. Kwiaty na pogrzeb, powiedziała mama.
- Chcę iść z tobą - spróbowałam, ale pokręcił głową jak zwykle, wyjął kluczyki ze stacyjki.
Zawsze zostawia mnie w samochodzie każe mi czekać, aż prawie zaczynam myśleć, że nigdy nie wróci. Aż cierpną mi ręce i nogi, robię się głodna i chce mi się pić i sikać, i jestem zmęczona, i kolejne tysiąc razy zdążyłam przeanalizować to, co się stało. Jack wchodzi sam, siedzi na brzegu łóżka przez cały czas odwiedzin, czekając na jakiś znak życia ze strony Krystiana, ruch gałek ocznych, palca, nagły grymas twarzy, cokolwiek.
- Chcę go zobaczyć - proszę, chociaż wiem, że Jack się nie ugnie.
- Lepiej nie.
- Bo co? Nie chce mnie widzieć?

- Nie chce.

- Skąd wiesz?
- Wiem, Kaj - mówi i jakiś cień przesunął się po jego twarzy. Zdjął swoją kurtkę i podał mi. - Masz. Załóż ją, żebyś się nie rozchorowała.
Nie chcę nosić jego rzeczy. Ta kurtka wisiała w piwnicy, odkąd się wyprowadził, nie rozumiem, dlaczego mama jej nie wyrzuciła. Nosił ją, kiedy chodziliśmy do lasu, Krystian i ja zawsze śmiertelnie się baliśmy, że może nam zniknąć z pola widzenia, bo nigdy się nie zatrzymywał, żeby sprawdzić, czy nadążamy.
- A skąd wiesz, że Krystian nie chce? Jest przecież nieprzytomny... - nie dawałam za wygraną.
- Właśnie - odpowiedział, capnął paczkę papierosów, wysiadł z samochodu, przez mżawkę ruszył w cienkiej czarnej koszuli do głównego wejścia.
W oknach porodówki wiszą zasłony w prążki. Krystian i Jens przyszli tutaj na świat. Mama leżała w którymś z tych pokoi, ze zwiędłymi goździkami od Jacka przy łóżku. Przenikliwy chłód w samochodzie zmusił mnie do założenia kurtki, naciągnęłam kaptur na głowę i spuściłam szybę, wieje na przestrzał, ale bez tego mam wrażenie, jakbym się dusiła. Jak szybko rosną włosy? Czy odczuwa się ból, kiedy się jest nieprzytomnym? Czy pamięć wypływa wraz z krwią, jeśli czaszka niemal rozłupała ci się o podłogę w saloniku pod kolanem Jensa, od jego krzyków i ciosów? Jeśli dziś nie otworzysz oczu, Krystian... Zrobię to, pójdę zapytać. Bo przecież gdzieś musi być jakiś ślad po mnie. Jakieś dokumenty w jakimś segregatorze, jeśli urodziłam się tutaj,

dokładnie tak jak Krystian i Jens. Jeżeli się dzisiaj nie obudzisz, Krystian, wejdę do środka, wjadę windą, mam nadzieję, że się nie zatnie, i spróbuję się czegoś dowiedzieć, czegokolwiek. Znam przecież rok, w którym się urodziłam, i mniej więcej miesiąc, wiem też, że jestem wcześniakiem, bo tak wyglądałam, kiedy zostałam oddana. Stara, a zarazem noworodek. Mama w domu przez wieki przechowuje karty pacjentów, wiem, że to normal-

Zapadł już zmierzch, kiedy Jack pojawił się w tylnym lusterku. Z daleka widać, że Krystian co najwyżej poruszył źrenicami pod powieką, bo Jack podchodzi powoli, przygarbiony. Kupił mi dwa wafelki w czekoladzie w szpitalnej kafeterii.
- Masz - powiedział, podając mi je.
Od razu jednego otworzyłam, bo z głodu aż kręci mnie w brzuchu. Potem zauważył karteczkę za oknem i zaklął.
- O, do kurwy, Kaj... nie powiedziałaś, że zaraz wracam?
Pokiwałam głową, na co on porwał mandat i wyrzucił przez okno na ziemię. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, że muszę pójść do toalety.

- Nie teraz, musisz wytrzymać, aż dojedziemy do domu - uciął.
- Ale muszę, przez cały czas chciało mi się sikać.
- Boże, Kaj, chyba nie jesteś małym dzieckiem? Chyba możesz wytrzymać!
-Nie!
- To się naucz, jak się jest poza domem, to trzeba wytrzymać - gdera jak do idiotki.
Otworzyłam drzwi i weszłam drewniakami w kałużę, że aż bryzgnęło.
- Okej, okej, okej - westchnął i znów otworzył swoje drzwi, zamierzając iść ze mną.
- Nie - powiedziałam szybko. - Mogę iść sama.
Rzucił mi niechętne spojrzenie.
- Tam jest pełno korytarzy. Nie znajdziesz.
- Boisz się, że zwieję, czy co? - zapytałam, patrząc mu prosto w oczy. Rozchmurzył się i zaśmiał krótkim, twardym śmiechem, który zmiękł na koniec i brzmiał prawie jak Krystiana.
- Zwiać? Dokąd? A dokąd ty byś poszła?
- No właśnie - odpowiedziałam.
- No właśnie - powtórzył.
Ale kiedy ruszyłam, i tak zawołał za mną przez nie-

mal pusty parking:
- Nie próbuj do niego wchodzić. Ostrzegam cię. Jeśli nie będzie cię z powrotem za pięć minut, idę cię szukać!
JENS
(Powrót)
Chcę ją zmusić, żeby na mnie spojrzała, Jeden jedyny raz, żeby zapamiętać jej twarz w ciemności. Nikt na nią nie gwiżdże, kiedy idzie korytarzem. Idzie swoim zygzakiem od celi do celi, stuka dwa razy do drzwi, a potem podaje plastikową rurkę. Jeśli chce się zdążyć i zobaczyć ją w przelocie, trzeba szybko kuknąć przez wizjer, zanim plecy w bieli odwrócą się i pójdą dalej. Zawsze ta sama procedura. Zapach jej dłoni w otworze, nim odejdzie. Później stajesz przy kiblu i nie myślisz o niczym, po prostu odprężasz się i czekasz, aż popłyną szczyny. Ostatnie krople zostawiasz dla niej. Masz trzy minuty, żeby napełnić rurkę i oddać. Zapach jej dłoni słabszy w drodze powrotnej, wymieszany z wszystkimi zapachami korytarza. Jej półodwrócona twarz. Jakby się wstydziła, chociaż to my musimy sikać na komendę jak psy. Chcę, żeby na mnie spojrzała.
- Jak ci na imię? - szepczę.
Ale nigdy nie dostaję odpowiedzi.
Jest tu facet, który połknął pierścionek, żeby się stąd wyrwać. Majid. Różowa blizna na krtani, gdzie go rozcięli,

żeby to wyjąć. Nie wyszedł na wolność, tydzień w więziennym szpitalu i z powrotem. Teraz siedzi za ścianą i nocami zawodzi żałośnie w swoim języku, dopóki nie zacznie robić się jasno. Nikt go nie ucisza, chociaż wszyscy narzekają. W ciemności ściany stają się tak cienkie. Nie daje mi spać. Rusza się, hałasuje. Pobił swoją dziewczynę i dostał za to dwa lata. Odwaliło mu. Bez żadnego powodu, po prostu mu odpierdoliło. Mówi, że dziewczyna śmiała się z niego, kiedy się rozbierał. W ogóle nie pamięta, że ją bił. Ale przypomina sobie, że się z niego nabijała.
Ktoś musiał ostrzec zygzakową dziewczynę przed

nami, bo nie wpuszcza nas nawet w swoje pole widzenia. Robi tylko to, co do niej należy.
- Jak ci na imię? - szepczę przez otwór.
Przytrzymuję probówkę w ręce, zakłócając jej szybką rutynę. Zrobiła gest w moją stronę, żebym oddał. Gumowa rękawiczka w cielistym kolorze jest trochę za duża, dłoń, którą robi notatki, nie jest osłonięta.
- jak ci na imię? Nie możesz po prostu powiedzieć swojego imienia? - proszę.
Ale ona wpatruje się tylko w jakiś punkt obok okienka w drzwiach, zawsze odwraca lewą stronę twarzy, jakby była oszpecona.
To musiało w Majidzie narastać. Kurewsko mocno, jeśli śmiech sprawił, że mu odpieprzyło. Trzeba się wkurwiać częściej, ale po trochu, tak mu powiedziałem. Ale trochę trudno jest to wytłumaczyć, ponieważ jego szwedzki

jest równie kiepski jak jego śpiewanie. Pochodzi tak jakoś, z Algierii, Maroka, gdzieś stamtąd. W małych dawkach. A nie dusić w sobie i wybuchać. Jarzysz, Majid? Ale nie jarzy. Nie łapie nic, poznaję po oczach. z wyjątkiem tego, co jest najbardziej oczywiste - żeby nie słuchać kogoś, kto siedzi w tym samym gównie.
Klik - głową Krystiana o ścianę. Klik - głową o ścianę. Klik, klik, piącha w twarz raz, i jeszcze raz. Czułem, jak Lisette rzuciła się na mnie od tyłu, kiedy waliłem Krystiana w skroń kostkami dłoni. Raz, drugi, trzeci, potem straciłem rachubę. A dziewczynki. Stały pod ścianą. Twarzą do mnie, z szeroko otwartymi oczyma. Widziały. Widziały wszystko. Ręce Lisette ciągnące mnie za szyję. Zabrakło mi tchu, ale to nic, i tak przestałem oddychać. Wyjęli Majidowi pierścionek z gardła, ale już nie pozwolili mu go zatrzymać, chociaż był to spadek po ojcu. Majid chce, żeby odesłali go jego dziewczynie wraz ze zdjęciem blizny na szyi i powiedzieli jej, co zrobił. Dla niej. Niech jej powiedzą, że musi tu przyjechać, żeby mógł jej zaprezentować szramę na żywo. Pokazać, jak bardzo ją kocha. Ale oni nie wyślą tego pierścionka, Majid nie

ma pojęcia, jak tu się sprawy mają. Dziewczyna zresztą i tak by nie przyjechała... Jeśli jeszcze w ogóle cokolwiek pamięta, Majid nie należy do pięknych wspomnień. Powinno to do niego dotrzeć.
Wszystko zaczęło się przy stole w czasie kolacji. Mama z Jackiem pojechali po jego tort urodzinowy.

My, pozostali, staraliśmy się przeczekać Kaj, dawno już przestaliśmy liczyć jej porcje. Lisette i Krystian prawie nie tknęli swojego jedzenia, myślałem, że upał odebrał im apetyt. Ale kiedy Kaj zaczęła dokładać sobie jeszcze raz, powiedziałem do Lisette, żebyśmy wyszli na chwilę. Przejść się kawałek po plaży, reszta może chyba zostawić nam kawałek tortu, jeśli nie zdążymy wrócić. Tylko że Lisette nie wstała, dalej siedziała przy stole, unosiła szklankę do ust, chociaż była pusta. Zachowywała się tak od mojego powrotu. Unikała zostawania ze mną sam na sam, chociaż szeptałem, że mam jej coś do powiedzenia. Coś ważnego.
- No chodź, Lisette, chcę z tobą pogadać - powtórzyłem.
- Jak skończę jeść - odparła i dołożyła sobie dwie duże łyżki puree na talerz, chociaż ani kęsa nie wzięła z tego, co już miała.
- Nie - z trzaskiem zasunąłem krzesło, bo cierpliwość mi się skończyła w okamgnieniu, nie miałem zamiaru dłużej czekać.
Krystian oddychał ciężko. Jak gdyby chciał się wmieszać, ale nie miał odwagi. I wtedy Kaj się ocknęła.
- No, powiedz to, Krystian - zachęciła z głową wciąż jeszcze pochyloną nad jedzeniem. - Powiedz... No, powiedz mu...
Przeciągnęła palcem po brzegu talerza, ścierając ostatnie krople sosu. I tym palcem trąciła domek z kart. Drobnym, lepkim palcem. Domek z niebieskimi okiennicami i różowymi wykładzinami. Mój i Lisette dom w Tampa Bay, to on się zawalił. To marzenie. Nie zauważyłem od

razu, jak pierwsza karta, zataczając powolne kręgi, przeleciała przez powietrze.
- Co ma powiedzieć? - zapytałem.
Palec w ustach, język Kaj obracał się wokół niego. Być może nagle zwątpiła, ale palec już zrobił swoje. Już wprawił karciany domek w ruch. Już było za późno.
Majid. Lubię go. Trzeba tylko uważać ze śmiechem w jego obecności, bo czasami zupełnie nie rozumie, co ktoś ma na myśli, wtedy wszystko nagle idzie nie tak, oczy mu się zwężają i stają się śmiertelnie niebezpieczne. Gdybym usłyszał wersję jego dziewczyny, z pewnością uważałbym, że ten Majid to skurwiel. Ale ona dla mnie jest bez twarzy, podczas gdy on posiada cechy, które mi się podobają. Przecież to jego poznałem przez obecność za ścianą w dzień i w nocy, ma też inne strony poza tą, na której nie można polegać. Ma swoją zniszczoną kopertę, którą zawsze nosi przy sobie. Ze zdjęciem, kiedy był mały. Stoi na jakiejś zakurzonej ulicy w ostrym słońcu i czarnym cieniu. Na zdjęciach jest do siebie podobny, tylko jeszcze bez tego smutku wokół oczu.
To słowo... zabrzmiało fałszywie w ustach Kaj. Sposób, w jaki je wymówiła, był niemal komiczny. A może to kombinacja Lisette, Krystian i „pieprzył" wypadła tak żałośnie? Roześmiałem się. Nie, w dupę, ryłem ze śmiechu. A dziewczynki, one też się śmiały, chociaż pewnie niczego nie rozumiały. Wciągnął je po prostu mój rechot. Kaj jest przecież rąbnięta, i to tak bardzo, że czasami wręcz zabawna, choć nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Tylko raz - wymamrotał Krystian - jeden jedyny raz.
I wtedy się rozsypał. Domek z kart. Wszystko jedno po drugim się pouginało. Odłożyłem sztućce na stół. Widelec po lewej, nóż po prawej, wygładziłem serwetkę.
- Co? Co powiedziałeś? - zapytałem całkiem spokojnie, pociągnąłem ostatni łyk piwa, a potem, kiedy Lisette zerknęła na Krystiana, rzuciłem talerzem z jej jedzeniem, aż bryzgnąłsos i skorupy.
- Tylko jeden raz - sapał Krystian, a Kaj wstała i po-

deszła do drzwi do altany.
Widziałem to bardzo wyraźnie. Nim rzuciłem się na Krystiana. I zacząłem bić. Waliłem, aż krew popłynęła. Tłukłem, dopóki się nie uspokoiłem.
W oddali Lisette krzyczała moje imię, raz za razem. Słyszałem jej głos, ale on przechodził przeze mnie na wskroś. I chociaż Krystian już się nie ruszał, przycisnąłem go, a Lisette ściągnąłem z siebie i rzuciłem na stół. Waży tyle co nic, a mimo to stół się pod nią zawalił. I zapadła cisza. Zupełna cisza. A Kaj? Po prostu stała przy drzwiach do altany. Przykładała papierosa do ust. Paliła i patrzyła. Widz? Jak gdyby ta katastrofa była dokładnie tym, na co liczyła?
- Jak ci na imię? - szepczę i staram się dostrzec w przelocie twarz pielęgniarki nad tacą z probówkami.
- A jak ty masz na imię? - zapytała niewyraźnie i był to pierwszy raz, kiedy otworzyła usta.
Ale nie czeka na odpowiedź, chce tylko dostać probówkę ze szczynami i iść dalej. Do Mickea, Pierre'a, Majida. Mnóstwo razy musiała odczytywać moje imię

na rurce i na liście. Sprawdzać raz. I drugi. Odhaczyć. Bez zapisywania w pamięci.
- Jens! - odpowiadam, ale ona nie reaguje.
Odwróciła się już do mnie plecami i odeszła. Nie chce mieć kłopotów, rozumiem, już i tak nie miała szczęścia, że trafiła do tej roboty.
Nigdy nie wyczuwałem tego momentu, kiedy Krystian przestaje stawiać opór, kiedy jego ciało wiotczeje i nieruchomieje. Próbowałem to sobie przypomnieć, bo chcę wierzyć, że walczył do samego końca, a nie tylko pozwolił nagrzmocić sobie jak cholera, bez sprzeciwu. Gdybym tylko znał jego spojrzenie, kiedy się poddaje. Może wtedy nie zrobiłbym mu, kurwa, takiej krzywdy? Skończyłbym, zanim było za późno.
Kiedy jestem odpowiednio wkurwiony, nie czuję bólu. Ciało znika, przestaje istnieć. Jak z psem: bijesz go smyczą, a ten tylko dalej ujada. Nic nie czuje. I tak też jest

ze mną. Żaden ból z zewnątrz nie jest w stanie zagłuszyć cierpienia, które mam w sobie. Nawet gdybym ręką rozbił szybę i się pociął. Próbowałem. Nic nie pomaga. Jedyne, co pomaga mi rozproszyć ból, to patrzenie, jak sprawiam go komuś innemu.
Krystian jest absolutnie ostatni, o którym mógłbym pomyśleć, że Lisette rozłożyła dla niego nogi. Musiała być kompletnie zagubiona. Czuję obrzydzenie na wspomnienie o tym. Na dodatek była w ciąży, rzygać się chce na samą myśl, Anna w brzuchu, kiedy ona i Krystian... Ale nawet jeśli była zdezorientowana, to przecież Krystian zawsze wie, co robi, nigdy nie traci kontroli. Więc

kto tu jest winny? A te trzy tygodnie... Ile razy to robili, kiedy mnie nie było? Raz dziennie? Dwa razy na dzień?
Leżę i liczę na lustrze plamy od pasty do zębów, ale straciłem rachubę godzin, dni, tygodni. Moja cela jest mniejsza niż toaleta w Tampa Bay. Wiem, że Lisette byłaby zachwycona naszym domem, ale teraz już go nie zobaczy. I czynsz za trzy miesiące poszedł się pieprzyć. Całe nasze oszczędności, teraz nie mamy ani grosza. Brak mi dziewczynek. Jak diabli tęsknię za Anną i Niną. Nic już nie będzie tak jak dawniej. Może już nie odważą się ze mną spotkać? Mama nie ma siły ze mną porozmawiać, Lisette nie chce ze mną gadać. A Jack, jego nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny. Krystiana mi nie żal, nigdy mu nie wybaczę. Ale mimo wszystko chciałbym mieć pewność, że wszystko z nim w porządku.
Szeptałem, prosiłem, oskarżałem... tłumaczyłem, kłamałem, żałowałem. Wszystko z wyjątkiem płakania do słuchawki, bo na to Lisette by nie poszła. Wszystkie rozmowy telefoniczne, do których miałem prawo, przetraciłem w ciągu pierwszego tygodnia, próbując nakłonić Lisette, żeby mnie wysłuchała. Strażnik stał obok z szyderczym uśmiechem na ustach. Musisz przyjechać z dziewczynkami. Oszaleję... Szeptałem i szeptałem. Musisz pozwolić mi się z nimi spotkać. Bełkotałem, prosiłem,

naciskałem. Ale Lisette zawsze mówiła nie, a ostatnim razem odłożyła słuchawkę pierwsza. Klik.
241
I wtedy roztrzaskałem telefon. Wystarczyło kilka uderzeń o betonową ścianę. Ja pierdolę, czasami potrzeba tak niewiele. Waliłem, aż w ręce zostały mi tylko resztki plastiku. A ten pieprzony cienias ze swoim uśmieszkiem nie odważył się podejść, nie położył mi ręki na ramieniu i nie powiedział: spokojnie, Jens, wszystko się jakoś ułoży. Zamiast tego posłał po wsparcie i miałem potem niezłe bagno. Ale gdybym wtedy nie rozbił tego telefonu, zrobiłbym coś dużo gorszego. Zadzwoniłbym do Lisette i zacząłbym jej grozić. A przecież nie chcę być taki jak Majid. Nie, w życiu.
Czekam, nasłuchuję, mijają minuty i godziny. Zimna blacha drzwi przy brzuchu. W końcu odgłos powolnych kroków pielęgniarki na samym końcu korytarza. Z powrotem podaję jej probówkę wraz z listem, który napisałem.
- Musisz go wysłać - powiedziałem i wreszcie odwróciła się do mnie twarzą.
Zaskoczona. Nie sądziła, że umiem pisać? Profil i twarz niezupełnie do siebie pasują. Nie ma szklanego oka ani znamienia na tej odwróconej stronie, żadnej jątrzącej się blizny, nic do ukrycia, ale wygląda na starszą, kiedy pokazuje całą twarz. Jasne oczy po raz pierwszy patrzą w moje, kiedy wolno otwiera usta i mówi:
- Nie mogę.
- Musisz - powtarzam, bo jeśli człowiek nie ma wyboru, wszystko jest łatwiejsze.
Waha się. Nagle po prostu wzięła list. Szybko. Capnęła mi go z ręki i wsunęła do kieszeni swojego białego
242
fartucha. Coś w tym szybkim ruchu sprawia, że nie mogę jej zaufać.
- Do kogo to? - zapytała, ale odpowiedziałem, że to bez znaczenia.
- Po prostu wyślij. To ważne - poprosiłem.

Wyjęła pojemniczek ze stojaka na tacy i rzuciła do mnie, żebym następnym razem lepiej napełnił. Po czym odwróciła się i ruszyła dalej.
Atrament na papierze, by zmusić Lisette do wysłuchania mnie. Jest tu pewien facet, który połknął pierścionek, żeby się stąd wyrwać. Nie ma już pamiątki po ojcu ani dziewczyny, jedynie bliznę na szyi. Teraz, kiedy mówi, chrypi jak wariat. Nikt nie rozumie, co mówi, nikogo to nie obchodzi. Nocami czasem płacze.
Myślałem, że Lisette chociaż przeczyta list. Że wyjdzie mi naprzeciw, da szansę, ale po paru dniach koperta wróciła nieotwarta, przecięta na pół. Gdyby chciała się pogodzić, najpierw by przeczytała - a przecięła później. Nie drze się listów bez czytania, to jak obciąć komuś język. Nie da się ludziom zamknąć ust, ale Lisette myśli sobie, że może to zrobić. Rach-ciach.
Gdybym tylko siedział tu i się nie odzywał, wziął ją na przeczekanie, być może miałbym przewagę. Ale teraz za późno, okazałem już słabość, Lisette może być zimna - jak pieprzenie bez uczucia, jeśli zechce.
- Muszę zadzwonić - powiedziałem do pielęgniarki.
Podała mi pojemniczek i zerknęła przez ramię na strażnika, który zawsze stoi na końcu korytarza, kiedy ona robi swoją rundkę.

- To niemożliwe - odpowiedziała.
Tego dnia wygląda inaczej, loki podpięte do góry, zmieniła kolczyki, małe złote kuleczki przy szyi.
- Muszę - powiedziałem.
Zakaz kontaktu to okrutna kara. Tylko za roztrzaskany telefon. Zabierzcie mi telewizor albo światło w celi... ale pozwólcie mi dzwonić.
- Nie ja tu decyduję.
Przecież wiem, jest tylko młodszą pielęgniarką, której trafiła się niezwykle chujowa robota. Na oddziale są tacy, którzy się z nią drażnią, próbują napełnić pojemnik czymś innym niż to, o co prosiła.
- Musisz się uspokoić, nie możesz szaleć i rozbijać

rzeczy. Sam ściągasz na siebie kłopoty - upomniała mnie.
- Chcę się zobaczyć z moimi córkami, muszę im wytłumaczyć...
- To się opanuj] - powiedziała. - W przeciwnym razie możesz po prostu zapomnieć, chyba sam rozumiesz.
- Masz dzieci, masz, no nie? Pomożesz mi? Tylko jedna rozmowa - proszę.
Jej białe palce ciasno przy moich, próbują wyrwać dla siebie probówkę.
- Tylko jeśli nie będziesz opowiadał, co zrobiłeś - mruknęła. - Nie mam siły wysłuchiwać wszystkich historii.
Anna i Nina. Przeglądam ich twarze nocami, milimetr po milimetrze, staram się pojąć, co też się za tymi buziami dzieje. Nie ma takiego szczegółu, którego bym nie zapamiętał. Najdrobniejszego nawet grymasu, którego

nie potrafiłbym przywołać w pamięci. Ale całości - tego, co naprawdę jest twarzą - nie mogę zobaczyć. Ich twarzy w ruchu, żywych... nie jestem w stanie odtworzyć, po prostu mi umykają.
Muszę sobie coś zrobić. Coś sobie zrobić, powtarza do otworu. Co takiego? Z początku nie załapałem, o co jej chodzi.
- Udawaj, że się zraniłeś - szepnęła niecierpliwie. - U nas na górze możesz skorzystać z telefonu.
Przygwoździła mnie wzrokiem, żeby sprawdzić, czy zrozumiałem, i zanim zdążyła mrugnąć, schyliłem się i rąbnąłem głową tak mocno, jak mogłem, w metalową framugę drzwi. Z bólu o mało co nie pogryzłem własnych zębów, a potem podniosłem się i spojrzałem w jej jasne oczy, szeroko otwarte po drugiej stronie okienka.
- Boże... nie tak - oddychała głośno, ale już było za późno. Krew z jakiegoś rozcięcia trysnęła do oka. Zawołała strażnika, a mnie daje znaki, żebym ściągnął T-shirt i tamował nim krew. Trzyma moją rękę przez otwór w drzwiach, znika mi z pola, widzę tylko czerwień,

krew, sufit, światło... Kiedy strażnik otworzył drzwi, upadłem.
Biała lampa pali w źrenice. Obudziłem się, kiedy zaczęła zakładać szwy na łuku brwiowym, jesteśmy w dyżurce sami, zdjęła rękawiczki i przyniosła komórkę. Za trzecim razem dobrze wybrałem numer, głos Jacka na drugim końcu jest bardzo przytłumiony, jakby nie mógł rozmawiać swobodnie. To musiało być to coś, co mi dała

na uśmierzenie bólu, że kiedy usłyszałem jego głos, nagle zacząłem płakać.
- Tato, musisz mi pomóc - powiedziałem, zacinając się.
- Jens... tobie nikt teraz nie może pomóc - odparł bezbarwnym głosem. - Krystian ledwo przeżył, rozumiesz? Nadal się nie obudził. Siedzę teraz u niego i...
- Musisz mi pomóc - poprosiłem znowu.
- Myślę, że nie mogę.
- Musisz!
- To powiedz, co mam zrobić - zgodził się niechętnie.
Więc wyjaśniłem, że chcę porozmawiać z Anną i Niną. Wszystko. Chcę porozmawiać z moimi córkami. Ale Lisette się nie zgodzi. Nie zgodzi się - odpowiedział od razu, pewny na bank. Lisette już mi nie ufa - dlaczego miałaby to robić?
- Przekonaj ją - poprosiłem.
- Nie da rady - zapewnił, jak gdyby już próbował.
- To namów mamę, żeby ją przekonała! - naskoczyłem na niego. Metaliczny posmak w ustach, zimno mi, ręka przy uchu drży. - Lisette musi pozwolić mamie przyjechać tu z dziewczynkami.
Pielęgniarka ostatni raz przeciągnęła igłę nad okiem i odcięła nitkę. Kiedy telefon wysunął mi się z ręki i opadł na kozetkę, podniosła go i przytrzymała mi go przy uchu, mierząc w tym czasie tętno. Ból pulsuje, rwie w głowie. Jeśli nie będę mówił szybko i nie skupię wzroku na jej twarzy, zaraz zemdleję. Znowu mam to uczucie, że się

wszystko oddala, a jednocześnie wali na mnie i zaczyna mi szumieć w uszach.
- Mam klucz - powiedziałem głosem, który już nie był podobny do mojego.
- Tak? Naprawdę?
Niczego nie jarzy. To słychać. Myśli chyba krążyły mu po głowie, ale nie udało im się spaść na swoje miejsce.
- I adres domu, który załatwiłem, dom Lisette i mój. Dostanie klucz. Jeśli... - udało mi się wyrzucić z siebie.
- Jeśli co? - zapytał.
Pielęgniarka złapała mnie za podbródek i potrząsnęła mną trochę, akurat kiedy miałem wrażenie, że przelatuję przez kozetkę, przez podłogę, przez ciemność.
- Jens? - słyszę jego głos. - Jesteś tam?
Poprosiła, żeby zaczekał. Pomogła mi usiąść na pryczy, dała coś do picia, coś słodkiego, żebym się ocknął, ale zrobiło mi się tylko niedobrze.
- Lisette dostanie klucz, jeśli co? - powtórzył pytanie.
Ścisnąłem słuchawkę i zebrałem się w sobie.
- Jeśli pozwoli mi zobaczyć dziewczynki.
KRYSTIAN
(180°)
Białe niebo. Na zewnątrz jest jesień. Duże liście na drzewach zaczęły żółknąć. Nie wiem, kiedy nadeszła jesień, to się musiało stać, jak spałem. Przed moim oknem nigdy wcześniej nie rosły drzewa, skąd się wzięły? Gałęzie tańczą za szybą. Przyglądam się im. Dopóki nie zleją się z ciemnością i nie znikną.
Znów się obudziłem. Tata siedzi przy łóżku. Bierze mnie za rękę. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej trzymał mnie za rękę.
- Poznajesz mnie? Boli cię?
- Skąd się wzięły drzewa? - zapytałem, a on podążył za moim wzrokiem.
- Drzewa? Nie mam pojęcia - odpowiedział. - Jak się czujesz?
Chcę, żeby puścił moją rękę, bo za mocno ją ścis-

ka, o wiele za mocno. Nie poznaję drzew. Ani tych białych ścian, ani lampy u sufitu. I zapachu w pokoju, który jest obcy. Może to od niego tak jedzie? Tato? Jego włosy są przyprószone siwizną, widać pod światło, które prześwieca przez gałęzie. Jak długo? Jak długo spałem?
248
- Pamiętasz? - zapytał tata, wygładzając palcami jakąś zmarszczkę na moim czole, ścierając kilka kropli potu.
- Przypominam sobie, że było lato - odpowiedziałem, ale potem pamięć się kończy. Pamiętam upał. I owady. Muchy?
- Boli cię? - dopytuje się.
- Nie wiem - odrzekłem.
Bo nic nie czuję, ani bólu, ani nic przyjemnego. Tylko tę dłoń, która trzyma moją, i że chcę, żeby już puścił.
- Pamiętasz... jak się nazywasz? - zapytał.
W ustach sucho, jakbym zjadł paczkę białych, kruszących się bez, nie popijając niczym.
- Wiesz, jak ci na imię? - kontynuuje.
Mam to na końcu języka. Tylko nie mogę tego właściwie powiedzieć. Właściwie... nie mogę tego znaleźć.
- Podać ci coś?
- Bezy - odpowiedziałem, bo tylko na to wpadłem.
Uśmiechnął się. Żółto, szeroko. Objął mnie spojrzeniem, mniej ostrożnie niż poprzednio.
- I wodę - dodałem.
Nacisnął guzik przy łóżku, drzwi otworzyły się ze słabym odgłosem ssania, weszła pielęgniarka.
- Żyje - mówi tata. - Krystian żyje i ma ochotę na bezy. Da się załatwić?
Pielęgniarka podeszła do mnie i przyjrzała mi się. Ma w wardze dwa cienkie srebrne kolczyki, poprawiła kilka kabli, sprawdziła wykres na ekranie przy mojej głowie.
- Nie pamięta, jak się nazywa, ale zjadłby bezy -- szepcze tata.
249
Pielęgniarka skinęła głową i uśmiechnęła się, dotknęła jego ramienia, wychodząc z pokoju.

- O kurde - mruknął tata.
Wydaje się mały. Chyba stracił na wzroście, zapadając się między tymi szerokimi barami.
-Wszyscy, tylko nie ja... Wszyscy myśleli, że nas opuścisz. - Próbuje się wyprostować, ale ramiona znowu opadają. - Wszyscy sądzili, że umrzesz, Krystian - mówi szeptem, jakby musiał używać głosu w trybie energo-oszczędnym, żeby go wystarczyło. - Miałeś wewnętrzny krwotok, nigdy w życiu tak się nie bałem - delikatnie dotyka palcami mojej skroni. - Ale niedługo postawię cię na nogi. Wszystko będzie jak kiedyś, obiecuję. Twardy z ciebie skurczybyk, Krystian, prawda? - mówi i szybko przeciąga dłonią po oczach. - Kiedy cię stąd wypuszczą, wyjedziemy na jakiś czas. Tylko ty i ja. Dopóki się wszyst-ko nie uspokoi. - Jego oczy rejestrują krople, które są pompowane z woreczka do przewodu, do mnie. - Wypo-życzyłem dla nas dom. Będzie pięknie, naprawdę. Długie wakacje - opowiada.
Skinąłem głową. Piasek w ustach, ślina wyschła, nie mogłem zamknąć ust. Chcę podnieść wolną rękę, żeby... nie wiem, ale dłoń leży bezwładnie na kołdrze, urosły mi paznokcie. Widzę, ile urosły, jak się zakręcają nad opuszkami palców.
- Przychodziłem tu codziennie. Czułeś to, chociaż by-łeś nieprzytomny? - zapytał ojciec, grzebiąc za czymś w wewnętrznej kieszeni.

Skinąłem głową. Czułem. Swego rodzaju obecność. Wiedziałem, że nie jestem sam. Słyszałem głosy. Obce i znajome.
- Zatroszczę się, żebyś miał ciszę i spokój. Żebyś mógł wrócić do zdrowia - mówi ochrypłym głosem i wyjmuje rękę z kieszeni, trzyma w górze klucz, błyszczący klucz do drzwi, który dynda na kółku z kilkoma małymi kluczami. Trzyma go na wysokości wzroku, trochę dumny, jak-bym po samym kluczu mógł wyobrazić sobie dom, o któ-rym opowiada.
- Dużo miejsca dla nas dwóch. Widok na ocean,

180 stopni Atlantyku - szepcze.
Nareszcie puścił moją dłoń, żeby niedbałym gestem nakreślić ten widok w powietrzu.
- Jensa nie musisz się obawiać - zapewnia.
- Jensa... Że co?
- O nic się nie martw. Zajmę się tobą, Krystian - powiedział tata, kładąc klucz na stoliku przy mojej głowie. Poprawił wężyk, którym kroplówka spływa mi do ręki. Jarzeniówka nad łóżkiem zamigotała, jak gdyby ktoś przeszedł przez pokój, ale kiedy odwróciłem głowę, nikogo tam nie widać.
- Podać ci coś? - zapytał znowu.
Gardło mam wysuszone jak żwirownia w upalny letni dzień. Lekki zapach wody z basenu, chlorowanej, sterylnej. „Wody" - chcę powiedzieć. - „Zimnej, czystej wody". Ale zmieniłem zdanie.
- Kaj. Gdzie jest Kaj? Dlaczego jej tu nie ma?

Spis treści

I

Krystian (Dół)..... 5
Kaj (Szklaneczka z crustą)..... 18
Ingrid (Czarny ląd)..... 24
Jens (Poligon)..... 35
Krystian (Mogą odejść, jeśli zechcą)..... 39
Ingrid (Jak najdalej stąd)..... 50
Krystian (Pod nami)..... 56
Ingrid (Dzieci kanibale)..... 68
Lisette (Logika)..... 76
Ingrid (Room service)..... 79
Krystian (Ładniejsze, większe)..... 87
Ingrid (Przerębel)..... 97
Jens (Pas przeciwpożarowy)..... 104
Krystian (Zaspa)..... 105
Jack (Świadek)..... ll8
Krystian (Światło)..... 130
Jack (Śnieg w cieniu)..... 132
Kaj (Cykuta)..... 143
Jack (Oczy)..... 144

II

Kaj (Właśnie tam, właśnie wtedy)..... 145
Krystian (Oczko polodowcowe)..... 151
Lisette (Zenit)..... 161
Jack (Kontakt - Chanie)..... 168
Krystian (Chłopiec-pies)..... 182
Ingrid (Dziesiąte piętro)..... 196
Kaj (Wracam)..... 198
Jens (Tampa Bay)..... 201
Lisette (Zasada odrzutu)..... 203
Jens (Wdomu)..... 207
Krystian (Dżingiel)..... 213

III

Kaj (Droga we mgle)..... 225
Jens (Powrót)..... 234
Krystian (180°)..... 248

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.
www.czarne.com.pl
Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, nip., 38-300 Gorlice
tel./fax +48 18 353 58 93
e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl
Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70
e-mail: redakcja@czarne.com.pl
Dział promocji: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa
tel./fax +48 22 62110 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, joanna@czarne.com.pl
agaw@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl
Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma
ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa
tel./fax +48 22 632 83 74
e-mail: mtm-motyl@wp.pl
Skład: RobertOleś/design plus
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków
tel./fax 012 432 08 52
Druk i oprawa: opolgraf sa
ul. Niedziałkowskiego 8-12, 48-085 Opole
tel. 077 454 52 44
Wołowiec 2007
Wydanie 1
Ark. wyd. 8,0; ark. druk. 16,0